tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 15 (1370)
7-12.04.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Bogdan Góralczyk Orbán przestał obiecywać, zaczął straszyć

Rozmowa „Zdania” z dr Hanną Machińską

Rafał Skąpski
Wiesław Myśliwski – twórca osobny



Pora kończyć tę hucpę ŁGARSTWA RELIGII SMOLEŃSKIEJ

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

FOO FIGHTERS

TAKE COVER TOUR 2026

ROYEL OTIS *And* OTOBOKE BEAVER



15 CZERWCA

WARSZAWA, PGE NARODOWY

BILETY: TICKETMASTER.PL / LIVENATION.PL

ANTYRADIO LIVE NATION



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Człowieczy los Myśliwskiego

Mówił, że „poza miłością nie ma nic, tylko śmierć”.

Wiesław Myśliwski zakończył swoją wędrówkę na ziemi. Miłością jego życia była żona, Wacława, którą poznał jako 17-latek. I z którą przeżył ponad siedem dekad. Spełniony w miłości. I spełniony jako pisarz. Mędrzec. Mistrz, który uwodził nas słowem.

Najważniejszy dla niego był człowiek. Szukał prawdy o ludziach i ich losach. Pisał w sposób wyjątkowy. Proza Myśliwskiego jest niepodrabialna. Mówił, że najważniejsza w tym, co i jak pisze, jest „prostota, prostota i jeszcze raz prostota. Kiedy siadam do pisania, chciałbym zapomnieć o wszystkich książkach, jakie przeczytałem, całej tej literaturze”. I pisał tak, że każda z jego książek była wydarzeniem. Nie ulegał literackim modom i obowiązującym ideom.

Mówił też celnie, rozważnie i uważnie. Był konsekwentny w wyborach życiowych i politycznych. Z poglądami po lewej stronie. W Polsce Ludowej związany z wydawnictwami ważnymi dla kultury narodowej: Ludową Spółdzielnią Wydawniczą i Państwowym Instytutem Wydawniczym. Był redaktorem naczelnym kwartalnika „Regiony”. Należał do Związku Literatów Polskich i nie tylko pozostał w nim po wprowadzeniu stanu wojennego, ale nawet podpisał list do gen. Wojciecha Jaruzelskiego w sprawie powołania Rady Kultury. Wielokrotnie pytany o to po zmianie systemu, konsekwentnie podtrzymywał swoją ówczesną decyzję. Był przekonany, że taka struktura: wielośrodowiskowa, wielopokoleniowa i wieloświatopoglądowa jest wartością najwyższą. I że warto o nią walczyć za wszelką cenę. Miał rację. I osobistą odwagę, by nie płynąć z falą.

O tym, jak Wiesław Myśliwski pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Narodowej Rady Kultury, pisze w tym numerze Rafał Skąpski, który jesienią 1983 r. rozpoczął tam pracę. Dzięki jego wspomnieniom możemy poznać pisarza i jego żonę z bardzo prywatnej i towarzyskiej strony.

Żegnamy giganta literatury. I żegnamy człowieka o poglądach bliskich nam i demokratycznej lewicy. Wiem, także z bezpośrednich rozmów, że był uważnym czytelnikiem naszego tygodnika. Czytał „Przegląd”, bo cenił linię pisma i wielu autorów, z prof. Andrzejem Romanowskim na czele.

Zostaną nam jego książki. Ku refleksji. I przenikliwa, głęboko poruszająca panorama polskich losów. Niedawno o teatrologii Wiesława Myśliwskiego pisał u nas Tomasz Miłkowski. O mocowaniu się jednostki z historią i o przesłaniu, że „zawsze można i trzeba być człowiekiem przyzwoitym”. Wszystkich, którzy piszą teraz, jak cenią pisarza, proszę, by szanowali także jego życiowe wybory.

Żegnaj, Mistrzu.

BĄKOWSKI



eprasa.pl cfd4a4b979

W NUMERZE

KRAJ
8 Łgarstwa religii smoleńskiej
Pora kończyć tę hucpę
17 Mniej niż zero
Mistrz bajania Leszek Skiba
20 Sprawdź, zanim odbierzesz
Oszuści telefoniczni wciąż atakują
24 Wielkanoc pod presją rachunków
Polowanie na dyskontowe promocje
34 Władza musi czuć nasz oddech
– rozmowa z dr Hanną Machińską
37 Party crashing w Radzyminie
Poszło o byłą żonę

ZAGRANICA
13 Orbán przestał obiecywać, a zaczął straszyć
– rozmowa z prof. Bogdanem Góralczykiem
56 Gdy piasek zniknie z plaż
Cenny surowiec kusi mafie

TECHNOLOGIE
22 Ucieczka z sociali
Platformy europejskie za amerykańskie

KULTURA
26 Wtedy i na zawsze…
Wiesław Myśliwski. Pożegnanie mędrca
46 Bielsko-Biała bez kompleksów
Miasto kreatywności i wspólnoty
50 Nieprzeciętne poczucie humoru
Fenomen Tyma i „Rejsu”
53 Qulturalia
66 Karol Lewalski. Przebłyski

OPINIE
30 Paweł Siergiejczyk
Czy Nawrocki jest konserwatystą?

SPORT
40 Zawiodła defensywa
Mundial nie dla Polski

ZDROWIE
42 Nowoczesne przeszczepy są już dostępne
– rozmowa z prof. Michałem Grątem

NAUKA
54 Złota era języków
Był nią… neolit!

ZWIERZĘTA
59 Emocjonalne życie ptaków
Inteligentne i z osobowością

FELIETONY I KOMENTARZE
3 Jerzy Domański
Człowieczy los Myśliwskiego
19 Stanisław Filipowicz
O sztuce myślenia do góry nogami
29 Roman Kurkiewicz
Okrzeja – nasz dobry terrorysta
33 Tomasz Jastrun
Aberracje i chaos
45 Wojciech Kuczok
Wiosenny porządek



46
KULTURA

BIELSKO-BIAŁA BEZ KOMPLEKSÓW
Miasto kreatywności i wspólnoty



56
OBSERWACJE

GDY PIASEK ZNIKNIE Z PLAŻ
Cenny surowiec kusi mafie

59
ZWIERZĘTA



EMOCJONALNE ŻYCIE PTAKÓW
Inteligentne i z osobowością



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER

eprasa.pl cfd4a4b979

Pamiętniki covidowe



Trudno dziś ocenić zasadność wielu decyzji władz w tamtym czasie. Zdarza mi się, wspominając tamten okres, mówić: „stan wojenny”, choć w życiu codziennym ograniczenia lockdownu były o wiele bardziej uciążliwe niż ograniczenia stanu wojennego. Zamknięte parki, cmentarze zamknięte w dzień Wszystkich Świętych, ograniczenia dla właścicieli psów przy wyprowadzaniu czworonogów, ograniczenia dla uprawiających jogging. W domach – biura i szkoły. Wiele zwyczajów utrwalonych w tamtym czasie pozostało z nami. Znam osoby, które odzwyczaiły się od chodzenia do kina, kupują pakiety streamingowe i oglądają filmy na ekranie własnego telewizora. Albo zakupy – nie chodzą do sklepów czy galerii handlowych, lecz kupują w internecie. Rozluźniły się bardzo więzi międzyludzkie od czasu, gdy zakazane było nawet spotkanie z sąsiadem koło śmietnika. Nawet w dni popularnych imienin nie słychać odgłosów dorocznego spotkania u sąsiadów. Jest cicho, ale czy o to chodziło?

Marta Niewczas



Nie wolno się bać, trzeba mówić nie

Nie wolno się bać i należy krytykować obecne relacje międzynarodowe. Wyraźnie widzimy, jak wyglądają np. relacje z Ukrainą. Niebywałą bezczelnością jest gloryfikowanie przez naszych wschodnich sąsiadów postaci pokroju Szuchewycza i Klaczkiwskiego. Ukraina wyciąga ręce po polską pomoc (wojskową i inną), a w zamian buduje pomniki tym, którzy mają polską krew na rękach. Obłąkane relacje międzynarodowe. Pozostaje tylko pytanie, dlaczego władze RP tolerują taki stan rzeczy?

Damian Paweł Strączyk

SAFE 0% – na to liczą Amerykanie



Tak Polska staje się klientem na rynkach zbrojeniowych. Tylko nikt nie pyta, jakim kosztem. Budownictwo socjalne leży, cała mieszkaniówka to patodeweloperka. Ochrona zdrowia zdycha, brakuje lekarzy i pieniędzy na leczenie pacjentów. Szkolnictwo podstawowe i wyższe leży. Ciągle istnieją śmieciówki i wykorzystywanie pracowników w januszeksach. I tak można by wymieniać patologie tego kartonowego państwa. Za to mamy nowe czołgi, samoloty i inne militarne zabawki. Będzie można umilić sobie czekanie w kilkuletniej kolejce do lekarza i popatrzeć na sprzęt podczas jakiejś parady. Szkoda, że nie informuje się społeczeństwa, że w razie pełnoskalowego konfliktu NATO i Rosji cały ten sprzęt, wydatki i zadłużanie się nie będą mieć żadnego sensu podczas wojny nuklearnej. A Polska od czasów zimnej wojny jest celem dla głowic obu stron: po prostu ma być nuklearną pustynią mającą zatrzymać pochód wojsk czy to zachodnich, czy to ze wschodu. Polska powinna się skupić na polityce zagranicznej, dyplomacji, robieniu wszystkiego, co się da, żeby uniknąć konfliktu, a nie ogłupiać propagandą, jakim to niby silnym krajem jest, bo się zadłuża kosztem kilku pokoleń obywateli. (…)

Michał Czarnowski

ZDJĘCIE TYGODNIA



W wieku 94 lat zmarł Wiesław Myśliwski, wybitny pisarz, dwukrotny laureat Nagrody Literackiej Nike, autor powieści tłumaczonych na wiele języków, filmowanych i wystawianych na scenie. **Więcej o Wiesławie Myśliwskim na s. 26.**

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM

eprasa.pl cfd4a4b979

Prawie 57% badanych w sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej” uważa, że **Karol Nawrocki powinien odebrać ślubowanie od nowo wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego.** Prezes Kaczyński jest przeciw, więc Nawrocki odebrał ślubowanie od dwojga: Magdaleny Bentkowskiej i Dariusza Szostka. Łamanie konstytucji to już drugie imię Nawrockiego.

•

263 mln 477 tys. 926,83 zł zebrała w czasie tegorocznego finału **Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy.**

•

Od 2013 r. z tytułu sprzedaży uprawnień do emisji (ETS) wpłynęło do budżetu ponad 130 mld zł. Według raportu NIK z 2024 r. tylko 1,3% tej kwoty wydano zgodnie z przeznaczeniem. PiS traktowało te pieniądze jako zasilenie budżetu na dowolne cele.

•

Władysław Kosiniak-Kamysz, minister obrony narodowej, jest konsekwentnie spychany przez prezydenta Nawrockiego do roli pomocniczej. Nawrocki po zawetowaniu SAFE stracił autorytet w wojsku. Kosiniak-Kamysz, grając w tej fałszywej orkiestrze, będzie w wojsku nieszanowanym figurantem.

•

Z 8,5 mln ton zinwentaryzowanych wyrobów z rakotwórczym azbestem po 25 latach usunięto ok. 20%. Nie pomogły kolejne programy administracyjne ani kampanie informacyjne.

•

Około **440 tys. migrantów** bez wymaganych dokumentów przyjechało do USA w 2025 r. Rok wcześniej było to 2,2 mln osób.

•

Spada liczba Polaków mieszkających w Wielkiej Brytanii. W 2017 r. było ich tam prawie 800 tys., a w 2024 r. nieco ponad 400 tys. Do czerwca 2025 r. wyjechało kolejne 25 tys. **(Polski Instytut Ekonomiczny)**.

•

Płk Krzysztof „Komar” Mila został dowódcą Jednostki Wojskowej GROM (Grupa Reagowania Operacyjno-Manewrowego), powołanej we wrześniu 1990 r.

•

W 2025 r. policjanci CBŚP rozbili 157 gangów, w tym 131 polskich. Zarzuty postawiono 265 cudzoziemcom, w tym 111 Ukraińcom.

•

Hugo Tarres został laureatem **Nagrody im. Andrzeja Nardellego** za najlepszy debiut aktorski w teatrach dramatycznych w sezonie 2024/2025.

•

W 202 na 308 powiatów brakuje opiekunów osób starszych lub z niepełnosprawnościami. W połowie ubiegłego roku ponad 3,1 mln mieszkańców Polski miało co najmniej 75 lat.

•

Najczęściej drukowaną od czasów Gutenberga książką jest Biblia. Wydrukowano ponad 5 mld egzemplarzy w przeszło 2,1 tys. języków i dialektów („Angora”).

•

Na świecie żyje ok. **23-26 tys. niedźwiedzi polarnych.** Dorosły samiec waży do 800 kg.

•

W ciągu 15 lat wzrosła w Polsce liczba krów, z 5,7 mln do 6,1 mln sztuk.

PRZEBŁYSKI



OPZZ w poszukiwaniu lidera

Dwa lata czekał. Kalkulował. Szukał resztek odwagi. I wspominał, jak przed wyborami maszerował, popierając KO. Teraz już by nie poszedł. Piotr Ostrowski, przewodniczący OPZZ, jest rządem bardzo rozczarowany. Koło więc się zamyka. Ostrowski jest rozczarowany. Związkowcy też. Tylko nie wiadomo, kim bardziej: Tuskiem czy Ostrowskim. Co z takim przewodniczącym mogą wywalczyć pracownicy? Skończy się na jęczeniu i narzekaniu. I czekaniu na spotkanie Tuska z OPZZ. Było czekanie na Godota, a teraz jest poszukiwanie żwawego lidera związkowego.

Megakurniki w parku narodowym

Na początek wyobraźcie sobie: wiedziecie spokojne życie, ale do czasu. Dopóki firma Wipasz SA nie zechce w bliskiej wam okolicy wybudować 14 wielkich kurników. Jak wielkich? W każdym w ciągu roku jest siedem cykli hodowlanych. A każdy cykl to 1 mln 36 tys. sztuk kurczaków.



To oznacza odór. Ale nie dla wszystkich. Proboszcz parafii w Lubieniu w gminie Wyryki modlił się o pojawienie inwestora – i wymodlił Wipasz. Mieszkańcy potestują. Bo unikatowe walory przyrodnicze. Bo Poleski Park Narodowy. Bo ekoturystyka. Gdzie tu miejsce dla Wipaszu? Jest. W głowach władz: Bernarda Błaszczuka, wójta gminy Wyryki, Mariusza Zańki, starosty powiatu włodawskiego, i Jarosława Stawiarskiego, marszałka województwa lubelskiego.

Rektor Sopiński! Jak długo jeszcze?



Gdy w Budapeszcie Zbigniew Ziobro chowa się przed sprawiedliwością, w Polsce wielu jego mianowańców kurczowo trzyma się posad. Cel mają wspólny. Przetrwać. Ciągle rządzą. Ale tak, by władzy było jak najgorzej. Pierwszy z brzegu przykład to dr Michał Sopiński. Od marca 2023 r. rektor-komendant Akademii Wymiaru Sprawiedliwości. Sopińskiego tytułują tam profesorem, choć z nauką ma tyle wspólnego, co i jego patron Ziobro. Sopiński przeżył rządy Bodnara. A za Żurka dowala ministrowi, opowiadając, że „praworządność w tej chwili jest jak pałka do okładania przeciwników politycznych” („Tygodnik Solidarność”). I mówi to człowiek, który chciał golić głowy badaczom Holokaustu. Po chamsku atakował naukowców, Donalda Tuska straszył, że będzie „pensjonariuszem zakładu karnego”. A o „reżimie 13 grudnia” opowiada w Telewizji Republika. I nieustannie kpi sobie z ministra sprawiedliwości.

Pogromca lip

Lipa to jedno z tych drzew, które cieszą się w Polsce szczególną estymą. Nie wszędzie jednak. A w takim Raciborzu trwa wręcz wojna o wycinkę prawie stuletnich drzew. Poluje na nie ks. Adrian Bombelek, proboszcz Parafii św. Mikołaja. Zaplanował wycinkę 46 lip. Władzom Raciborza przedstawił ekspertyzę firmy Arbolab. Według niej drzewa są w tak rozpaczliwym stanie, że nic tylko ciąć. Ścięto pięć. Zdrowych. Według zaalarmowanych dendrologów i ekologów bezsensowną akcję trzeba zatrzymać. Ratusz naciskany przez ks. Bombelka kręci i dalej chce ciąć. Tylko mniej.



FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, SUTTERSTOCK, MATERIAŁY PRASOWE, YOUTUBE

eprasa.pl cfd4a4b979

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl

LIST

Ekoabsurdy

Nasza przygoda z segregacją śmieci rozpoczęła się dziewięć lat temu – w lipcu 2017 r. Obok kosza na śmieci wygospodarowało się w mieszkaniu miejsce na dodatkowe pojemniki na papier, plastik i metal oraz szkło. Na balkonie stanęło wiaderko na bioodpady. W zsypie w bloku pojawiły się kolorowe kontenery, a nawet pojemnik na świetlówki. Przeterminowane lekarstwa odnosiliśmy do apteki, zużyte baterie – do supermarketu. Było z tym trochę zachodu, ale czuliśmy nawet dumę: dołączyliśmy do „zielonego", cywilizowanego świata. Segregowaliśmy śmieci lepiej lub gorzej, aż dwa lata temu okazało się, że zakrętek nie będziemy już wrzucać do pojemników stawianych przez fundacje charytatywne. Zamiast tego będą one trwale przymocowane do butelek i kartonów na napoje, ale i do tego się przywykło.

Ledwie pół roku później – od stycznia 2025 r. – zakazano wyrzucania tekstyliów (ubrań, butów itp.) do odpadów zmieszanych. I tu zaczęły się schody. W okolicy nie pojawiły się żadne nowe punkty zbiórki. Z przetartą skarpetą trzeba jechać do PSZOK, czyli punktu selektywnej zbiórki odpadów komunalnych. Samochodem zajmuje to około godziny, ale jest mało ekologiczne. Komunikacją miejską – niemal dwie. Owszem, w dzielnicy pojawia się mobilny PSZOK – w poniedziałki od 13.00 do 14.30, w środy od 9.00 do 10.30 i w soboty od 11.00 do 12.30. Trudno w tygodniu zwalniać się z pracy, żeby oddać śmieci. Zostaje sobota – a weekend chciałoby się jednak spędzić z rodziną.

W październiku ruszył system kaucyjny na plastikowe butelki i metalowe puszki, a wraz z nim butelkomaty, które przyjmują wyłącznie opakowania w niemal idealnym stanie – bez zgnieceń i z czytelną etykietą. Trzeba więc w domu znaleźć kolejne miejsce na przechowywanie pustych opakowań i uzbroić się w cierpliwość, by odstać swoje w kolejce do automatu, który co chwilę się zacina.

A na koniec – „nagroda" za rosnącą liczbę obowiązków: podwyżka opłat za wywóz śmieci. Powód? Firmy zajmujące się ich przetwarzaniem straciły po wprowadzeniu systemu kaucyjnego najcenniejszy surowiec – butelki PET – i zażądały wyższych stawek.

Piszę o tym nie dlatego, że jestem przeciwniczką ekologii. Skądże! Zastanawia mnie jednak, czy wśród decydentów naprawdę nie ma nikogo, kto rozumie, że jeśli chce się skłonić obywateli do proekologicznych zachowań, trzeba im to ułatwić. Zorganizować system, w którym oddawanie odpadów nie wymaga nadmiernego czasu ani wysiłku. Nałożyć obowiązki także na instytucje państwowe i samorządowe, a nie tylko na obywateli.

Paulina Hennig-Kloska, minister klimatu i środowiska, najwyraźniej nie ma do tego głowy, zajęta walką o swoją pozycję w politycznym grajdołku. Działania władz sprawiają wrażenie chaotycznych i niespójnych. A to niestety jest wodą na młyn zwolenników polexitu. „Zobaczcie, jak ta Unia nam utrudnia życie, wprowadzając głupie przepisy", mówią i zyskują poklask. Czas więc najwyższy, żeby ktoś w koalicji „się ogarnął" i zaproponował rozwiązania, które będą nie tylko słuszne w teorii, ale i wykonalne w codziennym życiu. Jeśli nie, to po utracie władzy nie znajdziecie sobie synekur w europarlamencie, bo Polski w Unii już nie będzie.

Joanna Kamińska,
Warszawa-Ursynów

eprasa.pl cfd4a4b979

ŁGARSTWA RELIGII SMOLEŃSKIEJ

PORA KOŃCZYĆ TĘ HUCPĘ



Jarosław Kaczyński na obchodach miesięcznicy katastrofy smoleńskiej. Warszawa, 10 maja 2016 r.

Robert Walenciak

Religia smoleńska. Umarła na naszych oczach, uschła jak setki różnych nieudanych herezji. Symbolem jej upadku jest niemal pusty Plac Piłsudskiego i szarpiący się z „nieprawomyślnym" wieńcem Jarosław Kaczyński. Coraz bardziej bezsilny i zdenerwowany. A przecież pamiętamy zamknięte ulicy Warszawy i wielotysięczne przemarsze z katedry przed Pałac Prezydencki i pod pomnik Lecha Kaczyńskiego, i przemówienia Jarosława Kaczyńskiego. Wszystko pod ochroną setek policjantów. Z tego nic już nie zostało. Klęska? I tak, i nie.

Religia smoleńska od początku była łgarstwem, okazją, którą wyczuł i złapał w lot Jarosław Kaczyński. Była genialnym politycznym konceptem, falą, na której PiS płynęło. Teraz właśnie ta fala dobija do brzegu.

Ale przecież cel udało się zrealizować. Po trumnach smoleńskich Kaczyński wspiął się po władzę. Więcej – na wiele lat zdobył rząd dusz ogromnej części Polaków. Osiem lat PiS w Polsce nie wzięło się znikąd.

Jak to się stało?

Najpierw był szok po katastrofie, który na wiele tygodni zdominował polskie życie. Miliony Polaków autentycznie przeżywały tragedię. Szybko też zaczęły się mnożyć teorie o zamachu i o spisku. Bo przecież prezydent RP i ministrowie nie mogli zginąć ot tak. Prof. Janusz Czapiński mówił o tym na łamach „Przeglądu" kilka dni po katastrofie. Że to eksploduje.

Jarosław Kaczyński także to widział. Jeszcze kampanię wyborczą 2010 przeszedł w sposób klasyczny, próbując sięgać po wyborców

FOT. MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER

eprasa.pl cfd4a4b979

centrum, puszczając w eter swoją pojednawczą przemowę do Rosjan, „do przyjaciół Moskali". Po porażce ogłosił, że nie był sobą, bo zażywał środki uspokajające. Kampania ta była ostatnią, w której walczył o centrum. Od tego czasu walczy o coś innego – o wyborców prawicy, o ich wierność, o ich mobilizację.

Katastrofa smoleńska okazała się znakomitym spoiwem. Krzyż na Krakowskim Przedmieściu, tłumy przed Pałacem Prezydenckim, klimat straszliwej tragedii – to wszystko budziło zakodowane w duszach milionów Polaków kalki kulturowe.

Nieżyjący już prof. Zbigniew Mikołejko poświęcił religii smoleńskiej potężny rozdział w książce „Między zbawieniem a Smoleńskiem. Studia i szkice o katolicyzmie polskim ostatnich lat". Czytamy tam m.in.: „Męczennicy smoleńscy, poprzez straszliwe, szlachetne i mesjanistyczne piękno swej tragicznej śmierci usprawiedliwiają prawo do resentymentu i odpowiedniej zemsty, nawet jeśli wina jest urojona, a zemsta ma nie znać granic. Tego rodzaju zemsta okazuje się ponadto warunkiem budowania wspólnoty, a ofiara, śmierć w smoleńskich oparach, śmierć »zdradzonych o świcie« przekształca się w akt założycielski nowego nieskażonego ładu".

Trąci to egzaltacją? A skąd! Przeczytajmy, co mówił w „Tygodniku Powszechnym" niedługo po katastrofie Ludwik Dorn: „Pojawia się koncepcja PiS, który zmonopolizuje coś, co nazywam odsuniętą o 20 lat ofiarą za Rzeczpospolitą, bo taki sens został zbiorowo nadany tragedii w Smoleńsku. (…) Śmierć Lecha Kaczyńskiego przywraca substancjonalność państwu. Cała jego polityka historyczna była nie tyle krytyką Okrągłego Stołu, którego był uczestnikiem, ile dezawuacją koncepcji, że niepodległa Polska wzięła się z tegoż Okrągłego Stołu. Ona wzięła się z wysiłków, cierpień i ofiary krwi wcześniejszych pokoleń i można powiedzieć, że ta śmierć Lecha Kaczyńskiego wplotła się w tę koncepcję. Śmierć musi być u początków każdego miasta-państwa, łącznie z Rzymem. Ofiara krwi jest niezbędna (…). Tego III RP, która wzięła się z »jakiegoś gadania przy stole«, zabrakło. Obchody rocznicy Okrągłego Stołu były walką o mit założycielski, ale katastrofa w Smoleńsku unieważniła te starania".

Oto cyniczny wykład, jak można wygrać śmierć Lecha Kaczyńskiego. Przedstawić ją jako wielką ofiarę za Polskę. I rzucić w twarz przeciwnikom. Będą się śmiać? Będą lekceważyć? Wzruszać ramionami? Tym lepiej. Bo ten podział PiS się opłaca. A im mocniejszy, tym lepiej.

Przedstawił to najwyraźniej, jak można, Jarosław Marek Rymkiewicz w wierszu „Do Jarosława Kaczyńskiego". Że znowu są dwie Polski:

Dwie Polski – jedna chce się podobać
na świecie
I ta druga – ta, którą wiozą na lawecie.
(…)
To co nas podzieliło – to się już nie sklei
Nie można oddać Polski w ręce jej
złodziei
Którzy chcą ją nam ukraść i odsprzedać
światu
Jarosławie! Pan jeszcze coś jest winien
Bratu!
Dokąd idziecie? Z Polską co się będzie
działo?
O to nas teraz pyta to spalone ciało

Takie mamy więc przesłanie – oto rozdarta Polska, o której los toczą manichejski bój siły dobra i zła. I wskazanie wodza, który ma przewodzić dobru.

Religia smoleńska umarła na naszych oczach. Symbolem jej upadku jest niemal pusty Plac Piłsudskiego.

Religia smoleńska pozwoliła zebrać wokół jednego, wyrazistego sztandaru miliony Polaków. Których? „Lider PiS umiejętnie odczytał ten eklektyczny w swojej genezie i strukturze zasób emocji, potrzeb-interesów oraz kalkulacji politycznych – pisał prof. Lech Szczegóła. – A po 10 kwietnia 2010 r. do tego obrazu włączony został wątek martyrologiczny, przekaz o polityku zawsze niesłusznie atakowanym, będącym (wraz z bratem) ofiarą »przemysłu pogardy«. Jarosław Kaczyński stawał się wiarygodnym reprezentantem szerokiego obozu »pokrzywdzonych«, środowisk doświadczających poczucia braku społecznego uznania i godności czy obiektywnej marginalizacji".

Mamy więc wszystko, co potrzebne do narodzin religii. Mamy męczennika oraz ojczyznę i naród, którym jego śmierć została poświęcona. Rzesze pokrzywdzonych, o których nowa wiara się upomina i mówi im, że są solą ziemi. Daje im godność oraz poczucie sprawczości. No i jest naczelny kapłan tej religii – brat bliźniak męczennika numer 1.

Czego jeszcze brakowało? Religijnych obrzędów. Ołtarzy. Ale one szybko powstały.

Religia: jej prawdy wiary i kapłani

Początkowo, gdy Jarosław Kaczyński zaczął obchodzić każdy miesiąc od dnia katastrofy, pukano się w czoło. Msza, wieńce – to wszystko klasyfikowano jako objaw lekkiego szaleństwa i traumy po śmierci brata. Tymczasem to on miał rację. Pokonał nas swoją konsekwencją.

W pierwszą rocznicę katastrofy smoleńskiej Jarosław Kaczyński przemawiał w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Mówił, że polskie państwo jest słabe, bo „nie było w stanie ochronić nawet swojego prezydenta".

„Zebraliśmy się tutaj ku pamięci prezydenta RP, jego małżonki, ale też ku pamięci wszystkich, którzy przed rokiem odeszli od nas tak gwałtownie. Można o nich powiedzieć, tak jak powiedział o innych wielki poeta: zostali zdradzeni o świcie – mówił prezes PiS. – Chcemy prawdy niezależnie od tego, kogo będzie bolała; bez niej nie będziemy godnym narodem".

Oto przekaz, który się rozwijał: zdradzeni o świcie, słabe państwo, chcemy prawdy. Czyli czego? Jakiej prawdy? Szybko się okazało, że tej, którą ogłosi Antoni Macierewicz.

Już w tym czasie funkcjonował parlamentarny zespół ds. katastrofy

eprasa.pl cfd4a4b979

smoleńskiej pod przewodnictwem właśnie Macierewicza. Był nie tylko odpowiedzią na raporty dotyczące katastrofy: jeden rosyjski – Tatiany Anodiny, drugi polski – komisji Jerzego Millera. Miał też inne zadanie – pokazać wersję Jarosława.

I zaczął pokazywać. „Eksperci", których zwołał pod swoje skrzydła Macierewicz – żaden z nich nigdy nie badał katastrof lotniczych – zaczęli snuć własne teorie. Na początek pojawili się prof. Wiesław Binienda i prof. Kazimierz Nowaczyk, którzy twierdzili, że Tupolew nie zderzył się z brzozą, a skrzydło oderwało się od samolotu 70 m za drzewem. Inny ekspert, dr inż. Grzegorz Szuladziński z Australii, dowodził, że to nie mechaniczne uderzenie, ale dwa wybuchy były przyczyną katastrofy samolotu. Do obu miało dojść jeszcze w powietrzu, do jednego na lewym skrzydle, do drugiego wewnątrz kadłuba.

W następnych latach to będzie sposób działania Macierewicza. Najpierw jako szefa zespołu parlamentarnego, a potem – gdy PiS wygra wybory – jako szefa rządowej podkomisji powołanej w lutym 2016 r. Dlaczego tak? Bo gdyby była komisja, musiałaby się składać z ludzi mających uprawnienia do badania katastrof lotniczych. A tak można było wziąć, kogo się chce. I o to chodziło! Ludzie wyciągnięci z kapelusza co jakiś czas będą snuć kolejne teorie o wybuchach, bombach itd., a PiS będzie to ogłaszało jako kolejny przełom. Religia przecież potrzebuje cudów. Cudownych objawień.

Dlatego już wiele lat później w podkomisji rządowej miał miejsce wielki spór między Macierewiczem a jednym z jej członków, duńskim inżynierem Glennem Jørgensenem. Zakończył się on odejściem Jørgensena z podkomisji w 2019 r. Duńczyk nie mógł zrozumieć, dlaczego Macierewicz nie chce badać hipotez, które ogłasza, weryfikować ich, a zamiast tego rzuca na stół kolejne. Biedak, jego umysł inżyniera nie pojął, że chodziło nie o jakieś ustalenia, tylko o mieszanie ludziom w głowach.

A Macierewicz, żeby uspokoić wierzących, ale niecierpliwiących się, ogłaszał półraporty – „techniczny" w 2018 r. i „cząstkowy" w 2022 r. Oba pełne bzdur.

Potem te bzdury z największą powagą traktowali prawicowi dziennikarze. Bez ich zaangażowania religia smoleńska długo by się nie utrzymała. Oni tę wiarę nieśli w lud.

Trudno wyczuć, ile w tym było cynizmu – bo na kolejnych teoriach o celowym działaniu świetnie się zarabiało i „Gazeta Polska" co parę tygodni ogłaszała na okładce nowe przełomowe dowody na zamach – a ile prostodusznej wiary. Nawet dziś Anita Gargas, ważna postać w tej grupie, łka, że wszystko by się wyjaśniło, tylko Rosja ukrywa dokumenty. Jakie dokumenty, kobieto?! A ten Donald Tusk, zamiast rzucić wszystkie siły, cały polski wywiad, żeby zdobyć dowody, jest bierny. Czy bardziej niż PiS przez osiem lat rządzenia? I którą wersję zamachu te „dokumenty" mają potwierdzić, bo było ich już kilkanaście? Wzajemnie wykluczających się.

Mieliśmy wszystko, co potrzebne do narodzin religii: męczennika, ojczyznę i naród, którym jego śmierć została poświęcona, oraz naczelnego kapłana – brata bliźniaka.

Ostatnia wersja głosi, że piloci nie chcieli lądować (choć lądowali) i że na 100 m przed słynną brzozą eksplodował ładunek umieszczony w skrzydle. Bomba termobaryczna! Cokolwiek to znaczy. Potem, już bez skrzydła, samolot leciał dalej przez sześć sekund. Piloci zresztą utraty skrzydła nie zauważyli, kontynuowali manewr zniżania. Potem nastąpił drugi wybuch, wtedy samolot rozpadł się na kawałki, choć na taśmie z czarnej skrzynki tego nie słychać. Ale to nieważne, bo Rosjanie ją sfałszowali. Kiedy? To się wyjaśni w przyszłości. Aha, te bomby miały zostać podłożone jesienią 2009 r., gdy samolot był remontowany w Samarze. Czyli Rosjanie założyli, że przez pół roku będzie latał z podłożonymi ładunkami wybuchowymi i nikt ich nie znajdzie. I że z dwóch Tupolewów, którymi transportowano VIP-ów, do Smoleńska poleci ten z bombą.

Religia w działaniu

Kaczyński płynął na tej fali. Regularnie organizował miesięcznice. I co miesiąc wołał do zgromadzonych, stojąc na drabince: „Dochodzimy do prawdy, Antoni Macierewicz nas prowadzi. Już ją widać. Antoni! Antoni!". A publiczność cieszyła się i klaskała, pełna wdzięczności za dobrą nowinę.

Te miesięcznice, gdy PiS doszło do władzy, przekształciły się w wielkie państwowe uroczystości.

W 2016 r. wszystko zaczęło się przed godz. 8 rano, kiedy marszałek Sejmu Marek Kuchciński i marszałek Senatu Stanisław Karczewski złożyli wieńce przed tablicami upamiętniającymi tragicznie zmarłych 10 kwietnia 2010 r. parlamentarzystów oraz marszałka Sejmu III kadencji Macieja Płażyńskiego.

W tym samym czasie w Krakowie prezydent Andrzej Duda uczestniczył w modlitwie przy grobie Lecha i Marii Kaczyńskich w krypcie katedry na Wawelu. A w kościele seminaryjnym w Warszawie uczestniczyli w mszy Jarosław Kaczyński i premier Beata Szydło.

O godz. 9 przed Pałacem Prezydenckim rozbrzmiał Apel Poległych.

Uroczystości miały miejsce również na Powązkach, praktycznie cały dzień, bo wieńce składali i prezydent, i pani premier, i prezes PiS. Po południu Andrzej Duda w obecności Jarosława Kaczyńskiego odsłonił wmurowaną w fasadę Pałacu Prezydenckiego tablicę upamiętniającą Lecha Kaczyńskiego. „Zwracam się dziś do wszystkich z apelem: wybaczmy. Wybaczmy to wszystko sobie wzajemnie. Wszystkie niepotrzebne, a przede wszystkim niesprawiedliwe słowa, wszystkie te gorszące zachowania, wszystkie także i momenty poniżenia", mówi prezydent.

Późnym wieczorem miała miejsce kolejna msza, w katedrze na Starym Mieście w Warszawie. Też uczestniczyli w niej Andrzej Duda, Beata Szydło i ministrowie. A potem uroczystości przeniosły się pod Pałac

eprasa.pl cfd4a4b979

Prezydencki, gdzie przemawiał Jarosław Kaczyński, który konkludował: „Wiem, że zaczęły się prawdziwe śledztwa, i wiem, że Polacy wielokrotnie mylili się, kiedy przebaczali zbyt łatwo. Tak, przebaczenie jest potrzebne, ale przebaczenie po przyznaniu się do winy i po wymierzeniu odpowiedniej kary”.

Koniec, kropka. Kraj został wkręcony w obsesję śledztwa, wymierzania kary, niekończących się mszy i cmentarnych korowodów.

I budowy pomników Lecha Kaczyńskiego oraz katastrofy smoleńskiej. Miejsca kultu muszą być widoczne. Powstał także film „Smoleńsk”, którego uroczysta premiera we wrześniu 2016 r. zgromadziła prezydenta, szefową rządu, ministrów, całe PiS… Klaskali, bo film pokazał, że była bomba.

Czas heretyków

W jaki sposób to szaleństwo zostało zatrzymane? Jeśli chodzi o miesięcznice, to jako pierwsi przeciwko pisowskim manifestantom wystąpili Obywatele RP. Po raz pierwszy 10 listopada 2016 r. – kilkanaście osób stanęło z transparentem ze słowami Lecha Kaczyńskiego o Trybunale Konstytucyjnym.

Ich obecność, białe róże w rękach i transparenty budziły furię. Tłum ich szarpał i pluł na nich. 10 marca 2017 r. wzięła się za nich policja. Zaczęła ich legitymować, ciągać po chodniku, potem kierować sprawy do sądu. Ale było za późno. Chętnych, by stać razem z Pawłem Kasprzakiem, z Obywatelami RP, zrobiło się już kilkuset.

Latem 2017 r. oglądaliśmy w Warszawie regularne bitwy. Kontrmiesięcznice miały po 2-3 tys. uczestników, brały w nich udział także osoby publiczne, jak Agnieszka Holland czy Władysław Frasyniuk. Kontrdemonstranci blokowali przejście z katedry pod Pałac Prezydencki, policja ich wyciągała, działy się dantejskie sceny. Warszawa zaczęła przypominać oblężoną twierdzę: rzędy metalowych barierek i tysiące policjantów zwożonych z całej Polski. Według danych Komendy Stołecznej Policji podczas lipcowej miesięcznicy w 2017 r. bezpieczeństwa na Krakowskim Przedmieściu strzegło 2,3 tys. funkcjonariuszy. W manifestacji PiS brało udział 2 tys. osób. A w zgromadzeniu Obywateli RP – ok. 2,5 tys.

Obywatele RP wygrali. Byli zdeterminowani, tysiące policjantów nie były w stanie ich powstrzymać. Jarosław Kaczyński zmienił wówczas formułę miesięcznic. Już nie odbywały się wieczorem, tylko rano, mniej oficjalnie. I to był pierwszy znak, że religia smoleńska słabnie.

A dobijać ją zaczęły działania nowej struktury, czyli Lotnej Brygady Opozycji, działającej na wzór Pomarańczowej Alternatywy. Lotna Brygada ośmieszała i denerwowała. W listopadzie 2019 r. dokonała za pomocą tekturowego czołgu ataku na władze, wołając: „Poddajcie się, jesteście otoczeni!”. Wściekłość prezesa wywołał też Arkadiusz Szczurek z Lotnej Brygady, który przyjechał na Plac Piłsudskiego z drabiną i transparentem: „Gdzie jest wrak?”. Po czym wszedł na pomnik Lecha Kaczyńskiego i rozwinął transparent.

Pamiętamy także filmy pokazujące, jak Jarosław Kaczyński szarpie się z wieńcem, który złożył pod pomnikiem smoleńskim Zbigniew Komosa. Na wieńcu mogliśmy przeczytać napis: „Pamięci 95 ofiar Lecha Kaczyńskiego, który, ignorując wszelkie procedury, nakazał pilotom lądować w Smoleńsku w skrajnie trudnych warunkach. Spoczywajcie w pokoju. Naród Polski”. Potem oglądaliśmy, jak Kaczyński rzuca się na Komosę, by go uderzyć.

Kraj został wkręcony w obsesję śledztwa, wymierzania kary, niekończących się mszy i cmentarnych korowodów.

Teorię o zamachu dobiły dwa wydarzenia. Po pierwsze, prokuratura, która prowadzi śledztwo (i jeszcze go nie zakończyła), dokonała ekshumacji ciał ofiar katastrofy i wysłała próbki do laboratorium do Włoch, by przebadać je na okoliczność wybuchu. Włosi wykonali zadanie. Przysłane wyniki jednoznacznie potwierdzały, że fragmenty tkanek ofiar nie zawierają żadnych śladów po materiałach wybuchowych. Bomby nie było. Te wyniki prokuratura utajniła. A gdy okazało się, że istnieją, wybuchła wielka awantura.

Z kolei podkomisja Macierewicza zamówiła w USA, w National Institute for Aviation Research (NIAR), badania mające wyjaśnić, jak doszło do katastrofy. Kosztowało to 8 mld zł.









eprasa.pl cfd4a4b979

W grudniu 2020 r. NIAR przesłał wyniki, które wykluczały zamach jako przyczynę tragedii. Cóż więc zrobił Macierewicz? Ukrył je, nie trafiły do raportu podkomisji zaprezentowanego w kwietniu 2022 r. Media to krętactwo zdemaskowały, PiS znów musiało świecić oczami.

Czyli koniec? Niezupełnie.

Jest rachunek do zapłacenia

Bo jest rachunek do zapłacenia. Koszty zabezpieczeń miesięcznic smoleńskich szły przecież w miliony złotych. Od października 2015 r. do lutego 2018 r. w zabezpieczanie miesięcznic zaangażowanych było niemal 32 tys. policjantów. Ile to kosztowało? OKO.press podaje, że prawie 5 mln zł.

A podkomisja Macierewicza? Z raportu MON wynika, że jej prace kosztowały Polskę ponad 81 mln zł. „Koszty działania komisji to 34,5 mln zł. Do tego trzeba doliczyć bezpowrotne zniszczenie samolotu Tu-154, którego wartość wyceniono na 47 mln zł. Łącznie to daje 81 mln zł", mówił Władysław Kosiniak-Kamysz, szef MON. Ponadto 1 mln zł kosztowała ochrona Antoniego Macierewicza, a koszt ekspertyz wynosił ok. 17 mln zł. Członkowie podkomisji za swoją pracę zarobili ok. 12,5 mln zł. Najwięcej Tomasz Ziemski – 890 tys. zł (w latach 2016-2023).

Po raporcie MON, 8 listopada 2024 r., prokuratura wszczęła śledztwo dotyczące wyjaśnienia nieprawidłowości w tzw. podkomisji smoleńskiej. 14 grudnia skierowała do Sądu Okręgowego w Warszawie akt oskarżenia wobec Macierewicza. Uzasadnienie aktu oskarżenia jest w całości niejawne. Według prokuratury od 11 kwietnia 2018 r. do 22 maja 2022 r. Macierewicz ujawnił informacje o klauzuli „ściśle tajne", „tajne", „poufne" i „zastrzeżone" oraz informacje, z którymi zapoznał się w związku z pełnioną funkcją publiczną. Czyny te zagrożone są karą pozbawienia wolności do lat pięciu.

Macierewiczowi jako szefowi zespołu parlamentarnego i rządowej podkomisji chodziło nie o ustalenia, tylko o mieszanie ludziom w głowach.

Sytuacja jest zresztą rozwojowa, wobec Macierewicza formułowane są kolejne pytania, ostatnio dotyczące jego kontaktów z tajemniczymi Rosjanami.

A inni? Czy nie powinniśmy pociągnąć do odpowiedzialności innych oszustów smoleńskich? Czy nie nadszedł czas, by prokuratura zakończyła śledztwo smoleńskie, które prowadzi od 2010 r., czyli prawie 16 lat?

Pora zakończyć tę hucpę, to żerowanie na nieszczęściu Polaków. Bo to my ponieśliśmy największe jej koszty. Religia smoleńska podzieliła rodziny i skłóciła nas. A pewnych rzeczy już się nie cofnie.

Co istotne, odsetek tych, którzy wierzą w zamach, nie maleje. Sondaże pokazywały, że w 2024 r. ze stwierdzeniem: „W Smoleńsku, gdzie zginął m.in. prezydent Lech Kaczyński, miał miejsce zamach, a nie katastrofa", zgadza się 29% ankietowanych. 54% jest przeciwnego zdania. A jeszcze w 2021 r. zamach wskazywało 26%. Oto siła wiary.

Ale ona już jest mniej groźna, jej potencjał się wypalił. Macierewiczem w PiS już od lat się nie chwalą. Politycy PiS przeważnie unikają rozmów o tym, czy była katastrofa, czy zamach, wolą odpowiadać, że to sprawa wciąż nie do końca wyjaśniona. A Kaczyńskiego tłumaczy się niewygasłym bólem po śmierci brata.

On jednak wie, że to wygasło. Szuka więc nowych religii, nowych mitów i nowych wrogów. I zdaje się, że znalazł. Niemcy, Unia Europejska – tym dziś straszy.

Oczywiście 10 marca składał kwiaty pod pomnikiem brata i pod pomnikiem ofiar katastrofy, ale imponujące to nie było. Składał je w otoczeniu najbliższych współpracowników. Towarzyszyła temu grupa kontrdemonstrantów. Też nieduża. A to oni okazali się najważniejsi! „Grupa Putina działa tutaj jak dawniej, bezkarnie, bez reakcji sił porządkowych, sądów i tego państwa z dykty, które dzisiaj mamy! – wołał Kaczyński. – Ci ludzie znajdą się tam, gdzie powinni: jedni w więzieniach, inni w zakładach psychiatrycznych". Znów grozi…

Czego więc możemy się spodziewać 10 kwietnia? Mszy, kwiatów, tradycyjnych zaklęć, że prawda czeka na odkrycie. Może będą emocje, może ich nie będzie, to nieistotne. Bo i tak dzień później mało kto będzie o tym pamiętał.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Z głębokim smutkiem przyjąłem informację o śmierci

Romualda Ajchlera

Posła na Sejm II, III, IV, VI, VII i IX kadencji i samorządowca. Człowieka, który w swoim życiu kierował się poczuciem odpowiedzialności za Polskę.

Rodzinie, bliskim i współpracownikom składam wyrazy współczucia.

Włodzimierz Czarzasty
Marszałek Sejmu RP

eprasa.pl cfd4a4b979

Orbán przestał obiecywać, a zaczął straszyć

Stracił rząd dusz, ale zabetonował system

Rozmawia Robert Walenciak



PROF. BOGDAN GÓRALCZYK
– politolog, hungarysta, sinolog, były ambasador w państwach Azji i były dyplomata na Węgrzech. Wykładowca w Centrum Europejskim UW oraz jego były dyrektor.

Czy na Węgrach robią wrażenie te taśmowe wizyty zagranicznych polityków? Ich głosy poparcia dla Orbána?

– Kiedyś robiły, ale już nie robią. Viktor Orbán stracił rząd dusz. Mówię o tym od września. Potwierdzają to sondaże opinii publicznej, rosnące poparcie dla opozycyjnej partii Tisza, potwierdzają ostatnie wiece. Równocześnie nie mam złudzeń: Viktor Orbán tak mocno zabetonował system, że nawet gdyby Tisza wygrała, wcale nie musi rządzić skutecznie, bo będzie miała rzucane kłody pod nogi. Widzimy, jak to jest w Polsce, a tam opór byłby dużo większy.

Cesarz z Hatvanpuszty

Dlaczego Orbán stracił rząd dusz? Co się stało?

– 16 lat, non stop, rządzi! I to konstytucyjną większością!

Więc?

– Obiecywał Eldorado, że Węgry będą kwitnące, MAGA w wersji węgierskiej, i nie dowiózł. Węgry są od dwóch lat na granicy recesji i dzierżą dwa rekordy europejskie. Pierwszy: mają największą inflację, w tym na towary żywnościowe, a tam VAT wynosi 27%, jest najwyższy w Europie. Drugi: mają największą korupcję. Lider Tiszy, Péter Magyar, dotarł do Węgrów z tymi informacjami, pokazał im skalę korupcji. Pojawił się na scenie publicznej dwa lata temu i w ciągu pół roku z jego inicjatywy powstał film „Dynastia". Każdy może go obejrzeć. Jest poświęcony najstarszej córce Orbána, Ráhel, i jej mężowi Istvánowi Tiborczowi, który ma 40 lat i jest jednym z najbogatszych Węgrów.

W 2025 r. jego majątek szacowany był na 151,5 mld forintów, ok. 1,6 mld zł.

– Wszystkie największe hotele w Budapeszcie do niego należą, łącznie ze słynnym Hotelem Gellért. To wszystko jest jego własnością. Ten film w 9,5-milionowych Węgrzech ma ponad 4,5 mln wejść. Czyli nikt nie może powiedzieć, że nie wie, o co chodzi. Na początku tego roku pokazano inny film. Jego tytuł to „Csapda", czyli pułapka, poświęcony szefowi banku centralnego, a tak naprawdę głównemu doradcy gospodarczemu Orbána – Györgyowi Matolcsyemu. Jego syn Ádám z kolegami ze szkoły średniej, bo nawet studiów nie pokończyli, przekręcili 400 mld forintów. To 4 mld polskich złotych, ponad 1 mld dol. Przekręcili i uciekli do Dubaju, tam sobie pokupowali apartamenty. Ten film miał już 1,5 mln wejść.

Te filmy odniosły efekt?

– W czasie ostatniego święta narodowego 15 marca były dwa wiece. Jeden rządowy – Viktora Orbána, drugi Tiszy – Pétera Magyara. Oba obejrzałem. Magyar zdefiniował premiera jako „Cesarza z Hatvanpuszty".

Hatvanpusztai császár...

– Chodzi o stary park na pograniczu Alcsútdoboz, wsi, w której Orbán się urodził. W tym parku stał stary, zrujnowany przez realny socjalizm pałac po Habsburgach. Orbán odnowił go, mocno rozbudował,

eprasa.pl cfd4a4b979

pobudował stajnie, wypuścił zebry, o czym było głośno. Do tego dodał baseny, jest biblioteka jak watykańska, z freskami na suficie. Ta własność należy niby do ojca Orbána, Győzö, który jeszcze żyje, ale każdy wie, że to własność Klanu i premiera. Z kolei najbogatszym Węgrem jest Lőrinc Mészáros, były inkasent gazowy, a potem sołtys rodzinnej wsi Orbána, Felcsút, położonej kilka kilometrów od Hatvanpuszty. Mówią o nim, że to słup Orbána.

Jak Węgrzy zestawią swoją siermiężną codzienność, bo kraj od lat balansuje na granicy recesji, z ostentacją rodziny Orbána, oligarchami i niesamowitym korupcjogennym systemem, to mamy wyjaśnienie, dlaczego Orbán przestał obiecywać, a zaczął straszyć. W efekcie wystąpienie Orbána 15 marca br. polegało na tym, że najczęściej używanym terminem w czasie 20-minutowej przemowy było *háború* – wojna. A wrogiem nie był Magyar, mówca w ogóle go nie wymienił, natomiast wrogami byli kolejno: Kijów, Zełenski, Ukraina, Unia Europejska i Ursula von der Leyen.

Putina nie wymienił.

– Putin, Rosja – nie ma u niego takich tematów. Wiec Pétera Magyara był trzykrotnie większy. Tłum skandował „Ruszkik haza!" – „Ruscy do domu!", czyli to, co Orbán na tym samym Placu Bohaterów krzyczał w roku 1989. Magyar mocno zaprzeczył głównemu hasłu rządowej propagandy, że Tisza to partia wojny. Mówił: my nie chcemy wojny, my nie jesteśmy partią wojny. Nazwał Orbána zdrajcą, zarzucił mu, że sprzeniewierzył się wszystkim hasłom, które na tym samym placu głosił w 1989 r. Na mównicy, z której Magyar przemawiał, widniało hasło: „Most vagy soha!", „Teraz albo nigdy!". To strofy Sándora Petőfiego z 1848 r. Teraz albo nigdy. Albo wygramy, albo Orbán będzie już nam panował dożywotnio.

Mnóstwo ludzi chce, żeby był dożywotnio.

– System jest tam mocno zabetonowany. Ludzie Orbána są wszędzie, we wszystkich instytucjach. Oni i ich rodziny są beneficjentami obecnego reżimu. Boją się rozliczeń. Czyli, jakkolwiek by patrzeć, 30-33% głosów Orbán ma pewnych. Ale reszta jest do zdobycia.

Kto za Magyarem, kto za Orbánem

Właśnie! Kampania wyborcza nie zmieni nastrojów? Orbán ma wszystkie media.

– Ale Péter Magyar, jeżdżąc po kraju, to obszedł. Dotarł do ludzi. Orbán popełnił duży błąd, że zbagatelizował i zignorował w pierwszej fazie, przez pierwsze pół roku działania, fenomen Magyara. Potraktował go po wielkopańsku, jako kogoś nieistniejącego. Do dziś tak postępuje. Nie godzi się na debatę telewizyjną. Nie pójdzie na to, bo w świetle sytuacji gospodarczo-społecznej się nie obroni, będzie przegrany.

A Seklerzy? Mieszkają w dzisiejszej Rumunii, ale mają prawo głosu w węgierskich wyborach. I głosują na Fidesz.

– Seklerów częściowo przywieziono autobusami na wiec Orbána, szczególnie tych starszych, bo młodsi się nie dali. Diaspora węgierska też w ostatnim czasie dostała sporo do myślenia. Po pierwsze, Orbán w zeszłym roku nieopatrznie poparł w rumuńskich wyborach prezydenckich George Simiona, któremu udowodniono związki z Putinem.

Simion jest z nacjonalistycznej partii Sojusz na rzecz Jedności Rumunów (AUR), otwarcie antywęgierskiej.

– Diasporę węgierską podzieliła też powódź w miejscowości Sovata. To było modne uzdrowisko w czasach Horthyego. W tamtejszej kopalni soli doszło do zalania, była powódź. Orbán na nią nie zareagował, a Péter Magyar tam pojechał i od razu zdobył parę punktów. W zeszłym roku ruszył piechotą z Budapesztu do Nagyvárad, czyli Oradei, pierwszego miasta po stronie rumuńskiej. Urządził tam wiec, czyli udowodnił, że bierze pod uwagę także diasporę węgierską. Natomiast ta diaspora w większości raczej będzie głosowała na Fidesz.

A prowincja?

– Raczej też, podobnie jak starsi… Według sondaży w grupie powyżej 55 lat wygrywa Fidesz i to jest jedyna kategoria wiekowa, w której jest górą. A im młodsi, tym większe poparcie dla Tiszy. Co więcej, są sondaże i badania, że gdyby Orbán wygrał jeszcze raz, Węgry opuści znowu z kilkadziesiąt, a może i 100 tys. młodych ludzi. Pamiętajmy, w czasie 16 lat rządów Orbána wyjechało pół miliona Węgrów, głównie młodych i wykształconych. Pytanie, jak będą głosowali, bo władze węgierskie nie ułatwiają głosowania kopertowego, poza tym jest duże zamieszanie, obawa, że będą przekręty.

Manipulując w mediach społecznościowych algorytmami, można w dwa tygodnie zmienić sympatie polityczne społeczeństwa o 2%.

– Podczas poprzednich wyborów, cztery lata temu, Orbán zastosował lepszą taktykę – prostego rozdawnictwa. Transfery do różnych grup wyniosły 2% PKB! Teraz też obiecał. Nic nie mówił o sytuacji społecznej i gospodarczej kraju, ale mówił, że będzie 13. i 14. emerytura. Co więcej, wprowadził ceny regulowane, że benzyna, olej napędowy nie mogą kosztować więcej, niż wskazał rząd. Raz już tak zrobił, na początku pandemii. Wtedy MOL i inne firmy niemal splajtowały i się zbuntowały. Ale teraz, do wyborów, wytrzymają, a po wyborach niech się martwi ten, kto będzie rządził.

W węgierskich wyborach Fidesz zawsze dostawał więcej głosów, niż dawały mu sondaże. Zawsze miał

Viktor Orbán najczęściej używa słowa háború – wojna.

Władimir Putin i Donald Trump stoją twardo za Orbánem.

eprasa.pl cfd4a4b979

dobry finisz. Poza tym czy takich wyborów nie można sfałszować, mając takie środki i wiedząc, o jaką stawkę idzie?

– Można nawet do nich nie dopuścić. Orbán, o czym zapominamy, od 30 marca 2020 r. rządzi dekretami jednoosobowo. Najpierw była pandemia, później wybuchła wojna, a teraz… Rosjanie już mu podpowiedzieli rozwiązanie: urządzić fałszywy zamach, nieudany, i ogłosić stan wyjątkowy. Może też powiedzieć, że jest prawdziwa wojna, więc nie czas na wybory. Na zasadzie: nie dam wam płaszcza i bujajcie się. Jestem pewien, że w sztabie Orbána rozważają wszystkie warianty. Jeszcze mogą być niespodzianki.

Co Putin obiecał Orbánowi?

Co się stało, że dziś Orbán jest takim przyjacielem Putina? Przecież Węgrzy mają pamięć roku 1848, 1956. W 1989 r. Orbán wołał: „Rosjanie, wynocha!”.

– Do końca nie wiemy, co się stało. Uważam, że datą kluczową jest listopad 2009 r. Do tego momentu Orbán był bardzo antyrosyjski i bardzo antyputinowski. Do tego stopnia, że chodził osobiście przed ambasadę rosyjską, żeby demonstrować, i uderzał bardzo mocno w Gyurcsányа, socjalistę, swojego poprzednika na fotelu premiera, który z Rosjanami się układał. Natomiast w 2009 r., kiedy już było wiadomo, że Gyurcsány jest spalony, że wiosną przyszłego roku wygra Orbán, przyjął go w Sankt Petersburgu Władimir Władimirowicz Putin. Panowie rozmawiali przez pół godziny, więc nie tak długo, i od tamtej pory, jak za dotknięciem magicznej różdżki, Orbán stał się miłośnikiem Putina.

Co tam mówiono?

– Treści tej rozmowy nikt nie zna. Ale możemy, poprzez projekcję, domyślać się. Znamy dwie wypowiedzi publiczne Radosława Sikorskiego i jedną uwagę rzuconą mimochodem przez Donalda Tuska, że im też czy to Ławrow, czy osobiście Władimir Putin Lwów proponowali. No to można sobie resztę dośpiewać.

Ukraina Zakarpacka… Orbán uwierzył, że Węgry mogą tam powrócić? Brać udział w rozbiorze Ukrainy?

– A jak teraz działa? Atakuje Ukrainę jak Putin, przynajmniej werbalnie, choć przewożone pieniądze Ukraińcom też zabrał.

A skąd się wzięła nienawiść do Europy? Ta wciąż rosnąca niechęć?

– Viktor Orbán, którego znałem całe lata 90., bo byłem wysokim rangą dyplomatą RP w Budapeszcie, był dwie kadencje przewodniczącym Komisji Integracji Europejskiej. To on wprowadzał Węgry do Unii Europejskiej. No to teraz ma prawo ją nienawidzić, prawda?

To widać? Jest to mocne na Węgrzech?

– Bardzo. W wypowiedziach Orbána nie ma większego wroga niż Ursula von der Leyen. Całe Węgry są oblepione plakatami z uśmiechniętym Zełenskim i hasłem sprzed ośmiu lat. Wtedy na plakatach widniał George Soros ze słowami: „Nie będzie Soros śmiał się ostatni”. A teraz jest: „Nie będzie Zełenski śmiał się ostatni”. To pierwszy plakat. Drugi pokazuje Manfreda Webera, szefa Europejskiej Partii Ludowej, i Ursulę von der Leyen, jak wkładają Zełenskiemu do łapy pieniądze. Takie plakaty są na całych Węgrzech.

W wypowiedziach Orbána nie ma większych wrogów niż Ursula von der Leyen i Wołodymyr Zełenski.

Najważniejsze wybory

A czy Węgrów to nie mierzi? Te wolty? Takie rzeczy typu Rosja, hexit?

– Nie ma pojęcia „Węgrzy”, tak jak nie ma „Polacy”. Zależy, do którego plemienia politycznego pan się zwróci. Widzimy to w Polsce. Na Węgrzech jest to samo, tylko że w sposób bardziej skomplikowany, bo największy był tam obóz apatii. Ten obóz trochę poruszył Péter Magyar. Większość społeczeństwa do tej pory mówiła tak: socjaliści kradli, Orbán kradnie, dużo – bo dużo może, ale nam też daje ukraść. Taka była umowa społeczna. Ona działała, dopóki było co do garnka włożyć. Jak inflacja zaczęła szaleć, to społeczeństwo zaczęło sarkać. I przestał im się Orbán podobać.

A dlaczego Węgry zatrzymały się gospodarczo? Przecież miały bardzo dużo inwestycji.

– Bo korupcja. Bo defraudacje. Bo nie mają od Unii żadnych pieniędzy. Węgry są jedynym państwem Unii Europejskiej, które nie dostało pieniędzy pocovidowych, czyli odpowiednika naszego KPO, a od dwóch lat nie dostają też pieniędzy z Funduszu Spójności. Łącznie Unia zablokowała Węgrom ok. 16 mld euro.

Péter Magyar zapowiada, że po wygranej pierwszą wizytę złoży w Warszawie, a potem pojedzie do Brukseli, żeby odblokować unijne pieniądze. A przykład Polski śledził uważnie, ponieważ na koniec swojego wystąpienia na wiecu 15 marca zwrócił się do dwóch kategorii osób o wyjątkowe wsparcie. Do młodzieży i do kobiet.

I zapowiedział, że będzie rozliczał.

– Kampanii Magyara towarzyszy jeszcze jedno hasło: „Áradt a Tisza!”, „Wzbiera Cisa!”. Cisa to druga węgierska rzeka. Wiosną, kiedy idą roztopy, wzbiera i zmywa wszystkie brudy. I teraz jest hasło główne: „Áradt a Tisza!”. Dlatego te wybory nie są tuzinkowe. Są absolutnie inne niż wszystkie poprzednie. Są najważniejsze od 1990 r. Nie tylko na Węgrzech. I nie tylko dla Węgrów, lecz także dla Europy Środkowej i dla całej Unii Europejskiej.

Dlaczego?

– Dlatego, że po jednej stronie jest obóz proputinowski i antyeuropejski oraz antyukraiński. A po drugiej stronie jest odwrotność. Czyli obóz antyputinowski, antyrosyjski, choć nie do końca proukraiński, bo Tisza wywodzi się z Fideszu i zbyt wielkiej sympatii do Ukrainy elektorat środka by nie zaakceptował, bo zbyt długo rządowe media wtłaczały ludziom nienawiść do Ukrainy i Ukraińców. Ale jest to obóz absolutnie proeuropejski, prounijny.

eprasa.pl cfd4a4b979



Billboard z napisem „Nie płacimy!” jako wyraz sprzeciwu wobec kosztów wojny w Ukrainie i polityki unijnej. Budapeszt, 2 lutego 2026 r.

A Ameryka?

– To jest jeszcze jeden element – mamy sytuację absolutnie paradoksalną, ponieważ Władimir Putin i Donald Trump stoją twardo, ramię w ramię, za Viktorem Orbánem. Doświadczyliśmy tego na CPAC (Conservative Political Action Conference) w Budapeszcie. Byli tam Marine Le Pen, Matteo Salvini, Alice Weidel z AfD i Geert Wilders z holenderskiej Partii Wolności. Przecież to są siły putinowskie, które chcą zniszczyć wszystko, co oznacza dotychczasowa Unia Europejska. Tymczasem Trump te siły wspiera. Dlatego na Węgrzech był Marco Rubio, dlatego on sam przesłał do zebranych na CPAC dwuminutową odezwę i otwarcie poparł Orbána. Wiceprezydent J.D. Vance, o ile wiem, ma przyjechać w pierwszych dniach kwietnia, jeszcze przed wyborami, i też go popierać.

Czyli Orbán jednoczy Putina i Trumpa.

– Orbán czekał, że odbędzie się szczyt Trump-Putin na Węgrzech, w Budapeszcie. Byłoby to dla niego zwycięstwo. Mógłby się pokazać raz jeszcze jako wielki pan. Przecież od dawna tak grał: tu Putin, tu Trump, tu Xi Jinping, tu Erdoğan, tu Netanjahu. Grał zdecydowanie powyżej małego potencjału swojego państwa i to działało, podobało się Węgrom. Ale już nie działa, bo nie dostarczył, nie dowiózł, nie dał do garnka.

Zapowiada się klincz?

Przyjmijmy, że Magyar wygra. Co będzie robił dalej? Jak można rządzić, mając przeciwko sobie administrację, służby specjalne, wojsko i urzędników?

– Nie wiemy, jak będzie, ale wiemy, jak było, gdy rozpadał się system Kádára. Wtedy większość ludzi szybko przeszła na stronę nowego reżimu. Zawsze się wybiera to, co jest korzystne. To po pierwsze. A po drugie... Otóż pod koniec sierpnia pokazano zdjęcia, jak Ráhel i István Tiborczowie wsiadają do samolotu z walizkami. Rahel właśnie wyjechała na roczne stypendium do Stanów Zjednoczonych. Nie ma jej w kraju, a Tiborcz, mimo że ma masę biznesów, też raczej przebywa w Stanach Zjednoczonych niż na Węgrzech. No to co, ścielą nowe gniazdko czy nie ścielą?

Łatwo z tego, co zgromadzili na Węgrzech, nie zrezygnują.

– Viktor Orbán zbudował sobie wielki PGR o nazwie Węgry. Siedzibę premiera stworzył w odnowionym Klasztorze Karmelitów. Ma dom z działką na Wzgórzach Budańskich. Jeszcze jest Felcsút, jego rodzinna wioska, gdzie znajduje się stadion, który wybudował, i parę kilometrów od niego ta Hatvanpuszta, ten pałac z zebrami. Połączone kolejką wąskotorową, którą nikt nie jeździ.

Po co to robić?

– Bo jako dziecko sobie to wymarzył, że takim Habsburgom to było dobrze. Ostrzegałem, 10-15 lat temu. Ukazały się na ten temat moje książki, nawet po angielsku. Nikt mi nie wierzył. Natomiast to pokazuje również potężne błędy po stronie Unii Europejskiej. Wychowaliśmy go sobie. Ustępowano mu, a to go rozzuchwalało. W grudniu ub.r. sam się zgodził, żeby dać Ukrainie transzę pomocową, w wysokości 90 mld euro. A teraz powiedział: nie dam, weto! I musimy czekać do wyborów.

Gdy je wygra, Unia będzie musiała go jakoś obejść.

– W świetle relacji, że minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó dzwonił do ministra Siergieja Ławrowa prosto z posiedzeń Rady Europejskiej czy organów europejskich i o wszystkim go informował, mamy nową jakość. Węgry mogą nawet zostać pozbawione prawa głosu. Jeśli wygra Magyar, sytuacja będzie inna.

Orbán wie, że jak przegra, będzie mu bardzo trudno odzyskać władzę?

– Uważam inaczej: jeden ze scenariuszy jest taki, żeby dać wygrać opozycji, ale niewielką liczbą głosów, pozwolić jej rządzić, ale tak, żeby po trzech-czterech miesiącach ją skompromitować. Patrzcie! Nic nie funkcjonuje! Gospodarka jest w opłakanym stanie! Nie dają rady! Wtedy ludzie będą krzyczeć: Orbán, wróć! Niestety, postawienie Węgier na nogi nie będzie proste. A najgorszy scenariusz jest taki, że może grozić im pat, wzajemny klincz. Oby nie! Ale do tego potrzebne jest zdecydowane zwycięstwo jednej ze stron, a sondaże tego niestety nie zapowiadają.

W sztabie Orbána rozważają wszystkie warianty. Jeszcze mogą być niespodzianki.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cfd4a4b979

Mniej niż zero

Jaki prezydent Polski, taki doradca od ekonomii

Andrzej Sikorski

„Nie ma uszczuplenia rezerw, czyli nie spadnie ilość złota i wartość rezerw walutowych nie zostanie obniżona, czyli jest to bezpieczne rozwiązanie. Bez zadłużenia się budżetu państwa, bez konieczności wzięcia pożyczki. Nie ma także odsetek, ponieważ jest to wypłata zysku NBP" – tak zachwalał prezydencki projekt ustawy SAFE 0% Leszek Skiba, doradca społeczny Karola Nawrockiego. Przypomnijmy, że według narracji obozu prezydenckiego i PiS, zamiast zapożyczać się w Unii Europejskiej, lepiej sprzedać część złota, które jest w zasobach NBP, a uzyskane w ten sposób pieniądze przeznaczyć na zbrojenia.



Karol Nawrocki i Leszek Skiba na uroczystości powołania doradców prezydenta, Warszawa, 18 sierpnia 2025 r.

Sprzedawca iluzji

Zdaniem niezależnych specjalistów to jednak pobożne życzenia. „Ten program nie kosztuje zero. To nieprawda. Możemy dyskutować o różnicach w marżach, ale przedstawianie go jako darmowego źródła finansowania to czysty zabieg PR-owy. Każdy mechanizm oparty na rezerwach czy emisji długu generuje realne koszty obsługi, które musimy brać pod uwagę", tłumaczył ekonomista Marek Zuber w rozmowie z „Gazetą Wyborczą". Jakby tego było mało, nie wiadomo nawet, czy uda się przeprowadzić zakładaną operację sprzedaży złota i ile NBP na tym zarobi.

Ale Leszek Skiba zna się na PR. W latach 2015-2020 był wiceministrem finansów (zajmował się m.in. polityką makroekonomiczną i legislacją podatkową) i opowiadał Polakom bajki, jak PiS troszczy się o budżet państwa. To oszustwo polegało na tym, że rząd „na papierze" chwalił się niskim deficytem, a gigantyczne długi na spełnienie obietnic wyborczych, programy społeczne i tarcze osłonowe zaciągane były w funduszach celowych, nad którymi parlament nie miał kontroli. Sytuacja stała się na tyle poważna, że na naganne praktyki zwróciła uwagę Najwyższa Izba Kontroli.

Gdy w Sejmie debatowano nad podwyżkami akcyzy na alkohol i papierosy, wiceminister Skiba twierdził, że chodzi wcale nie o dodatkowe wpływy do budżetu (1,7 mld zł), ale o zdrowie Polaków, bo przez używki co roku umiera 82 tys. osób. „Jeśli mówicie, że chcecie walczyć z kosztami picia alkoholu i palenia papierosów, to chcielibyśmy poznać, jakie macie programy na tę walkę. Jak chcecie te dodatkowe 1,7 mld zł wykorzystać? Czy może jednak chcecie mieć tylko dodatkową wrzutkę do budżetu?", pytał Skibę poseł Tomasz Trela z Lewicy, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Co ciekawe, kilka miesięcy wcześniej PiS odstrzeliło prezesa Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych Krzysztofa Brzózkę, bo ten zbyt mocno walczył z lobby alkoholowym w obozie władzy. Natomiast poseł Janusz Korwin-Mikke zaproponował wiceministrowi Skibie maksymalne obniżenie podatków od alkoholu, tak aby butelka wódki kosztowała 2 zł zamiast 20 zł. „Dzięki temu pijak nie przepiłby 18 zł, a tylko 2 zł, i kupiłby sobie zagrychę, jego żona by sobie coś kupiła i inni by zarobili. To 18 zł kursowałoby po prowincji i napędzałoby gospodarkę", przekonywał.

Bankowiec

W 2019 r. Skiba bez powodzenia kandydował do Sejmu z listy PiS. W kwietniu 2020 r. po pięciu latach pracy w Ministerstwie Finansów przesiadł się na stołek prezesa Pekao (tego z żubrem), drugiego największego banku kontrolowanego przez skarb państwa. Kilka miesięcy wcześniej z funkcji szefa Pekao zrezygnował Michał Krupiński, młody, gruntownie wykształcony

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl cfd4a4b979

na zagranicznych uniwersytetach i bardzo zdolny menedżer kojarzony z frakcją ziobrystów.

Krupiński odszedł z Pekao w listopadzie 2019 r. po publikacji artykułu w niemieckim dzienniku „Die Welt". Warszawski korespondent gazety Philipp Fritz w tekście „Złoci chłopcy za plecami Kaczyńskiego" opisał poglądy pisowskich menedżerów. Wśród nich był m.in. Krupiński, który jako jedyny zgodził się na rozmowę pod nazwiskiem. Jarosława Kaczyńskiego wedle plotek rozzłościł fragment, w którym niemiecki dziennikarz napisał, że „nowa elita gospodarcza ma kontakty z kierownictwem partii, ale menedżerowie nie utożsamiają się z wulgarną, nacjonalistyczną retoryką i nagonką na homoseksualistów", co zostało zinterpretowane jako poglądy Krupińskiego.

Jak wiadomo, prezes PiS wybacza wiele, ale nie plucie na matkę partię, i to w niemieckiej gazecie. Podobno oliwy do ognia dolał Jacek Sasin, który toczył wojnę podjazdową ze Zbigniewem Ziobrą o wpływy w spółkach skarbu państwa. Krupiński został zmuszony do rezygnacji, a jego miejsce na krótko zajął Marek Lusztyn, dotychczasowy wiceprezes banku, bez umocowania politycznego.

Przejście Skiby (któremu przyczepiono łatkę człowieka Sasina) z resortu finansów do Pekao ogłoszono nocą i komentowano jako „szerszy trend przechodzenia polityków i urzędników powiązanych z PiS do biznesu, tj. do spółek skarbu państwa kontrolowanych przez partię rządzącą". Tarcia polityczne w PiS musiały być poważne, bo Skiba czekał prawie rok, aż jego kandydaturę oficjalnie zatwierdzi Komisja Nadzoru Finansowego.

Skiba w przeciwieństwie do Krupińskiego był ostrożny i szybko wyczuł, jak dobrze się ustawić. Jedną z jego pierwszych spektakularnych decyzji było podarowanie Tadeuszowi Rydzykowi obrazu „Anioł" Jana Matejki z bogatego zbioru dzieł sztuki będącego własnością banku. Obraz został uroczyście przekazany przez Skibę toruńskiemu zakonnikowi w grudniu 2021 r., podczas 30. urodzin Radia Maryja, i trafił do tworzonego Muzeum Pamięć i Tożsamość im. Jana Pawła II.

„Rok temu rozmawialiśmy z ojcem dyrektorem (...), że nie może być muzeum dotyczącego historii Polski bez dzieła Jana Matejki. I tego dzieła nie było nigdzie, nie mogliśmy go nigdzie znaleźć, nie mieliśmy na niego sponsora, dobrodzieja. I tak się złożyło, myślę, że to anioł stróż trzy tygodnie temu zaprowadził mnie do prezesa Pekao pana Leszka Skiby, który jest tu z nami, i ten – niebacznie – powiedział, że mają w swoim zasobie dzieło Jana Matejki, które przedstawia anioła (...). I tak właściwie następnego dnia zadzwoniłem do ministra aktywów państwowych pana Andrzeja Śliwki (wiceministra aktywów państwowych – przyp. A.S.) i mówię, że proszę o pomoc w szybkim kontakcie z panem premierem Sasinem, ponieważ jest dzieło sztuki, które powinno być upublicznione wszystkim, którzy mogliby go oglądać, i świetnie by pasowało do Muzeum Jana Pawła II w Toruniu", mówił Andrzej Jaworski, były poseł PiS i sekretarz rady muzeum.

Czyli okazuje się, że prezes banku notowanego na giełdzie, którego akcjonariuszami są prywatni inwestorzy, jest tylko marionetką w rękach polityków partii rządzącej i to nie on decyduje o wewnętrznych sprawach kierowanej przez siebie instytucji, takich jak przekazanie darowizny, tylko wicepremier polskiego rządu.

Figurant

Leszek Skiba jako prezes banku zarabiał gigantyczne pieniądze. Wedle doniesień medialnych tylko w 2023 r. wzbogacił się o ponad 2 mln zł. Dobrze wiedział, dzięki komu stał się milionerem, i odwdzięczał się politycznym protektorom, jak tylko mógł. Zgodził się, aby członkiem zarządu Pekao został Piotr Zborowski, zaufany człowiek Jacka Sasina, bez doświadczenia w bankowości. Zanim Zborowski trafił do banku, pracował w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów jako doradca w gabinecie politycznym Sasina oraz w Ministerstwie Aktywów Państwowych.

Na bankowych korytarzach plotkowano, że choć to Skiba jest prezesem, Zborowski podejmuje i zatwierdza wszystkie kluczowe decyzje. Takie jak zatrudnianie doradców członków zarządu banku. Lukratywne posady dostali m.in. Małgorzata Raczyńska-Weinsberg, przyjaciółka matki Jarosława Kaczyńskiego, Jarosław Olechowski, szef informacji w TVP w czasach Jacka Kurskiego, Agnieszka Piesiewicz, żona pisowskiego prezesa PKOI Radosława Piesiewicza, Ryszard Madziar, były burmistrz Wołomina i szef gabinetu politycznego Jacka Sasina. Ponieważ barwne towarzystwo nie miało bladego pojęcia o bankowości i ekonomii, zostało zatrudnione fikcyjnie, ale brało za nicnierobienie prawdziwe pieniądze. Raczyńska-Weinsberg zainkasowała 3,3 mln zł, Olechowski ok. 1,4 mln zł, Madziar 3 mln zł, Piesiewicz ponad 1 mln zł. W sumie w latach 2017-2024 przez Pekao przewinęło się 18 doradców, których zarobki pochłonęły ok. 30 mln zł.

„Nie spotkałem się w moim 45-letnim życiu zawodowym z podobną sytuacją. Tak, zatrudniałem doradców zarządu, powierzałem im obowiązki, delegowałem do wykonywania różnych czynności, zapoznawałem się z ich opiniami. I szanuję obszar swobody zarządczej, jaki przysługuje osobom kierującym tak skomplikowaną instytucją jak bank. Ale praktyki, z jakimi zapoznałem się, czytając opisy raportów, pozostawały poza moją wyobraźnią, rozumieniem przyzwoitego warsztatu zarządczego i poczuciem odpowiedzialności za kształtowanie kultury pracy i kultury zarządczej banku", napisał w specjalnym liście do pracowników banku nowy prezes Pekao Cezary Stypułkowski.

Miliony złotych wytransferowano do propisowskich mediów (w formie reklam) i na opłacenie imprez o charakterze politycznym. Pieniądze (ponad 4,6 mln zł) zasiliły konta propisowskich organizacji, takich jak Fundacja Niezależne Media, Stowarzyszenie Pokolenie oraz Fundacja Polska360. Jako figurant Skiba będzie mógł z czystym sumieniem powiedzieć przed prokuratorem i w sądzie, że to nie on podejmował decyzje.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl cfd4a4b979



Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

O sztuce myślenia do góry nogami

Czy warto zajmować się przeszłością, czy to nie strata czasu? Przeszłości przecież już nie ma. Komu potrzebny jest gruz pamięci, po co nam wypłowiałe obrazki? Natrętne mamidło naszych czasów – pojęcie postępu – zachęca nas do przekory. Obrazków jednak nie lekceważmy, wielka albowiem jest siła przykładów. Czasami potrafią powiedzieć więcej niż wielotomowe biblioteki. Pokazać to, czego nie potrafilibyśmy – a może nawet nie chcielibyśmy – zobaczyć.

Wniosek: nauczmy się patrzeć przeszłości prosto w oczy. Na przykład kwestia dobra i zła. W jakim punkcie trzeba przyłożyć oko, by uchwycić różnicę? Jak sobie radzić, gdy wszystkie prawdy stanęły na głowie i musimy myśleć „do góry nogami", uczestnicząc w coraz większym zamieszaniu? Tak to dziś wygląda. Toczą się wojny, coraz wyraźniej widzimy, że pojęcia prawa i moralności wyrwały się nam spod kontroli. Ostatecznie kto ma siłę, ten ma rację.

Żyjemy w czasach, które z wielkim zapałem deklarują się po stronie „wartości". W moich najbardziej przygnębiających snach widzę transparenty z napisem: „Jesteśmy po stronie wartości". Kto? Oczywiście „My". A zatem? Wiadomo, ci lepsi. Oto maligna naszych czasów – założycielska fikcja „wolnego świata". Pogląd, zgodnie z którym Zachód stanął na szczytach dziejów, prowadząc krucjaty w obronie „wartości". Broniąc cywilizacji przed barbarzyńcami. Kolejna manifestacja tej „prawdy" nabrała dziś kształtu w Iranie.

W 1812 r. Napoleon postanowił wyruszyć na Moskwę. Jego intencje były szlachetne – określając swoje stanowisko wobec Rosji, oświadczył: „Trzeba ich odrzucić tak daleko w głąb lodowatej pustyni, żeby nie wrócili i nie wtrącali się do spraw cywilizowanej Europy". Cywilizacja wypowiedziała wojnę antycywilizacji.

Ciekawe, minęło ponad 200 lat, a my wciąż nie opuszczamy naszego posterunku – żyjemy w trwodze, z myślą o nadciągającej nawałnicy. Eksperci każą się mieć na baczności. Snują swoje przewidywania: dwa, trzy lata, a może pięć. Wszystko jest jasne, czasu zostało niewiele. Z drugiej strony kalkulacje strategów obejmują dziesięciolecia. Planujemy wydatki, próbujemy zaciągać kredyty. Jakie źródła mają zatem potoki „jasnowidzenia" podsycające atmosferę napięcia? Komu są tak bardzo potrzebne werble wojenne? Co oznacza to podwójne widzenie, to rozdwojenie jaźni? Czy na tym polega polityka bezpieczeństwa? Może warto wziąć głębszy oddech i postawić na trzeźwe przewidywania? Bądźmy ostrożni: gdy emfaza myli się z rzeczywistością, polityka staje się elementem nierzeczywistości.

A sama rzeczywistość? Kapryśna to bestia. Napoleon liczył dość długo na zbliżenie z Rosją. Kierując westchnienia w stronę młodszej siostry Aleksandra I, wielkiej księżnej Anny, zakładał, że małżeństwo z Anną pojednałoby dwa cesarstwa, inicjując – jak pisze historyk Adam Zamoyski – „symboliczne zaślubiny Wschodu z Zachodem". W listopadzie 1809 r. cesarz Francuzów oświadczył się, skierował do cara oficjalną prośbę o rękę wielkiej księżnej. Czekał, ale bez rezultatu. Aleksander I był już wtedy zdecydowanie nieufny. Początkowo ulegał urokom Napoleona, z czasem nabierał jednak coraz większego dystansu. Zaczynał traktować cesarza Francuzów z wyższością. Twierdził np., że do rzeczy, które odróżniają go od Napoleona, należy także to, że lepiej od niego mówi po francusku.

Pojęcia prawa i moralności wyrwały się nam spod kontroli. Ostatecznie kto ma siłę, ten ma rację.

Dobra pogoda nigdy nie trwa wiecznie. Oba państwa zmierzały coraz wyraźniej w kierunku wojny. Jak to jest, czy wojny mają jakieś obiektywne przyczyny, czy też kapryśne bóstwa losu robią z nami, co chcą? Cóż, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi, przyjrzyjmy się faktom, popatrzmy, jak potoczyła się wielka batalia na szańcach cywilizacji. Stańmy u boku Napoleona, obserwujmy dobro w działaniu.

Cywilizacja nacierała z impetem. Barbarzyńcy nie mogli liczyć na zmiłowanie. „W okolicach miasta i w pobliskich wsiach – zapisał jeden z obserwatorów (rzecz dotyczyła Wilna) – dochodziło do niespotykanych ekscesów. Rabowano kościoły, znieważano święte kielichy, nie szanowano nawet cmentarzy, gwałcono kobiety". Polski oficer uczestniczący w pochodzie Napoleona zanotował: „Szlak Attyli nie mógł być usłany bardziej wstrząsającymi świadectwami barbarzyństwa" (cytuję za: Adam Zamoyski, „Napoleon. Człowiek i mit").

Scena ostatnia – nagrody za męstwo i poświęcenie. 11 lipca do Wilna przybyli polscy delegaci. Na audiencję u Napoleona czekali trzy dni. Gdy zapytali o plany cesarza dotyczące Polski, dowiedzieli się, że planów nie ma. Na pocieszenie usłyszeli: „Jeśli naród polski powstanie i będzie dzielnie walczył, opatrzność może nagrodzić go niepodległością". Wnioski nasuwają się same: praktykując myślenie do góry nogami, zachowajmy wiarę w niewyczerpaną moc opatrzności. To ostatnia nadzieja. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cfd4a4b979

Sprawdź, zanim odbierzesz

Liczba oszustw telefonicznych rośnie. Oszuści podają się za pracowników banków czy instytucji publicznych

Kornel Wawrzyniak

Komenda Główna Policji oraz CERT Polska ostrzegają w kolejnych komunikatach przekazywanych przez media, aby uważać na oszustwa telefoniczne. Obecnie są one jedną z najczęściej zgłaszanych form cyberprzestępczości. Przestępcy wykorzystują zarówno proste sposoby socjotechniczne, jak i bardziej zaawansowane techniki manipulacji numerami telefonów. Wszystko po to, aby wzbudzić w ofiarach zaufanie. Właśnie dlatego specjaliści od cyberbezpieczeństwa zalecają, aby przed oddzwonieniem lub odebraniem nieznanego połączenia najpierw sprawdzić dany numer telefonu.

Najpopularniejsze sztuczki

Za sprawą rozwoju technologicznego i dostępu do zaawansowanych narzędzi poprzez internet, oszustwa telefoniczne stały się bardzo łatwe do przygotowania. W sieci można znaleźć instrumenty umożliwiające podszywanie się pod dowolny numer telefonu. Taką technikę nazywa się spoofingiem. Oszust dzwoni do potencjalnej ofiary, sprawiając, że na ekranie telefonu wyświetla się numer innej osoby lub instytucji. Tym sposobem przestępca podaje się za pracownika banku, kuriera czy urzędnika. Widząc taki numer telefonu, ofiara staje się mniej czujna i zakłada, że rozmowa jest wiarygodna.

Przestępcy coraz częściej korzystają z rozległych baz numerów dostępnych w internecie. Źródłem tych danych są m.in. wycieki informacji, ogłoszenia publiczne oraz formularze online. W rezultacie osoby zaangażowane w działalność przestępczą mają możliwość wykonywania setek, a nawet tysięcy połączeń każdego dnia. Jak podkreśla w rozmowie z Polską Agencją Prasową ekspert cyberbezpieczeństwa Jakub Goldberg z serwisu ktoto.info, masowa skala takich działań sprawia, że choć większość odbierających szybko się rozłącza, to nawet niewielki odsetek oszukanych wystarcza, aby przestępcy osiągali realne zyski.

Oszustwa telefoniczne mają kilka schematów. Wśród najczęściej powtarzających się jest udawanie pracownika banku. Oszust informuje o rzekomym zagrożeniu konta i próbuje skłonić spanikowaną ofiarę do zainstalowania specjalnej aplikacji, podania danych logowania lub do wykonania przelewu na „awaryjne konto" w celu ochrony pieniędzy. Każde z tych działań prowadzi w rzeczywistości do przejęcia środków finansowych ofiary. Warto pamiętać, że pracownicy banku nigdy nie proszą o dane logowania.

W sieci można znaleźć narzędzia umożliwiające podszywanie się pod dowolny numer telefonu. Taką technikę nazywa się spoofingiem.

Druga kwestia, o której warto pamiętać w przypadku telefonu z banku, to sprawdzenie, czy rzekomy pracownik wie, z jakiego banku do nas dzwoni. Jeśli głos po drugiej stronie słuchawki zaczyna od pytania: „Czy ma pan/pani konto w banku X?", to możecie być, drodzy czytelnicy, pewni, że dzwoni naciągacz.

– Byłem na wakacjach w Madrycie. Dzwonią do mnie niby z banku. Dopiero po chwili wpadłem na to, że to oszuści. Fałszywy pracownik powiedział, że dzwoni z banku Millennium, i to ja go poprawiłem, że mam konto w mBanku. Facet po drugiej stronie słuchawki powiedział, że się przejęzyczył. Szybko zaimprowizował, że miał na myśli to, że oszuści posługują się kontem z banku Millennium. I na dodatek mieli się powoływać na moje drugie konto – opowiada „Przeglądowi" pan Mariusz, przedsiębiorca z Torunia.

Drugi najpopularniejszy scenariusz to oszustwo związane z przesyłką kurierską. Rozmówca informuje nas, że ma problem z dostarczeniem paczki, bo ta wymaga dopłaty. Po sekundzie dostajemy link, w który mamy kliknąć, albo prośbę o podanie danych do płatności. Ten gatunek oszustów aktywizuje się zwłaszcza w okresie świąt. Wtedy plagą są SMS-y z linkami do dopłat. Tutaj znowu warto wyciszyć emocje i przypomnieć sobie, czy w ogóle coś zamawialiśmy, a jeśli tak – to jaką drogą. Oszuści strzelają w ciemno, licząc, że akurat trafią z firmą kurierską. Podstawą jest jednak pamiętanie o tym, że za przesyłkę płaci się albo od razu przy zamówieniu, albo przy odbiorze. Wtedy kurier puka do drzwi, paczkomat zaś żąda pieniędzy, zanim otworzy drzwiczki z przesyłką. W wielu przypadkach zaś np. sklepy oferują darmową przesyłkę. I nikt nie może doliczyć po drodze ze sklepu do naszego domu dodatkowych kosztów – byłoby to niezgodne z prawem wprowadzenie klienta w błąd.

Podejrzane numery

Rozpoznanie potencjalnie niebezpiecznych numerów telefonów może być trudne, jednak istnieją charakterystyczne sygnały ostrzegawcze, które warto wziąć pod uwagę. Jednym

eprasa.pl cfd4a4b979

z nich jest połączenie przychodzące z zagranicznego numeru. Bardzo często chodzi o skłonienie do oddzwonienia na numer o podwyższonej opłacie. Szczególną ostrożność trzeba włączyć w przypadku tzw. wędki, czyli próby połączenia z zagranicznego numeru tak krótkiej, że uniemożliwia odebranie telefonu. To popularna metoda prowokowania oddzwonienia. Należy również zachować ostrożność w sytuacjach, gdy rozmówca prosi o podanie poufnych danych, takich jak hasła, kody autoryzacyjne czy dane logowania do czegokolwiek, zwłaszcza do bankowości elektronicznej. Ani instytucje finansowe, ani urzędy nigdy nie proszą o takie informacje drogą telefoniczną.



Rosnąca liczba niechcianych i podejrzanych połączeń spowodowała, że popularne stały się serwisy internetowe umożliwiające weryfikację numerów telefonów. Za ich pomocą użytkownicy mogą sprawdzić, czy określony numer telefonu był zgłaszany przez innych jako źródło spamu, służył do działań telemarketingowych bądź prób oszustwa. Tego typu serwisy są proste w obsłudze. Wystarczy w wyszukiwarce portalu wpisać numer, aby zobaczyć, czy nie został on wcześniej zgłoszony przez innego użytkownika. Opinie internautów pozwalają bardzo szybko się zorientować, czy dany telefon stanowi zagrożenie lub jest agresywnym telemarketingiem. Warto więc najpierw sprawdzić nieznany numer, aby uniknąć niepotrzebnego ryzyka lub po prostu straty czasu, kiedy ktoś będzie chciał wcisnąć nam np. garnki podczas „bezpłatnego badania wzroku".

Zdrowy rozsądek w cenie

Należy pamiętać, że żadne narzędzie nie zastąpi zdrowego rozsądku. Eksperci ds. bezpieczeństwa cyfrowego podkreślają, że mimo rozwoju technologii i dostępnych darmowych narzędzi do identyfikowania numerów telefonów najważniejsza jest ostrożność. Oszustwa cały czas ewoluują, a przestępcy znajdują kolejne patenty na zmanipulowanie swoich ofiar. W przypadku najdrobniejszej wątpliwości lepiej przerwać rozmowę, a następnie samodzielnie skontaktować się z daną instytucją, która rzekomo kontaktowała się z nami. Najlepszym na to sposobem jest zadzwonienie na oficjalny numer telefonu dostępny na stronie internetowej firmy bądź urzędu.

Skalę pomysłowości przestępców pokazują oszustwa „na policjanta". Złodziej dzwoni, podając się za funkcjonariusza policji lub prokuratora, recytuje nazwę jednostki, numer legitymacji, a następnie sugeruje, aby się nie rozłączać. To utrudnia potencjalnej ofierze weryfikację dzwoniącego, choćby pod numerem 997. Trik polega na tym, że ten „policjant" czy „prokurator" informuje o rozpracowywaniu grupy przestępczej lub trudnościach natury prawnej i prosi o współpracę. Najczęściej będzie chodziło o przelew lub zaciągnięcie kredytu. Krakowska policja ostrzegała pod koniec 2025 r.: „Policjanci nigdy nie informują telefonicznie o tajnych akcjach i nigdy nie przyjeżdżają po pieniądze". Podkreślała to w mediach podkom. Iwona Szelichiewicz z komendy wojewódzkiej w Krakowie. W pierwszych trzech kwartałach 2025 r. w Małopolsce doszło do prawie 230 oszustw, w których seniorzy stracili ponad 12 mln zł.

W pierwszych trzech kwartałach 2025 r. w Małopolsce doszło do prawie 230 oszustw, w których seniorzy stracili ponad 12 mln zł.

Ofiarami oszustów telefonicznych nie padają jednak wyłącznie seniorzy, lecz każda osoba, która daje się ponieść emocjom. Eurypides mówił, że „mądrym jest ten, który wie, kiedy zachować spokój". I ta sentencja wyjątkowo dobrze sprawdza się w obliczu oszustw. Gdy zwraca się do nas jakaś instytucja, należy pamiętać, że zawsze mamy czas i możliwość oddzwonienia. Jeśli ktoś próbuje wywołać w nas poczucie niepewności i każe działać natychmiast, można mieć pewność, że to oszust. Warto wtedy sprawdzić jego reakcję, mówiąc, że za chwilę oddzwonimy – i się rozłączyć. Następnie spokojnie sprawdźmy, o co chodzi. Pomaga rozpisanie sobie wszystkiego na kartce. Pieniądze na koncie są zapewne bezpieczne, a policja nie przyjedzie po nas za pięć minut z powodu zerwania połączenia. Dobrze jest zadzwonić do bliskich i powiedzieć im o sytuacji. Jak pisał Tuwim, „świat należy do entuzjastów, którzy umieją zachować zimną krew".

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cfd4a4b979

Ucieczka z sociali

Europejska odpowiedź na amerykańskie platformy

Kornel Wawrzyniak

Wszyscy straszą nas TikTokiem i chińskim praniem mózgu. W dużym stopniu jest to uzasadnione. A jednocześnie wygodne dla pozostałych platform społecznościowych, które podobnie jak ta chińska wcale nie działają w interesie Europejczyków. Problem w tym, że większość użytkowników nawet nie wie, jak algorytmy wpływają na ich życie. Europa w obliczu prezydentury Trumpa dopiero zaczęła dostrzegać konieczność uniezależnienia się od amerykańskich big techów.



Hegemonia

Supremacja amerykańskich platform społecznościowych jest niezaprzeczalna. Facebook gromadzi 3,06 mld użytkowników miesięcznie, z czego 2,11 mld korzysta z serwisu każdego dnia. W Polsce z tego medium korzysta 25,54 mln użytkowników. Najważniejszą platformą w Europie jest Instagram, który odnotowuje szybki wzrost. Według danych firmy Meta, właściciela Facebooka i Instagramu, od stycznia do czerwca 2025 r. ten drugi urósł o 6,17%, podczas gdy pierwszy zaledwie o 0,65%. Nad Wisłą mamy 18,6 mln użytkowników Instagramu. Na świecie po niecałych 15 latach działania platforma przekroczyła 3 mld odwiedzających miesięcznie.

Z badania Mediapanel wynika, że tylko w grudniu 2025 r. przeciętny użytkownik FB spędził na nim prawie 18 godzin. Z IG internauci korzystali średnio 5 godzin i 56 minut. Obie platformy bije na głowę TikTok, z którego korzysta ok. 16 mln polskich internautów. Użytkownicy chińskiej platformy spędzają na niej średnio 22,5 godziny. Dużą popularnością cieszy się również X, czyli dawny Twitter, z 6,5 mln polskich użytkowników. Poświęcają temu serwisowi średnio godzinę i 43 minuty.

Przeciętny użytkownik nie widzi jednak, jak na jego codzienność wpływają algorytmy, które rządzą platformami. Twórcy cyfrowi najczęściej ślepo podążają za trendami proponowanymi przez platformy. W internecie rządzi emocja, która daje lepsze zasięgi. Niektórych twórców można posądzić o złą wolę, lecz większość bardziej niż konsekwencjami społecznymi przejmuje się zasięgami. Jeśli lepiej chwyta przekaz antyunijny, influencerzy idą w to, bo temat dobrze się klika.

Mark Zuckerberg, szef Mety, na początku 2025 r. zapowiedział, że kończy współpracę z zewnętrznymi weryfikatorami faktów. Zarzucił im m.in. „zbytnią stronniczość polityczną". Jednocześnie zapowiedział system podobny do tego, który jest wykorzystywany w serwisie X, gdzie o wartości danej treści decydują użytkownicy. Tymczasem X od momentu przejęcia przez Elona Muska stał się rozsadnikiem fake newsów. Nieważne są fakty, liczy się zgodność z poglądami właściciela serwisu. „Wreszcie miliarderzy od mediów społecznościowych przestają udawać, że ich produkty mają cokolwiek wspólnego z mediami", skomentował po zapowiedziach Zuckerberga Bartosz Węglarczyk, redaktor naczelny Onetu.

Zuckerberg ma z mediami na pieńku od lat. W 2021 r. zablokował użytkownikom z Australii możliwość dzielenia się linkami do serwisów informacyjnych i stron rządowych, a nawet do prognozy pogody. Było to pokłosie tworzonej wtedy ustawy, która miała nakazać big techom płacenie za korzystanie z wiadomości z portali informacyjnych. Podkreślmy, że działo się to w szczycie pandemii COVID-19. „Te działania tylko potwierdzają wyrażane przez rosnącą liczbę krajów obawy co do zachowania big techów, które myślą, że są większe niż państwa i że zasady nie powinny ich obowiązywać", napisał ówczesny premier Australii Scott Morrison.

Ta i inne sytuacje w ciągu lat pokazały, że czas uregulować prawnie działanie wielkich platform cyfrowych. W Unii Europejskiej wprowadzono więc Digital Services Act (DSA). Polska jest ostatnim krajem

eprasa.pl cfd4a4b979

unijnym, który nie wdrożył DSA. Ustawa o usługach cyfrowych została niedawno zawetowana przez prezydenta Karola Nawrockiego. Decyzję pochwalił ambasador USA, ponieważ weto chroni amerykańskie interesy. Poparcie wyraził również Elon Musk. Sam Nawrocki mówił coś o Orwellu i cenzurze.

Tymczasem w innych krajach DSA już działa i jakoś nikt nie zakręcił tam kurka z internetem. Minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski tak skomentował weto prezydenta w „Przeglądzie": „Obecnie nie ma skutecznej walki z przestępstwami popełnianymi w sieci, bo nie mamy możliwości egzekwowania od platform cyfrowych przestrzegania prawa. Musimy wzmocnić nadzór nad tymi platformami, aby zwiększyć ochronę użytkowników. Państwo musi mieć możliwość szybkiej reakcji, kiedy pojawia się np. rosyjska dezinformacja czy zamieszczane są nielegalne treści, takie jak zdjęcia pedofilskie".

Alternatywy brak

A może Facebooka i Instagram da się czymś zastąpić? Na razie każda kolejna inicjatywa albo upada, albo niknie w obliczu skali głównych graczy. Większość użytkowników nie widzi też potrzeby szukania czegoś poza głównym nurtem. Wystarczy spytać nastolatki, które co prawda stwierdzą, że Facebook jest dla boomerów, ale wszystkie są na Instagramie.

IG został założony w 2010 r. jako miejsce do publikowania zdjęć w stylu tych z Polaroida. Jeśli przyjrzymy się serwisom typu Pinterest, 500px czy Tumblr, to czysto teoretycznie możemy stwierdzić, że skoro służą do publikacji zdjęć, mogą stanowić alternatywę. Problem w tym, że Instagram stał się czymś zupełnie innym.

Obecnie to maszyna sprzedażowa. Sprzedaje się tu albo produkty, albo siebie i swoje życie. Będąc influencerem, zazwyczaj robi się jedno i drugie. Można powiedzieć, że Instagram pozwala odkryć społeczeństwu nowy wymiar bycia znanym z tego, że jest się znanym. Pomijam celebrytów, którzy wykorzystują to medium do dodatkowego monetyzowania popularności. Poziom niżej mamy jednak instagramerów i instagramerki, znanych właściwie wyłącznie z bytności w portalu.

Jeśli tylko się uda stworzyć europejskie platformy, warto będzie na nie postawić.

Weźmy Kacpra „Jaspera" Porębskiego, obecnie jedną z najpopularniejszych osobowości polskiego internetu. Wyróżniony zresztą został jako Lifestylowy Twórca Roku na TikToku. Co takiego pokazuje fanom? Zmiany fryzury, rozładowany akumulator w samochodzie, zakupy, relacje z podróży itd. Niby nic, ale chłopak zatańczył w najnowszej edycji „Tańca z gwiazdami", bo jest znany z tego, że jest znany. A tak naprawdę telewizja robi sobie dzięki takiej współpracy dodatkowe zasięgi w internecie.

Okazuje się więc, że z mediów społecznościowych można dobrze żyć. Treści przedstawiane w serwisie przez największe konta są profesjonalnie przygotowane i wyreżyserowane (tak, również te spontaniczne). To piękne kłamstwa, które fajnie się ogląda. Czy użytkownicy rzeczywiście chcieliby z tego zrezygnować?

Wyloguj się do życia

Jeśli nie da się odpowiednio uregulować amerykańskich platform, to najwyższy czas pomyśleć o europejskiej alternatywie. Europejscy politycy alarmują o skali nadużyć big techów. Ogromny wpływ na debatę publiczną ma m.in. X należący do Elona Muska, sympatyka Donalda Trumpa. Treści deepfake, anonimowe konta i brak realnej odpowiedzialności potrafią tam skazić wszelką wymianę myśli (podobnie jak w mediach społecznościowych Mety i na TikToku). Na scenę tymczasem wchodzi nowa platforma – W Social.

Za projektem stoi Anna Zeiter, przez 11 lat jedna z kluczowych postaci w eBayu (serwisie aukcji internetowych). 46-letnia menedżerka opisuje nową platformę jako lepszą wersję X. Jej celem ma być promowanie pozytywnej komunikacji opartej na szacunku. Każdy użytkownik będzie zobowiązany do potwierdzenia swojej tożsamości jako człowiek, co ma wyeliminować fałszywe konta oraz boty wykorzystywane do szerzenia dezinformacji i propagandy.

W Social ma także przeciwdziałać powstawaniu baniek informacyjnych – na życzenie użytkownika część wyświetlanych treści będzie pochodzić z innych obszarów opinii. Dane mają być zdecentralizowane i przechowywane w Europie przez tutejsze firmy, a platforma będzie działać zgodnie z unijnymi przepisami o ochronie danych osobowych. Serwis ma zostać udostępniony pod koniec tego roku. Pytanie, czy to wystarczy, aby zakończyć dominację amerykańskich gigantów na rynku mediów społecznościowych.

Nowa platforma W Social ma przeciwdziałać powstawaniu baniek informacyjnych.

Dominacja ta bowiem jest zagrożeniem dla Europy. Wystarczy spojrzeć, co jednym kliknięciem zrobił Zuckerberg w Australii. Jak atmosferę w kraju podgrzewają fejki serwowane przez amerykańskie algorytmy. Prezydent Nawrocki nie uchronił nas i nie uchroni przed orwellowskim scenariuszem – póki jesteśmy zdani na widzimisię big techów, może nas dosięgnąć w każdej chwili. Zadecyduje interes korporacji i to, jak ułożą się one ze swoim prezydentem, którym jest nieprzewidywalny Donald Trump. Dlatego, jeśli tylko się uda, warto będzie postawić na europejskie platformy.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cfd4a4b979

WIELKANOC POD PRESJĄ RACHUNKÓW

Polacy w święta wydali na jedzenie mniej, ale musieli polować na promocje

Marek Czarkowski

„Na Wielkanoc czekam na wojenkę cenową – bardziej niż na same święta. Jak nie będzie mocnych promocji w dyskontach, to stół będzie dużo skromniejszy", napisał w mediach społecznościowych jeden z internautów. Inny przyznał: „70% ludzi liczy, że sklepy »pozabijają« się o klienta przed świętami – ja też. Bez tego nie ma szans zmieścić się w normalnym budżecie".

Ich nadzieje w tym roku się spełniły. Udało się przygotować wielkanocne śniadanie „po taniości". Jeśli korzystaliśmy z aplikacji popularnych sieci supermarketów, przy odrobinie szczęścia mogliśmy kupić sześć kostek masła za jedyne 11,94 zł (kostka masła Mleczna Dolina kosztowała w promocji 1,99 zł). Do tego pół kilograma białej kiełbasy Skiba za 5,99 zł. Opłacało się brać dwa opakowania – wtedy kilogram wychodził po 11,98 zł. Schab lub szynkę bez kości można było dostać za 6,99 zł za kilogram. By zaoszczędzić, trzeba było brać 2 kg. 10 kg cukru można było trafić za 15 zł! A 2 kg twarogu sernikowego w wiaderkach – za 9,79 zł. Jajka, majonezy, chrzan, napoje itp. to były względnie tanie drobiazgi. Czteroosobowa rodzina mogła wydać na świąteczny stół ok. 200-300 zł. Ale był to wariant oszczędnościowy.

Rodziny bardziej zamożne mogły sobie pozwolić na więcej. Około 5-6% badanych deklarowało, że ich świąteczny budżet przekroczył 1,5 tys. zł, więc biesiadowali „na bogato".

Handlowcy zauważyli, że wielu rodaków ruszyło na świąteczne zakupy w ostatniej chwili, tuż przed niedzielą wielkanocną. Z badań wynikało, że zamierzało tak zrobić 29,6% ankietowanych. To dowód, że konsumenci wiedzą, kiedy mogą się spodziewać najlepszych ofert, a na półkach pojawią się świeże świąteczne produkty.

Drożej czy taniej?

Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czy Wielkanoc w 2026 r. kosztowała nas więcej niż w poprzednich latach. Choć jest to święto religijne, dla większości rodaków to także poważny test domowych budżetów. Dlatego niska cena produktów ma kluczowe znaczenie.

Według tegorocznego raportu Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych „koszyk wielkanocny" okazał się średnio o 12,8% droższy niż w roku ubiegłym. Byłoby o wiele lepiej, gdyby nie wzrost ceny gorzkiej czekolady – aż o 80-85% w porównaniu z rokiem 2025. Przełożyło się to na wzrost cen innych słodyczy. Stało się tak z powodu suszy, chorób drzew kakaowca oraz anomalii pogodowych, które w latach 2023-2024 dotknęły część krajów Afryki Zachodniej. Zbiory spadły tam o 30-40%. W efekcie cena tony kakao z 3 tys. dol. podskoczyła do 12 tys. dol.!

Przy okazji klienci, nie tylko nad Wisłą, zderzyli się ze „shrinkflacją", polegającą na tym, że za mniejszą tabliczkę czekolady przyszło płacić więcej. Trafnie zauważył to pewien internauta w mediach społecznościowych: „Najbardziej wkurza mnie, że wszystko wygląda tak samo, a jest mniejsze i droższe. Czekolady, wędliny, jogurty – to już nie są te gramatury, co kiedyś".

„Shrinkflacja" stała się praktyką systemową. Właściciel marki Milka, koncern Mondelēz International, oficjalnie potwierdził, że od roku 2025 standardowe tabliczki czekolady tej marki zostały zmniejszone ze 100 g do 90 g, a duże – z 270 g do 250 g, i jest to reakcja na wzrost kosztów surowców oraz produkcji. Producenci uważają, że takie działanie jest „łagodniejsze psychologicznie" dla klientów, którzy szybciej akceptują niewielki wzrost znanej im ceny, nawet jeśli waga produktu ulega zmniejszeniu, a realna podwyżka jest znacznie poważniejsza, niż im się wydaje.

Na szczęście takie kombinacje nie dotyczą np. pomarańczy, których cena w supermarketach wzrosła w stosunku do roku 2025 o 21,7%, czy jajek, które zdrożały o 31,1%, lub ziemniaków – których cena jest wyższa o 19,6%.

Sporo świątecznych wiktuałów staniało. Najbardziej biała kiełbasa (o 48,7%), chleb pełnoziarnisty (28,9%) i masło (27,1%). Tańsze też były wieprzowina, groszek konserwowy, cukier, olej rzepakowy, szynka wędzona, marchew, mięso drobiowe i popularna śmietana 18%.

Co ciekawe, wzrost cen paliw spowodowany atakiem Stanów Zjednoczonych i Izraela na Iran nie był na razie widoczny na półkach sklepowych. W najbliższym czasie wojna zdaniem części ekonomistów

eprasa.pl cfd4a4b979



znajdzie jednak odbicie w cenach towarów i usług. Mimo starań rządu, które doprowadziły do spadku cen benzyny i oleju napędowego o ok. 1,20 zł.

Z raportu „Polacy na świątecznych zakupach. Wielkanoc 2026" (UCE Research i Shopfully Poland) wynika, że aż 69,2% ankietowanych oczekiwało zaostrzonej wojny cenowej między popularnymi dyskontami. I na tym procederze zamierzało skorzystać. Sieci dyskontowe od lat rywalizują na „koszyki" produktów, zapewniając, że ich są tańsze niż u konkurencji. Prowadzi to czasem do zabawnych sytuacji, o których Polacy piszą w komentarzach. „Jak widzę masło za złotówkę i cukier za grosze, to serio mam wrażenie, że Biedronka i Lidl postradały zmysły. Ceny jak sprzed lat, tylko półki puste w dwie godziny", żalił się zawiedziony klient. „Promocje są tak agresywne, że nie nadążam z polowaniem. Jednego dnia ryż po 0,79 zł, następnego wszystko wykupione. Jak ktoś pracuje do 17.00, to po promocjach", dodawał inny.

Promocyjna patologia

Promocje w popularnych sieciach dyskontów często jednak są związane z niejasnymi i nieczytelnymi dla klientów zasadami. Reklamy porównujące ceny towarów na półkach, zamiast zachęcić do zakupów, wywołują wrażenie chaosu. Klienci dawno zauważyli, że na paragonach różnice są symboliczne – w efekcie czują się zmęczeni i niezadowoleni.

Według raportu Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych „koszyk wielkanocny" okazał się o 12,8% droższy niż w roku ubiegłym.

Niejednokrotnie też okazuje się, że niektóre towary nieco staniały, ale ceny innych wzrosły. Marketingowo wygląda to nieźle, choć w portfelu – już mniej spektakularnie. Poza tym ceny towarów na półkach mogą się różnić od cen przy kasie.

W 2020 r. prezes UOKiK nałożył na spółkę Jeronimo Martins Polska, właściciela Biedronki, karę 115 mln zł za wieloletnie nieprawidłowości w informowaniu o cenach w sklepach. Kontrole Inspekcji Handlowej wykazały m.in., że część produktów w ogóle nie miała podanej ceny, a w innych przypadkach ta wywieszona na półce była niższa od naliczanej przy kasie. Oznaczało to, że konsumenci płacili za towary więcej, niż wynikało to z etykiet. Spółka odwołała się, lecz trzy lata później decyzja się uprawomocniła i Portugalczycy zapłacili karę.

Podobnym praktykom sprzyjało również pojawienie się kas samoobsługowych, przy których mało kto zwracał uwagę na to, co ile kosztuje.

Także działania Lidla stały się przedmiotem dociekań Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, choć nie było mowy o spektakularnych karach, sięgających dziesiątek czy setek milionów złotych. Najwyższa, wynosząca 1,82 mln zł, została wymierzona za wprowadzające w błąd reklamy.

Mało świąteczna atmosfera panowała w marketach rodzimej sieci Dino. Wśród jej pracowników od miesięcy narasta atmosfera niezadowolenia – protestują z powodu niskich płac, braku funduszu socjalnego i złych warunków pracy. Zimą personel skarżył się, że w pomieszczeniach panowały zbyt niskie temperatury, a pracownicy są obciążani pracą ponad normę. Domagają się podwyżki w wysokości 900 zł brutto dla wszystkich zatrudnionych w sklepach i magazynach, utworzenia zakładowego funduszu świadczeń socjalnych oraz zwiększenia zatrudnienia o ok. 30% na stanowiskach niekierowniczych. Obecnie trwa spór zbiorowy między spółką Dino Polska a OPZZ Konfederacją Pracy. W charakterze mediatora występuje Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej.

To jedna z ciemnych stron działalności wielkich sieci handlowych. I kolejny dowód, że w przedsiębiorstwach, których właścicielem jest podmiot zagraniczny, warunki pracy mogą być o wiele lepsze niż w firmach mających rodzime korzenie. Warto o tym pamiętać nie tylko przy świątecznym stole. ■

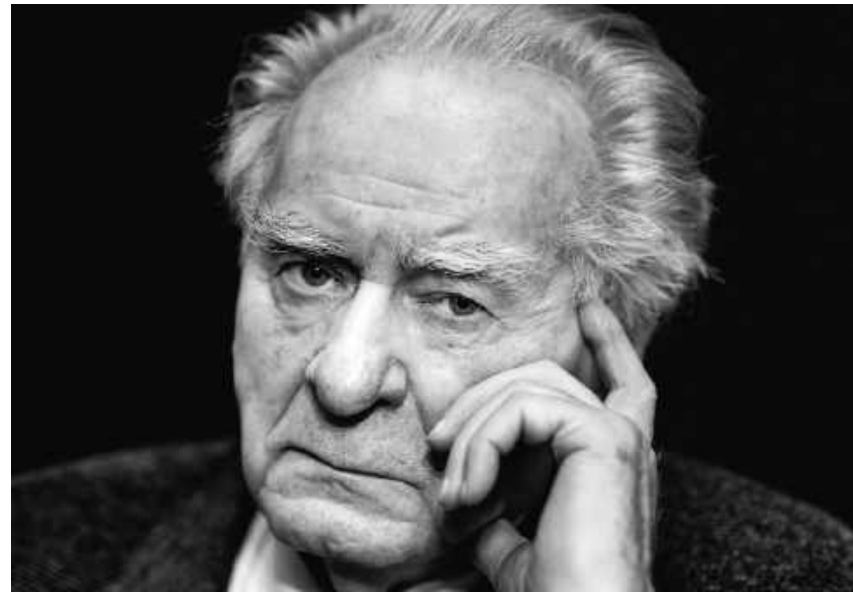
FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cfd4a4b979

Wtedy i na zawsze…

Znawca ludzkich losów, psychiki, pragnień i namiętności. Myśliciel. Humanista. Mędrzec

Rafał Skąpski



WIESŁAW MYŚLIWSKI (1932-2026)

Ponad 45 lat znajomości. Chciałbym móc nazywać to latami przyjaźni, ale mnie, młodszemu o dwie dekady, w obliczu śmierci nie wypada tak nazywać naszej znajomości, tak bliskiej niemal od jej początku, której nigdy nie nazywaliśmy. Nie było takiej potrzeby. To, co wiadome, nie musi być etykietowane.

Wiesław Myśliwski był wiceprzewodniczącym Narodowej Rady Kultury, więc poznaliśmy się jesienią 1983 r., gdy zacząłem pracować w biurze NRK. Znałem już Jego nazwisko z adaptacji prozy, w pamięć zapadł mi do dziś film „Kluczник". Książkę „Kamień na kamieniu" przeczytałem zaraz po jej ukazaniu się w 1984 r. i już wiedziałem, że Myśliwski to nie tylko wielki pisarz, ale też znawca ludzkich losów, psychiki, pragnień i namiętności. Myśliciel. Humanista. Mędrzec.

Twórca osobny

Tym, co mnie urzekło w tej powieści, a później w kolejnych Jego książkach, jest odmienność od tego, co czytałem dotychczas. Myśliwski na nikim się nie wzorował, nie był niczyim kontynuatorem, nie wyszedł z niczyjej szkoły literackiej, nie przynależał do żadnej formacji twórczej. Był twórcą osobnym, w jakimś sensie samotnikiem tworzącym literaturę wedle własnych, oryginalnych recept. Stworzył własny język i styl narracji. Stworzył własną postać narratora, może nie tyle „czułego", ile wrażliwego na te wartości i te prawdy, obok których tak często przechodzimy, nie zauważając ich. Myśliwski – narrator – każe nam nad nimi się zastanowić, odnieść do nich. Ocenić, w jakiej relacji z nimi jesteśmy.

Pisano i pewnie pisać się będzie, że Jego twórczość osadzona jest i wywodzi się z literatury wiejskiej, chłopskiej. Nie zgadzam się z tym. Osadzenie akcji w wiejskich realiach, obsadzenie w roli bohaterów mieszkańców wsi nie świadczy w przypadku Myśliwskiego o charakterze Jego prozy, nie daje podstawy do takiej kwalifikacji. Te wiejskie realia to świadomy zamysł, metoda, by człowieka i jego życie opisać wyraźniej, jaśniej, bardziej dla czytelnika zrozumiale. Zaliczanie Myśliwskiego do nurtu literatury chłopskiej to niedojrzałość i nietrafność w odczytywaniu Jego prozy.

Tematem każdej powieści jest przeszłość. Przeszłość świata i człowieka. Myśliwski uświadamia nam, że przeszłość można rozważać, analizować ją, wyciągać wnioski, uczyć się na błędach, tęsknić za nią, opowiadać, ale powrócić do niej już nie można. Minęła. Myśliwski nie dawał jednoznacznej odpowiedzi na pytania o wątki autobiograficzne w swej twórczości. Ale im nie zaprzeczał. Pisząc o nas, o Polsce i Polakach, pisał przecież o sobie, o swoich odczuciach, przemyśleniach, refleksjach. „Za dużo pamiętam (…). Nie powinno się tyle pamiętać…" („Traktat o łuskaniu fasoli").

Na pewno byłem ciekaw tego pisarza jako człowieka. Wydawał mi się bardzo niedostępny. Zwracał uwagę Jego spokój, pewność wypowiedzi bez zawahań, świadcząca o poprzedzającej je analizie, przekonanie o zasadności osądu w tej czy innej sprawie, celność wygłaszanej racji. Może nawet wyczuwałem w Nim pewien chłód, a na pewno początkowo

eprasa.pl cfd4a4b979

dystans w stosunku do mnie, do mało znanego młodzieńca. To wszystko w 30-letnim człowieku budziło zarówno respekt, jak i poczucie, że nadzieja na jakiś rodzaj bliskości jest mało realna. A przecież po kilku latach dane mi było przekonać się, że Myśliwski jest osobą ciepłą i przyjazną, zagłębiającą się w życie i problemy rodzinne i zawodowe znajomych i przyjaciół, których dobierał z rozmysłem, będąc wobec kandydatów bardzo ostrożnym i wymagającym. Stać się Jego przyjacielem łatwo nie było. Ale kiedy to już się stało – to trwało. Na pewno nie angażował swego czasu i emocji na kontakty, na znajomości błahe czy nieistotne...

„Albo weźmy przyjaciół. Tych co prawda ma się najmniej. Do tego w miarę upływu czasu wykruszają się, a nowi coraz rzadziej, z coraz większym trudem przybywają, jako że przyjaźń jest owocem wymagającym długiego dojrzewania, ta najtrwalsza rodzi się przeważnie w młodości, kiedy to jeszcze z radosną ufnością otwieramy się na ludzi, bo później narasta w nas nieufność, która prowadzi do wniosku, że prawdziwa przyjaźń powinna przechodzić próbę wieczności" („Ostatnie rozdanie").

Rozważnie i powoli

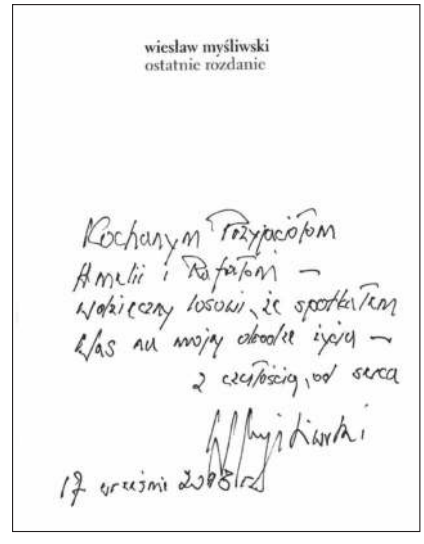
Otwierał się na nowe znajomości rozważnie i powoli, tak jak powoli i rozważnie pisał. Ołówkiem. Czytał, poprawiał, cyzelował. Wsłuchiwał się w opinie najwierniejszej i najpierwszej Czytelniczki – żony. A Wacława Myśliwska to wieloletnia redaktor Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, Wiedzy Powszechnej i przez ponad 20 lat Państwowego Instytutu Wydawniczego. Obiektywna i wymagająca. Tak jak i On sam. Zdarzyło się, że niemal ukończony rękopis nie spełnił oczekiwań pisarza, został odłożony i autor nigdy do niego nie powrócił. Publikował nieczęsto, dopiero pewny, że dzieło już na to zasługuje. Zawsze było to wielkie wydarzenie, czego dowodem jest dwukrotne uhonorowanie pisarza Nagrodą Literacką Nike.

Tak więc w Narodowej Radzie początkowo mijaliśmy się, nie było sytuacji, w której pisarz okazałby mi cokolwiek więcej niż to, co wynikało z naszej relacji, w jakimś sensie służbowej. Aż któregoś dnia otrzymałem zaproszenie, abym z żoną odwiedził Jego mieszkanie na Żoliborzu przy ul. Przasnyskiej. Wówczas poznaliśmy równie wspaniałą i ciepłą małżonkę Wacławę. Rozmowa na prywatnym gruncie była początkiem zacieśniającej się znajomości. Czy już wtedy przeszliśmy na ty? Być może, jeśli nie, stało się to niedługo później. Na ty z obojgiem. Odtąd, rozmawiając o Wiesławie, myśląc o Nim, o Jego twórczości, mówiliśmy i myśleliśmy o małżeństwie Myśliwskich.

Był twórcą osobnym, w jakimś sensie samotnikiem tworzącym literaturę wedle własnych, oryginalnych recept.

Niezwykła więź między Nimi była wyczuwalna od razu. Zawsze widać było zgodność charakterów, wspólnotę wartości, ocen politycznych, harmonię, wzajemny szacunek i wspieranie się we wszystkim, także w domowych obowiązkach. Wtedy usłyszałem, że pisarz ceni we mnie słowność, coraz rzadszą Jego zdaniem cechę. To oczywiście było dla mnie bardzo miłe, ale jakże zobowiązujące.

Trudno policzyć wizyty i rewizyty. Poznaliśmy syna, Grzegorza, i grono przyjaciół. Spośród spotkań u nas najmocniej zapadł mi w pamięć obiad, na którym doszło do pierwszego spotkania małżonków Myśliwskich z Elżbietą i Krzysztofem Pendereckimi. Litery i nuty... mowa i muzyka... I dwie żony w podobny sposób bliskie i wspierające swoich wielkich mężów.


wiesław myśliwski
ostatnie rozdanie

Kochanym Przyjaciołom
Amelii i Rafałowi –
wdzięczny losowi, że spotkałem
Was na mojej obodrze życia –
z czułością, od serca
Wiesław Myśliwski
17 grudnia 2008 r.

Słowa, zdania... Ileż razy Wiesław podkreślał znaczenie słowa, rolę słowa. „Słowa same poprowadzą. Słowa wszystko na wierzch wywleką. Słowa i z najgłębszej głębi wydrą, co gdzieś boli i skowycze. Słowa krwi upuszczą i od razu lżej się robi (...). Bo słowa to wielka łaska", pisał w powieści „Kamień na kamieniu". A w „Widnokręgu": „Słowa przecież rosną dopiero w człowieku razem z nim. Wytapiają się jak z rudy z jego trosk, udręk, łez. Nikt nie otrzymuje ich w darze tylko dlatego, że się urodził, gdzie, kiedy. Ceną słów jest nasz los. Bo cóż ważniejsze jest od słów, wszystko się ze słów bierze, i nawet najkrwawsza bitwa toczy się o słowa, które po niej zostaną…".

Przez lata miała miejsce cała seria spotkań i rozmów o kulturze, o polityce, o ludziach, o Sądecczyźnie, na której znaleźliśmy z żoną emerycką przystań.

Zawdzięczam Wiesławowi Myśliwskiemu wsparcie w staraniach o publikację wspomnień matki mojego ojca „Dziwne jest serce kobiece". Czytał maszynopis i bez wahania napisał rekomendację, zaczynającą się od słów: „Autorka tego pamiętnika to postać niezwykła, wyrastająca nie tylko ponad miarę swoich czasów…". Marian Sewerski, prezes Spółdzielni Wydawniczej Czytelnik, gdy odbierał od pisarza tekst rekomendacji do kolejnego tomu, usłyszał: „Ale proszę pamiętać, ja nie piszę nikomu takich rekomendacji, ja to zrobiłem tylko dla Rafała".

Wcześniej Wiesław Myśliwski po przeczytaniu mojej rozprawki o Leonie Krupeckim, prawdopodobnym pierwowzorze Stanisława Wokulskiego, zadzwonił do ówczesnego redaktora naczelnego „Twórczości",

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, ARCHIWUM PRYWATNE (2)

eprasa.pl cfd4a4b979

aby tekst ten w swoim piśmie wydrukował.

Dwukrotnie miałem honor wręczyć Wiesławowi Myśliwskiemu ważne wyróżnienie: w roku 2011 Nagrodę Fundacji Kultury Polskiej Złote Berło, a trzy lata później Nagrodę Sezonu Wydawniczo-Księgarskiego IKAR podczas uroczystości otwarcia Warszawskich Targów Książki. Odbierając Złote Berło, mówił: „Co mnie może interesować? Człowiek. I to jest kropla w oceanie świata. Właściwie nic nie wiemy o człowieku. Jak zbadam kroplę, to będę wiedział, jaki jest ocean. Tylko nie wiem, czy mi się to kiedykolwiek uda".

i poglądami do lewicy niż do ruchu ludowego. Miał bardzo wyraźne oceny poszczególnych polityków, przekonująco je argumentował. Był czytelnikiem „Przeglądu" i „Zdania". Czytał oczywiście znacznie więcej tytułów, ale o tych pismach rozmawialiśmy. Życzliwie reagował na moje felietony w „Stolicy".

Miłość i śmiech

Mówił i pisał, że najważniejsze są w życiu miłość i śmiech. „Poza miłością nie ma nic, tylko śmierć. Miłość jest najwyższym stanem mądrości, na jaki stać człowieka.

Zaliczanie Myśliwskiego do nurtu literatury chłopskiej to niedojrzałość i nietrafność w odczytywaniu Jego prozy.

Byliśmy sobie bliscy. Była to bliskość poglądów, ocen, wartości, stosunku do ludzi i życia. Myślę, że łatwość porozumienia wynikała z podobieństw naszego dzieciństwa i z zapisanej w genach wrażliwości na przyrodę, pejzaż, zwierzęta, kolory… Gdy następowały przerwy w kontaktach, miałem zawsze świadomość bliskości naszego istnienia.

Rozmawialiśmy o polityce, bo jakże pomijać to, co drażni, uwiera i boli. Był demokratą, im później, tym bardziej zbliżonym sympatią

Ona z istoty swojej jest mądrością", powiedział przy okazji premiery powieści „Ucho Igielne". „Śmiech to zdolność człowieka do obrony przed światem, przed sobą. Pozbawić go tej zdolności to uczynić go bezbronnym" („Traktat o łuskaniu fasoli").

Pisarz nigdy nie zapominał o moich urodzinach, zawsze odbierałem miłe życzenia… zawsze, ale nie w tym roku. Obawiałem się, że na przeszkodzie stanęła choroba, zaczekałem pięć dni, by zadzwonić wraz z żoną w dniu Jego urodzin. Obawy potwierdziła żona Wiesława. „Jest chory, nie odbiera telefonu, ale notuję, kto dzwoni…", usłyszeliśmy.

Została pustka. Na szczęście wypełniać ją będą Jego książki, proza, która jest tak oryginalna, że zapewne dla krytyki pozostanie rodzajem osobnego nowatorskiego nurtu literackiego, osobnego gatunku. Wiesław Myśliwski pięknym, mądrym słowem będzie kolejnym pokoleniom czytelników ustanawiać świat. „Bo słowa śmierci nie znają. Jakby jakieś ptaki przezroczyste, raz wypowiedziane, krążą już na wieki ponad nami…" („Kamień na kamieniu").

Zastrzegłem na początku, że nie odważę się nazwać naszej z Wiesławem Myśliwskim znajomości przyjaźnią. Ale na koniec zacytuję słowa Mistrza z dwóch dedykacji.

„Kochanym Przyjaciołom Amelii i Rafałowi – wdzięczny losowi, że spotkałem Was na mojej drodze życia – z czułością, od serca, 17 września 2013 r.".

„Drogiej Amelii – z przyjaźnią, serdecznością i najlepszym uczuciem teraz i na zawsze. W-wa 25 V 2019 r.".

„Nieraz całą drogę szukasz i nie znajdziesz, aż dopiero przy końcu. Czy człowiek był szczęśliwy, też się dowiaduje dopiero przed śmiercią" („Kamień na kamieniu").

Rafał Skąpski

Książki to także świat, i to świat, który człowiek sobie wybiera, a nie na który przychodzi.
Wiesław Myśliwski, „Traktat o łuskaniu fasoli"

Odszedł

Wiesław Myśliwski

Swoimi książkami stworzył własny, odrębny, niezwykły świat.
Świat wartości, których tak potrzebujemy w niespokojnych czasach. Pisał prostym językiem o trudnych i ważnych sprawach.
Jego twórczość stawia Go w gronie najwybitniejszych powojennych polskich pisarzy.
Był laureatem wielu prestiżowych nagród, w tym dwukrotnie Nagrody Literackiej Nike.

Rodzinie i bliskim składam wyrazy serdecznego współczucia

Włodzimierz Czarzasty
Marszałek Sejmu

eprasa.pl cfd4a4b979



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Okrzeja – nasz dobry terrorysta

Odbyły się ostatnio skromne społeczne obchody rocznicy akcji Organizacji Bojowej PPS na VII cyrkuł policji na Pradze, przy Wileńskiej 9. Atak z 26 marca 1905 r. wymierzony był w znienawidzonego przez Warszawiaków oberpolicmajstra pułkownika barona Karla Nolkena. Uroczystość zaś koncentrowała się na przywróceniu pamięci bojowca Stefana Okrzei, który w wyniku tej akcji został ranny i aresztowany (zastrzelił podczas ataku jednego z policmajstrów). Choć był doświadczonym demonstrantem ulicznym PPS, nie miał niestety doświadczenia bojowego; bomba, którą rzucił na cyrkuł, ogłuszyła jego samego, zaczął uciekać w złą stronę, na podwórze posterunku, gdzie wywiązała się strzelanina z policjantami. Po krótkim procesie 19-letni Okrzeja został skazany na śmierć i powieszony jeszcze w lipcu 1905 r. na stoku Cytadeli Warszawskiej.

Za czasów II RP, kiedy spora część elit politycznych wywodziła się z PPS, pamięć o Okrzei była żywa i podtrzymywana w rytuałach państwowych, ale do panteonu bohaterów narodowych wszedł już wcześniej, podczas rewolucji 1905 r. Po 1945 r. jego imieniem nazwano ulice w kilkudziesięciu miastach i statek; pamięć była upaństwowiona, bojowiec lewicy pepeesowskiej stawał się z wolna polskim męczennikiem poległym w walce o niepodległość.

Tegoroczne uroczystości przy Wileńskiej zaszczyciła pani burmistrz dzielnicy, zamontowano tablicę ku pamięci Okrzei, odbył się mały koncert praskiej kapeli, na koniec zabrzmiała słynna „Ballada o Okrzei". Jedyną czerwoną flagę przytargał autor niniejszego felietonu i ochoczo nią machał.

Potem w pobliskim OffSide odbyła się pogadanka historyczna przygotowana przez warszawski Klub Dwie Lewe Ręce (twórców popularnego podcastu Marcina Giełzaka i Jakuba Dymka) oraz organizację młodych PPS. Inicjatorom i organizatorom za całokształt należą się słowa uznania. Niestety, w legendarnym trybie „musimy już kończyć dyskusję" nie wybrzmiały istotne kwestie, które historia Okrzei stawia nam przed oczyma także dzisiaj. Podobnie jak podczas uroczystości ku pamięci Róży Luksemburg, która odbyła się w Zamościu na początku marca, na Wileńskiej byliśmy świadkami – narzuconego przez faszyzującą, nacjonalistyczną prawicę wraz z IPN, jej młotem do dyskusji o historii – obrzędu przepraszania za istnienie lewicy, komunistów/ek, rewolucjonistów/ek, ludzi walczących (także) z bronią w ręku o sprawiedliwszy świat. Najpierw w tym rytuale należy wystąpić z samokrytyką, potępić to, czego oczekuje skrajna prawica. Czyli przepraszać, cichutko komunikować o dokonaniach robotniczego ruchu rewolucyjnego, sprowadzać każdą taką dyskusję do wyjaśnienia, że Okrzeja czy Luksemburg nie byli komunistami, bo komunista dla troglodytów prawicowej szczujni historycznej to Stalin, łagry i nic więcej. Aktywiści lewicowi na pewno nie powinni podlegać temu poniżającemu obrzędowi.

Kiedy w kampanii wyborczej na burmistrza Nowego Jorku Zohran Mamdani wymienił jeden ze swoich celów – obniżenie cen biletów komunikacji miejskiej w Nowym Jorku – cała prawica USA zawyła jednym głosem: to komunizm!

Wszechobecny w Polsce paradygmat „oczywistego" antykomunizmu czas najwyższy wyrzucić na śmietnik historii. Nie rozumiem, dlaczego tym kneblem usiłuje się nie tylko wymazywać historię bojowej, rewolucyjnej lewicy, ale też tłamsić dzisiejsze postulaty i żądania przestrzegania praw pracowniczych, prawa do dachu nad głową, poważnego i zaangażowanego podejścia państwa do ochrony zdrowia, opieki społecznej czy edukacji. Zakupami czołgów przykryć tego się nie da.

Jeśli trudno upamiętnić nawet takiego bojowca jak Okrzeja, choć był przedstawicielem tej ledwie akceptowanej lewicy PPS, niepodległościowej, a na szubienicy po zerwaniu sznura wołał „Niech żyje Polska!" (podczas pierwszej próby – „Niech żyje rewolucja!"), to gdzie szukać uczciwej opowieści o historii tysięcy innych walczących? Młodziutki Okrzeja został wpisany w tradycyjną, konserwatywną wizję męczennika za polską sprawę. Bo zginął, ot tyle. Gdzieś w tym panteonie pasuje do chłopaków i dziewczyn poległych w 1944 r. w powstaniu warszawskim.

Jak by wyglądało jego życie i uprawianie polityki po 1918 r. – nigdy wiedzieć nie będziemy. Ale, dokonując apologii walki zbrojnej (a fuj – brzydzimy się naszej przemocy, której nie stosujemy w odpowiedzi na wszechobecną przemoc systemu, w tym krwawą), chciałoby się przywołać postać innej bohaterki OB PPS, Wandy Krahelskiej, rówieśniczki Okrzei, która dokonała zamachu bombowego na gubernatora Skałona. Jej udało się uciec i nie została aresztowana. I co potem? W II RP zakładała jedną z najważniejszych instytucji państwa, czyli Państwową Inspekcję Pracy. Jakże dziś po macoszemu jest traktowana ta instytucja – może dlatego warto wracać do Krahelskiej? A jeszcze później, już w czasie okupacji, współzakładała Żegotę, organizację ratującą Żydów przed Zagładą.

A zatem koniec przepraszania i rozmowy o historii na warunkach narzuconych przez prawicę. Czas na pochylenie się nad tradycją walki zbrojnej lewicy. Bez wstydu, z dumą i zobowiązaniem. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cfd4a4b979

Czy Nawrocki jest konserwatystą?

Największym zagrożeniem dla świata są cyniczni zamordyści udający konserwatystów

Paweł Siergiejczyk



Karol Nawrocki na spotkaniu amerykańskiej prawicy, CPAC, w Grapevine w Teksasie, 28 marca 2026 r.

Skrót CPAC wszedł już na stałe do języka polskiej polityki. Conservative Political Action Conference to coroczna impreza amerykańskiej prawicy, organizowana od lat 70. XX w. W jej ostatniej edycji, która odbyła się pod koniec marca w Teksasie, oprócz polityków z USA wzięli udział zagraniczni goście, spośród których jedyną głową państwa był prezydent Karol Nawrocki. Ten sam, dla którego w maju 2025 r., kilka dni przed drugą turą wyborów, urządzono w podrzeszowskiej Jasionce lokalną edycję CPAC, której głównym gościem była Kristi Noem, ówczesna szefowa Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego USA z ekipy Donalda Trumpa (zresztą niedawno przez niego zdymisjonowana).

Nic dziwnego, że podczas ostatniej konferencji w Teksasie polski prezydent bił rekordy w podlizywaniu się Trumpowi. „Wasz prezydent jest prawdziwym przyjacielem Polski, ale jest również wojownikiem: walczy o lepsze życie dla Amerykanów, w tym dla prawie 10 mln Polaków, którzy uczynili Amerykę swoim domem. Potrzebujemy takich przywódców jak on: przywódców, którzy na pierwszym miejscu stawiają swoich obywateli, chronią ich miejsca pracy, bronią rodzin i zabezpieczają ich przyszłość”, mówił Nawrocki do uczestników najważniejszej imprezy amerykańskiej prawicy, rewanżując się za skuteczne poparcie sprzed roku. Ale też kolejny raz potwierdzając swoje bezkrytyczne zapatrzenie w Trumpa i stuprocentowe uzależnienie od niego.

Karol Nawrocki oczywiście nie jest pierwszym polskim politykiem, który nazywa siebie konserwatystą. Jest jednak pierwszym znaczącym politykiem w III RP, który związał swoje losy z konserwatystami zza oceanu. Dotąd w naśladownictwie amerykańskiej prawicy specjalizował się u nas polityczny i ekonomiczny folklor spod znaku Janusza Korwin-Mikkego, dziś mamy formacje Mentzena i Brauna, przy czym ci politycy wyraźnie podkreślają rozbieżność interesów Polski i USA. Odwrotnie niż PiS, które zawsze było ostentacyjnie proamerykańskie (a przy tym antyrosyjskie i coraz bardziej antyniemieckie), ale ze względu na swój etatystyczny i socjalny charakter w niczym nie przypominało skrajnie wolnorynkowych konserwatystów ze Stanów Zjednoczonych.

Dwa nurty

Dopiero w osobie Karola Nawrockiego doszło do syntezy obu tych nurtów, czemu trudno się dziwić: wszak został on prezydentem dzięki połączeniu głosów prawicy pisowskiej, mentzenowskiej i braunowskiej. Nawrocki należy też do nowego pokolenia prawicowych polityków, wychowanego już na internetowym bełkocie i chamstwie oraz na kulcie Donalda Trumpa, który w gruncie rzeczy nie ma wiele wspólnego z dawną prawicą amerykańską, symbolizowaną przez poprzednich prezydentów z Partii Republikańskiej: Eisenhowera, Nixona, Forda, Reagana i obydwu Bushów. Wszyscy oni – mimo licznych błędów i nieprzemyślanych decyzji, zdarzających się każdemu przywódcy – prowadzili politykę racjonalną i przewidywalną, która starała się umacniać pozycję i autorytet USA w świecie środkami akceptowanymi przez partnerów zagranicznych i większość amerykańskiego społeczeństwa (podobnie postępowali

eprasa.pl cfd4a4b979

kolejni prezydenci z Partii Demokratycznej). Na ich tle Trump nie tylko jest politycznym ignorantem i arogantem, ale też szkodzi stabilności świata i samej Ameryce, która wskutek jego działalności ma coraz mniej sojuszników, a coraz więcej wrogów.

Z takim oto patronem związał swój los obecny polski prezydent, pośrednio czyniąc z nas wszystkich, obywateli RP, wiernopoddańczego sojusznika najgłupszej chyba administracji w dziejach USA. Możemy oczywiście się pocieszać, że to nie prezydent sprawuje w Polsce realną władzę, lecz rząd premiera Tuska, który takim wiernopoddańczym sojusznikiem Trumpa nie ma zamiaru być. Ale też właśnie dlatego Karol Nawrocki robi wszystko, by utrudnić rządowi funkcjonowanie, ostatecznie zaś – po wyborach parlamentarnych – doprowadzić do zastąpienia go przez rząd prawicowy, z którego będą w pełni zadowoleni w Waszyngtonie (a właściwie w Mar-a-Lago, czyli rezydencji Trumpa na Florydzie, gdzie najczęściej przebywa).

Bardzo możliwe zatem, że konserwatyści w stylu Nawrockiego już niedługo zdominują polską politykę. Tylko co taki konserwatyzm ma wspólnego z polską tradycją? Konserwatyści odegrali w dziejach naszego kraju niemałą rolę: począwszy od Adama Jerzego Czartoryskiego i Ksawerego Druckiego-Lubeckiego w pierwszej połowie XIX w., poprzez margrabiego Wielopolskiego, galicyjskich Stańczyków i Podolaków, aż po wyjątkowo zdolnych młodych konserwatystów z II RP (a potem także z PRL), w rodzaju Stanisława Cata-Mackiewicza, Jerzego Giedroycia, Stefana Kisielewskiego oraz Adolfa i Aleksandra Bocheńskich.

Polski konserwatyzm nie był nigdy sztywną, zamkniętą doktryną, lecz jednym z żywych i otwartych nurtów myśli politycznej narodu, który tak długo walczył o utrzymanie swojej tożsamości i samodzielnego bytu państwowego. Można jednak zauważyć pewne cechy wspólne polskich konserwatystów.

Dobrze podsumował je wybitny polityk epoki międzywojennej, książę Janusz Radziwiłł (1880-1967), który w krakowskim „Czasie" w 1933 r. pisał: „Konserwatysta jest wrogiem radykalizmu, zarówno prawicowego, jak i lewicowego. Konserwatysta jest patriotą, ale nie jest nacjonalistą. Konserwatysta jest zwolennikiem autorytetu i poszanowania władzy, ale jest wrogiem despotyzmu, wszystko jedno, czy tym despotą jest absolutny satrapa czy wszechwładny i nieokiełznany demos. Konserwatysta ceni wolność, ale nienawidzi anarchii. Konserwatysta pragnie postępu, nie znosi eksperymentowania. Konserwatysta jest religijny, ale unika fanatyzmu. Konserwatysta jest przywiązany do pokoju, ale nie jest pacyfistą. Konserwatysta rozumie doniosłość zagadnień gospodarczych, ale nie wpada w materializm".

Monopol na patriotyzm

Zapytajmy teraz, czy tak zdefiniowanym konserwatystą jest Karol Nawrocki. Z całą pewnością jest on przeciwnikiem radykalizmu lewicowego, a nawet lewicy w ogóle, także umiarkowanej – należy bowiem do tego pokolenia, które wszelkie ideowo-polityczne subtelności od centrum w lewą stronę zbywa prostackim epitetem „lewactwo". Natomiast radykalizm prawicowy bez wątpienia mu nie przeszkadza, a nawet cieszy się jego sympatią, czemu trudno się dziwić, skoro Nawrocki zawdzięcza mu prezydenturę.

Czy Karol Nawrocki jest patriotą? Z pewnością, ale takim, który chciałby mieć monopol na patriotyzm, gdyż odmawia go rywalom politycznym. A to już wyraźna oznaka nacjonalizmu, który chciałby narzucać wszystkim rodakom jeden model miłości ojczyzny i jedno rozumienie interesu narodowego. Nacjonalistów łatwo poznać po tym, że wszędzie szukają wrogów narodu: nie tylko w innych krajach (zwłaszcza sąsiednich) i we wszelkich organizacjach międzynarodowych, ale również wewnątrz własnego społeczeństwa, które usilnie starają się podzielić na „patriotów" i „zdrajców", na „lepszy" i „gorszy sort".

Czy prezydent Nawrocki jest zwolennikiem autorytetu i poszanowania władzy? Oczywiście tak, pod warunkiem że jest to władza jego lub jego politycznych przyjaciół. Natomiast władza w rękach przeciwników politycznych jest dla niego nieprawa, godna jedynie zwalczania i moralnej delegitymizacji. Dotyczy to zarówno rządu Tuska oraz większości rządów III RP (szczególnie tych lewicowych), jak i władz Polski Ludowej, którą Nawrocki i jego otoczenie (np. Sławomir Cenckiewicz) traktują jak sowiecką okupację.

Nie przeszkadzały Nawrockiemu żadne przejawy despotyzmu w wykonaniu partii, która wyniosła go do prezydentury, a która przez osiem lat rządów konsekwentnie ignorowała ducha i literę konstytucji. Jest on pierwszym prezydentem III RP, który tak ostentacyjnie podważa konstytucyjną zasadę trójpodziału władzy i nawet nie ukrywa, że jego celem jest zmiana porządku ustrojowego w celu narzucenia własnej dominacji.

W Teksasie polski prezydent bił rekordy w podlizywaniu się Trumpowi.

Czy Karol Nawrocki ceni wolność? Oczywiście tak, ale tylko wtedy, gdy jest to wolność dla swoich, np. wolność wyrażania nawet najgłupszych poglądów prawicowych. Za to nie ma nic przeciwko ograniczaniu wolności tych, którzy prawicowej wizji świata nie podzielają. Jest on również tym prezydentem, który pod hasłem wolności faktycznie wprowadza w państwie anarchię, jeśli tylko służy to jego obozowi politycznemu. Czyż bowiem nie jest anarchią – i to w najgorszym, sarmacko-magnackim stylu – konsekwentne wetowanie najważniejszych ustaw uchwalanych przez większość parlamentarną wybraną w demokratycznych wyborach? Czyż nie jest anarchią blokowanie nominacji dla sędziów czy ambasadorów, którzy politycznie mu się nie podobają?

Czy Nawrocki pragnie postępu, czy raczej eksperymentuje na żywym

FOT. AMY HARRIS/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

eprasa.pl cfd4a4b979

organizmie, jakim jest państwo polskie? Nagły i niespodziewany awans prezesa IPN na prezydenta RP wymagałby pokory i skromności, zwłaszcza ze strony człowieka bez żadnego doświadczenia politycznego. Tymczasem od momentu rozstrzygnięcia wyborów prezydenckich obserwujemy festiwal arogancji i megalomanii Nawrockiego, któremu bardzo się śpieszy do przerobienia całego państwa według swojej wizji. Jest w tym Nawrocki wiernym naśladowcą Trumpa, który dawno uznał siebie za największego prezydenta w dziejach Ameryki. Takie eksperymenty polityczne nigdy dobrze się nie kończą i zawsze przynoszą regres, a nie postęp społeczeństwu, które je przeżyło.

Nawrocki należy do nowego pokolenia prawicowych polityków, wychowanego na internetowym bełkocie i chamstwie.

Karol Nawrocki nie ukrywa swojej religijności, a nawet nią epatuje, traktując własną wiarę i praktyki religijne jako atut w walce politycznej. Czy jest fanatykiem religijnym? Tego nie wiemy, bo na razie nie miał okazji podejmować żadnych decyzji bezpośrednio związanych ze swoim światopoglądem. Z całą pewnością jednak reprezentuje prawicowy klerykalizm, czyli cyniczne wykorzystywanie religii i Kościoła do celów politycznych, w czym pomaga mu większość polskiego duchowieństwa, starająca się poprzez sprzyjających polityków utrzymać prawne i materialne przywileje w coraz mniej religijnym społeczeństwie. O cynizmie takiego podejścia najlepiej świadczy zaś dalekie od zasad katolickiej moralności życie osobiste dużej części prawicowych elit, w tym ważnych współpracowników samego prezydenta.

Ekonomiczna niewiedza

Karol Nawrocki z pewnością nie jest pacyfistą, choć wojny traktuje wybiórczo: jedne są dla niego słuszne (jak agresja USA i Izraela na Iran), drugie stanowczo niesłuszne (jak agresja Rosji na Ukrainę). Czy jednak pokój jest dla niego jakąkolwiek wartością? W wymiarze międzynarodowym popiera wszystko, co robi Trump – zarówno jego fałszywe zabiegi o pokój, jak i prawdziwą agresję wobec innych państw, nawet sojuszniczych. O integracji europejskiej zaś, która zapewniła naszemu kontynentowi już 80 lat pokoju i współpracy, wypowiada się wyłącznie negatywnie, czym konsekwentnie zraża coraz większą grupę Polaków do Unii Europejskiej i przygotowuje grunt pod polexit.

W wymiarze krajowym zaś doczekaliśmy się prezydenta, który wojnę z rządem, parlamentem, a faktycznie z połową własnego społeczeństwa, stawia ponad pokój i porozumienie; nie uznaje żadnych kompromisów, wprowadza skrajną agresję i pogardę jako standardowe metody sprawowania swojego urzędu. Natomiast w polityce historycznej jeszcze jako prezes IPN doprowadził do skrajności kult „żołnierzy wyklętych", szczególnie tych, którzy najdłużej stawiali zbrojny opór nie tyle nowej władzy, ile powojennej rzeczywistości, licząc na wybuch III wojny światowej.

Czy Nawrocki rozumie doniosłość zagadnień gospodarczych? Nic na to nie wskazuje, gdyż kwestie ekonomiczne są dla niego wyłącznie narzędziem walki politycznej, o czym świadczą kolejne weta wobec ważnych ustaw i kompletnie oderwane od finansowej rzeczywistości projekty ustaw, jakimi zasypuje Sejm. Dlatego w gruncie rzeczy nie wiemy, jakie poglądy gospodarcze ma obecny prezydent, choć łatwość, z jaką obiecał przed wyborami Mentzenowi, że nie zgodzi się na jakiekolwiek podnoszenie podatków, świadczy albo o kompletnej ignorancji, albo o bliskości ideowej Nawrockiego z nurtem korwinowskim, który w USA nazywa się libertarianizmem i stanowi ważny element obozu Trumpa. Od gospodarczej niewiedzy do wolnorynkowego fanatyzmu, będącego w istocie najbardziej dziś wpływową odmianą materializmu, wiedzie zresztą prosta droga.

Krótko mówiąc, ani Janusz Radziwiłł, ani żaden inny przedstawiciel historycznego konserwatyzmu w Polsce nie nazwałby Karola Nawrockiego konserwatystą. Wydaje się, że znacznie lepiej pasuje do niego określenie, którego w latach 90. używał inny wybitny polityk arystokratycznego pochodzenia (choć akurat lewicowych poglądów), Aleksander Małachowski, nazywający to, co robi polska prawica, „białym bolszewizmem". Postępowanie Nawrockiego jest bowiem iście bolszewickie, a jego uwielbienie dla obecnego lokatora Białego Domu przypomina quasireligijny kult, który panował wśród komunistów całego świata w czasach rządów Stalina. Coroczne spotkania CPAC to takie współczesne kongresy Kominternu, na których wyznaczano linię polityczną dla wszystkich partii podległych Moskwie. Trumpowski Komintern działa równie bezwzględnie i skutecznie jak tamten bolszewicki.

Niestety, żyjemy w czasach, gdy wszelkie łajdactwa tego świata mogą być dokonywane pod konserwatywnym sztandarem. Podczas ostatniego spotkania CPAC Nawrocki ostrzegał przed traktowaniem Rosji Putina jako kraju konserwatywnego, wychwalał za to Amerykę Trumpa, choć rzekomy konserwatyzm prezydenta USA wart jest tyle samo, ile ten rosyjski. W istocie bowiem największym zagrożeniem dla dzisiejszego świata są cyniczni zamordyści udający konserwatystów, rządzący niestety w coraz liczniejszych państwach, również tych największych. I jeśli coś ich łączy, to coraz mniej skrywany nacjonalizm i szowinizm oraz złodziejski egoizm tych populistycznych „reprezentantów ludu".

W tej sytuacji zdrowe, naprawdę konserwatywne podejście, zapewniające polityczny umiar i rozsądek, spokój społeczny i poszanowanie tradycji, byłoby na wagę złota. Ale takiego podejścia trzeba dziś szukać wszędzie, tylko nie wśród tych, którzy sami nazywają się butnie konserwatystami.

Paweł Siergiejczyk

eprasa.pl cfd4a4b979



Oko w oko Tomasz Jastrun

Aberracje i chaos

By nie pisać tylko o polityce… Dzik znowu wdarł się do naszego ogrodu i narozrabiał. To zapewne ten sam osobnik, który pamiętał, gdzie się tak smacznie pożywiał jeszcze niedawno. Przecisnął się wtedy jakimś cudem przez otwór w ogrodzeniu zostawiony dla techników, stoi tam gazomierz. Porozwalał śmieci z bio, roztrzaskał plastikową skrzynię, nażarł się i nie mógł na powrót wyjść. Była trzecia w nocy. Mało było widać. Myślałem najpierw, że to napad. Okrutnie hałasował, potem rozpaczliwie kwiczał, otworzyłem mu bramę, wtedy wybiegł. Wstawiłem nazajutrz osłonę do dziury, ale po dwóch dniach ją sforsował i znów rozwalił śmieci. Zabarykadowałem dziurę ciężką płytą. Ją też jakimś cudem wyszarpał, zostawił na niej ślady ryja i racic. Powstrzymała go dopiero metalowa krata. Chyba zaczynamy go lubić. Mamy bezdomną kotkę Matyldę, która u nas się pożywia, a czasami nawet nocuje, to teraz mamy też bezdomnego dzika, co się u nas stołuje. Nie tylko my, tej nocy stado dzików dostało się o północy do sąsiadów i zdemolowało im ogród, jeden knur był wielki, doprawdy nocą można go pomylić z niedźwiedziem. Patrzyliśmy z Franiem na ten spektakl przez okno, Franek na nie gwizdał, co one rzecz jasna olały. To już rzeczywiście jest plaga.

•

Mój 19-latek irytuje mnie swoimi poglądami politycznymi, ale nie kłócę się z nim. Zbyt go lubię. Na jego przykładzie widzę, jak ludzie, szczególnie młodzi, są kształtowani przez sieczkę internetu. Zresztą obie strony naszej zimnej wojny domowej tworzą coś w rodzaju ściągawek dla swoich modułów z utrwaloną informacją. To są propagandowe cegiełki, pisowski przekaz powtarzany bywa czasami przez Antka; Nawrocki był chamski wobec dziennikarza, bo ten zachował się po chamsku wobec niego i za nim wołał… Zamykane są izby porodowe i ciężarne muszą jeździć setki kilometrów, by urodzić, co z reparacjami od Niemiec, afera pedofilska i zoofilska w PO, lewicowcy twierdzą, że mężczyzna może urodzić dziecko… Tu już nie wytrzymuję. Bzdura. Dowiaduję się, że jestem zmanipulowany przez TVN. Antek jest przy tym inteligentny. Przeraża mnie to, bo widzę, że miliony ludzi żyją w nierzeczywistości. Może to złudzenie, może prawica jest prawdą, a ja kłamstwem?

Prawda na pewno nie leży tu pośrodku. Dla młodych autorytetami są youtuberzy i Kanał Zero, gdzie Krzysztof Stanowski i Robert Mazurek mają silne odchylenie prawicowe. Robert mnie lubi i ceni, jesteśmy ze sobą serdecznie, więc niełatwo mi go krytykować. On sam stara się krytykować obie strony, ale chyba mu to za dobrze nie wychodzi. Stanowski rozmawia właśnie ze Stanem Tymińskim, Antek puścił mi kawałek, starsi pamiętają, jak ten półkretyn z Kanady ścigał się dzielnie z Wałęsą o prezydenturę, nosił ze sobą czarną teczkę, w której miał być tajny materiał na przeciwników. Byłem w Hali Gwardii na jego wiecu, czułem się jak w Berlinie na początku lat 30. To już Nawrocki jest lepszy, ale nie jestem pewien. Braun jako zbieracz ludzkich śmieci. Tymiński twierdzi, że przegrał przez Żydów. A Stanowski na to nic, dlatego to rzeczywiście kanał zero.

Trafia do mnie fotografia: jednooki Braun, przytuleni do niego Janusz Waluś i Stan Tymiński. Nie wolno zapominać, że to bliscy krewni PiS i być może ich przyszli koalicjanci.

•

Skoro jesteśmy przy Kanadzie, premier tego kraju Mark Carney powiedział: „Wydaje się, że każdego dnia uświadamiamy sobie, że żyjemy w erze rywalizacji wielkich mocarstw, że porządek oparty na zasadach zanika, że silni mogą robić to, co mogą, a słabi muszą cierpieć to, co muszą”. Norman Davies pytany przez dziennikarza, który mu przypomina, że mówił: „Trump jest najdziwniejszą postacią polityczną bodaj od czasów szalonego cesarza Kaliguli”, uzupełnia: „Zbyt łagodnie napisałem o Trumpie. On jest aberracją. W tradycji amerykańskiej nigdy nie było takiego faceta przy władzy. I moim zdaniem on prowadzi do klęski Ameryki. Politycy europejscy muszą być z nim bardzo ostrożni, bo nie dość, że jest nieprzewidywalny, wprowadza kompletny chaos, to jest też bardzo mściwy”.

Dla młodych autorytetami są youtuberzy i Kanał Zero, gdzie Stanowski i Mazurek mają silne odchylenie prawicowe.

•

W Promie Kultury dwugłos: Ewa Lipska i Agata Tuszyńska, która pisze o Ewie książkę. Lipska – świetna poetka. Agata – autorka ważnych książek biograficznych. Nie padło nawet jedno słowo o polityce. Dziwne uczucie – trochę ulgi, a jednak jakby czegoś zabrakło. Ewa pytana o samotność: z nią jest jak z cholesterolem, jest dobry i zły, tak samo jest dobra i zła samotność. A ja dodaję: można być samemu, a nie być samotnym. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cfd4a4b979

troje na jedną

JEDNA:
HANNA MACHIŃSKA
TROJE:
JAN ORDYŃSKI
DOMINIKA RAFALSKA
PAWEŁ SĘKOWSKI

WŁADZA MUSI CZUĆ NASZ ODDECH

Fragmenty rozmowy, która ukazała się w najnowszym numerze „Zdania" (1/2026) – w wersji papierowej do nabycia w Empikach, w wersji elektronicznej na sklep.tygodnikprzeglad.pl.

PAWEŁ SĘKOWSKI: W 2021 r. kadencję rzecznika praw obywatelskich kończy Adam Bodnar. A pani zostaje w Biurze RPO...

HANNA MACHIŃSKA: Pozostałam w Biurze pod kierownictwem Marcina Wiącka. Tak jak wszyscy inni. Zostali zastępcy rzecznika – Stanisław Trociuk i Maciej Taborowski. I dalej chodziłam na manifestacje, gdzie trzeba było natychmiast być, gdy coś ważnego się działo. Taką sytuacją były opresyjne działania policji 11 listopada 2022 r. i zatrzymania małej grupki ludzi w formie kotła policyjnego, z udziałem blisko 200 policjantów w pełnym rynsztunku.

O tym warto powiedzieć. Był wieczór, dramatyczna sytuacja. To było właściwe miejsce do działania dla rzecznika Praw Obywatelskich. Widzę, że jest grupa, która stoi otoczona trzy razy od siebie liczniejszym kordonem policji. Pytam, o co tu chodzi. Ci otoczeni trzymali białe róże. Jeden z nich miał jakiś transparent, neutralny, z jakimś hasłem na temat, o ile pamiętam, patriotyzmu. Dlaczego więc oni są zatrzymani? To byli działacze ruchu Obywateli RP i sympatycy. Zaczęłam negocjować ich wypuszczenie. Napisałam SMS-a do rzecznika Wiącka, który mam do dzisiaj w telefonie, że jestem w tej chwili na miejscu i negocjuję wypuszczenie okrążonych przez policję ludzi. Jadę z nimi na komendę, jest ze mną mecenas Radosław Baszuk. Wśród tych osób zatrzymanych byli profesorowie belwederscy traktowani jak przestępcy. Policjanci byli wyraźnie zdezorientowani i w końcu w mojej obecności zaczęli się zwracać w formie: „Panie profesorze, niech pan będzie uprzejmy podejść". Decyzja o tym kotle była podejmowana w komendzie stołecznej, ale np. o tym, że funkcjonariuszka ma stać przy sedesie w czasie czynności fizjologicznych zatrzymanej osoby, nie decydowała już komenda stołeczna. Napisałam więc do Wiącka, że my musimy podjąć interwencję. Uważałam, że należy wspierać ludzi, żądając od władzy przestrzegania ich praw. Naszym obowiązkiem powinna być obecność, wtedy kiedy prawa ludzi są zagrożone.

Nasza obecność wpływała mitygująco na władzę. Taką postawę reprezentował Adam Bodnar, który uważał, że nasz głos, nasze działanie muszą być widoczne i skuteczne. Nie można chować głowy w piasek. Warto przypomnieć sytuację związaną z przeszukaniem w kancelarii mecenasa Giertycha, w wyniku czego znalazł się on w szpitalu. To właśnie Adam Bodnar natychmiast zareagował i skierował mnie do szpitala, co miało znaczenie z punktu widzenia ochrony praw Romana Giertycha. Byłam bowiem świadkiem drastycznego naruszenia prawa przez prokuratorkę.

W sprawach kryzysu praworządności to właśnie rzecznik Bodnar stał się takim wzorcem, uznanym przez najwybitniejszych prawników polskich i międzynarodowych. Każdy rzecznik ma inny styl, ale to na czas rzeczników Bodnara i Wiącka przypadły drastyczne zmiany dotyczące ochrony praw człowieka i rządów prawa. Głos rzecznika jest ważny i musi brzmieć donośnie. Rzecznik ma wiele instrumentów prawnych, dzięki którym ludzie mogą mieć poczucie dodatkowej ochrony. W sprawie marszu niepodległości było wiadomo, że nasza obecność jest konieczna.

JAN ORDYŃSKI: I co Wiącek na to?

MACHIŃSKA: To już historia. Wiadomo, że w takich sytuacja obecność rzecznika, jego zastępcy jest ważna.

eprasa.pl cfd4a4b979



Zobaczyłam dramatyczny poziom nieprzygotowania policji i działanie opresyjne wobec ludzi. Wreszcie po negocjacjach udało mi się wydobyć tych ludzi z kotła policyjnego. To policja eskalowała ten konflikt. To policja użyła siły, bo spokojnie stojący ludzie trzymali w rękach białe róże. Kiedy my z mecenasem Baszukiem pojawialiśmy się, policjanci bardzo się pilnowali. A ludzie mieli poczucie opieki i bezpieczeństwa. Takich przypadków wizyt na komendach były dziesiątki. Kiedy np. zatrzymali Babcię Kasię (Katarzynę Augustynek) w komisariacie na Wilczej, przyszedł lekarz, a za lekarzem idzie funkcjonariusz, który oświadcza, że będzie uczestniczył w badaniu. Ja mówię na to: „Co takiego?!". Oczywiście w tej sytuacji funkcjonariusz odstąpił od tego zamiaru. Pokazuję te przykłady, żeby uświadomić wszystkim, że rola rzecznika musi być aktywna, zwłaszcza kiedy zajmuje się wykonywaniem kar czy Krajowym Mechanizmem Prewencji Tortur. (…)

SĘKOWSKI: Jaki to wszystko ma związek z faktem, że w grudniu 2022 r. przestaje pani być zastępczynią Marcina Wiącka w Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich?

MACHIŃSKA: Myślę, że to było kropla, która drążyła skałę. Była to działalność widoczna, spory z różnymi władzami, spory z policją, funkcjonariuszami Straży Granicznej. Były to stałe interwencje, kiedy upominałam się o prawa ludzi.

DOMINIKA RAFALSKA: Czyli stała się pani niewygodna?

MACHIŃSKA: Myślę, że stałam się bardzo niewygodna. Punkt kulminacyjny wyglądał tak, że odbywała się akurat konferencja OBWE, w której brałam udział. Duża konferencja o prawach kobiet. Kończy się konferencja, a Wiącek mówi: „Słuchaj, koniecznie przyjedź. Mam ważną sprawę". Wchodzę, widzę, że jest bardzo zdenerwowany i wręcza mi wypowiedzenie. Poprosiłam, żeby podał mi od razu powody swojej decyzji. Nie umiał nic odpowiedzieć, nie podał żadnych powodów. Żadnych. A sposób rozstania świadczy o braku klasy. Jeszcze raz chcę powiedzieć, że rzecznik może wybrać sobie zastępców i może ich odwołać, ale wystarczy poinformować, że chciałby się rozstać – to byłoby zrozumiałe. Do dziennikarzy wyszedł jego zastępca, który nie wiedział wiele na temat tej sytuacji. Myślę jednak, że to już historia i nie ma sensu do tego wracać.

ORDYŃSKI: Myślisz, że byłaś „w pakiecie"? Wiącek zostanie wybrany na Rzecznika Praw Obywatelskich pod warunkiem, że ty nie będziesz jego zastępczynią?

MACHIŃSKA: Jednak byłam jego zastępczynią przez prawie półtora roku. Myślę, że byłam zbyt wyrazista w czasach PiS, zbyt po stronie praworządności.

SĘKOWSKI: Czy problemem było to, że była pani zbyt identyfikowana z jedną stroną sporu, tą antypisowską, czy też to, że pani przyćmiewała Marcina Wiącka pod względem popularności medialnej?

MACHIŃSKA: Myślę, że chodziło o coś zupełnie innego. Ja tam politycznie kompletnie nie pasowałam. Z pewnością pasowałam merytorycznie. Rzecznik nie chciał narażać się władzy. Pamiętam nasze spotkanie z komendantem głównym Policji Jarosławem Szymczykiem i pełną aprobatę rzecznika dla postawy komendanta. Moje zdanie było całkowicie odmienne. Różniliśmy się. Ja nie byłam nigdy gościem klubów „Gazety Polskiej"… Sądzę, że rzecznik miał jakieś naciski polityczne, bo szkodziłam władzy. Tym bardziej że ja byłam w dużej kolizji z ministrem Mariuszem Kamińskim, z policjantami, ze Strażą Graniczną, z niektórymi sędziami i prokuratorami.

Myślę, że byłam zbyt wyrazista w czasach PiS, zbyt po stronie praworządności.

Moje odwołanie wywołało wiele protestów. 90 organizacji pozarządowych, setki ludzi protestowało. Zresztą był ciąg dalszy tej historii, już po odejściu z biura. 17 stycznia 2023 r. miał się odbyć mój wykład na UW, w ramach „Wykładów na Tysiąclecie", pt. „A mury runą, runą, runą". Chodziło o sprawy migracji i traktowanie uchodźców. Wtedy po raz pierwszy od 1968 r. rektor odwołał wykład. Na skutek masowych protestów, w tym kilkuset pracowników UW, demonstracji, zainteresowania mediów, wykład został przywrócony i po raz pierwszy transmitowany przez TVN, dzięki czemu, jak powiedział prorektor Węgleński, wykładu wysłuchało ponad pół miliona ludzi. Burzyłam się przeciwko niesprawiedliwym działaniom władzy, postawie prokuratorów i niektórych sędziów. (…)

SĘKOWSKI: Na czym pani zdaniem właściwie polega istota problemu z neosędziami? Czy rzecz w tym, że oni będą niewłaściwie traktować sprawy w jakikolwiek spo-

eprasa.pl cfd4a4b979



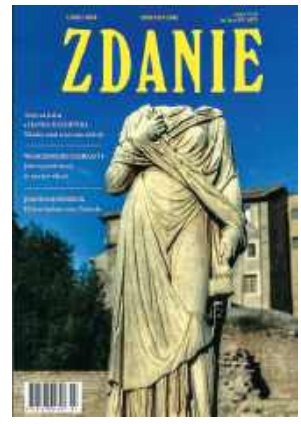
Od lewej: Jan Ordyński, Paweł Sękowski, Hanna Machińska i Dominika Rafalska.

sób politycznie wrażliwe, czy raczej w tym, że ponieważ są politycznie (a nie merytorycznie) nominowani, to są po prostu słabymi sędziami?

MACHIŃSKA: Wśród neosędziów na pewno są tacy, którzy są profesjonalni i sprawiedliwi w rozstrzyganiu spraw. Ale nie o tym tu mowa. W literaturze zagranicznej nazywani są *fake judges*. Oni pozostają nieprofesjonalni nawet w ocenie swojej sytuacji, skoro doszli do wniosku, że powinni przyjąć nominację, że to jest ich pięć minut i trzeba skorzystać z tej okazji. Przecież z drugiej strony byli tacy sędziowie, którzy ponieśli ogromne konsekwencje swojej niezależności. Neosędziowie poszli więc na lep władzy. Myślę, że to ich obciąża. Powinni poczekać z awansami na prawidłowo ukształtowaną KRS.

SĘKOWSKI: Wypowiadała się pani w samych superlatywach na temat Adama Bodnara. Zresztą ja również bardzo pozytywnie oceniam jego pracę, zarówno jako rzecznika praw obywatelskich, jak i potem jako ministra sprawiedliwości. Dość rozpowszechniona w kręgach antypisowskich jest jednak opinia, że Bodnar był za mało radykalny i dlatego trzeba było sięgnąć po Waldemara Żurka. Czy widzi pani różnicę w stylu sprawowania urzędu ministra sprawiedliwości przez te dwie osoby? A jeśli tak, który model jest pani bliższy?

MACHIŃSKA: Oczywiście nie o wszystkim wiemy, nie znamy wszystkich uwarunkowań wewnątrz rządu. Ale patrząc wygodnym, tj. zewnętrznym okiem, wydaje się, że potrzebne było w pewnych obszarach przyśpieszenie. Natomiast krytycznie mogę się odnieść w jednym punkcie do działań Ministerstwa Sprawiedliwości: w kwestii prawa do azylu. Dodałabym jeszcze sprawę premiera Beniamina Netanjahu i nieuzasadnionego oświadczenia, że jeżeli przybędzie on do Polski na rocznicę wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau, to nie zostanie zatrzymany pomimo nakazu aresztowania wydanego przez Międzynarodowy Trybunał Karny, ale patrząc całościowo, bardzo szanuję Adama Bodnara, bo podjął się zadania gigant. Zadania, które w świetle tych uwarunkowań, a zwłaszcza działań prezydenta Dudy i Nawrockiego jest niemożliwe do zrealizowania. Stąd zapewne decyzja premiera o zaostrzeniu kursu i nowym ministrze sprawiedliwości, ale sytuacja wcale nie uległa poprawie. Widzimy to chociażby po trwających dyskusjach na temat KRS i problemu zaprzysiężenia nowych sędziów w kontekście sporu prezydenta z rządem i większością parlamentarną. A także po dramatycznej sytuacji w prokuraturze. Minister sprawiedliwości, poprzedni i obecny, wymagają naszego wielkiego wsparcia.



SĘKOWSKI: Trzeba tutaj powiedzieć, że Adam Bodnar jako minister sprawiedliwości nie chciał iść na rympał. I to pomimo dużej presji politycznej ze strony obozu, który go desygnował na ten urząd.

MACHIŃSKA: Tak. On absolutnie chciał robić wszystko *lege artis*. Wspierał się opiniami Komisji Weneckiej. Ja nawet miałam wątpliwości, czy za każdym razem powinniśmy pytać o wszystko Komisję Wenecką. Musimy sobie zdawać sprawę z tego, że Polska jest dzisiaj laboratorium dla Europy. Nigdzie w Europie nie powstała taka sytuacja jak w Polsce. Nawet na Węgrzech jest inaczej. Bo my tutaj przeprowadzamy pewien eksperyment – przywracamy praworządność. Nie sądzę, żeby Komisja Wenecka, która oczywiście ma świetnych specjalistów, znakomitych znawców prawa międzynarodowego, mogła tutaj wskazać najlepszą drogę wyjścia z sytuacji. To Polska powinna zgłosić własną propozycję. Zresztą widać wyraźnie, że jest pewien spór między zarządem Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka a Radą Fundacji, właśnie na tle opinii zarządu co do proponowanych reform, w której zarzuca się ministrowi Żurkowi, że idzie na skróty i łamie konstytucję. A my niektórzy w Radzie Fundacji uważamy, że absolutnie taka sytuacja nie ma miejsca. Powtarzam: absolutnie taka sytuacja nie ma miejsca. „My" to znaczy m.in. prof. Rzepliński, prof. Safjan, prof. Łętowska (poza Radą), prof. Sadurski, ja. Wypowiedział się także prof. Romanowski w tej sprawie, po naszej stronie. Moim zdaniem Żurek wcale nie ma łatwiej, aniżeli miał Adam Bodnar, bo to właśnie obecny minister stara się doprowadzić do finalnych rozwiązań.

ORDYŃSKI: I ma już na to mało czasu.

MACHIŃSKA: Ma bardzo mało czasu. A przecież rzucił na szalę wszystko, także zawód, do którego już zapewne nie wróci. (…)

Jan Ordyński, Dominika Rafalska, Paweł Sękowski

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl cfd4a4b979

Party crashing w Radzyminie

Chcieli być postrachem jak w amerykańskim filmie „Szybcy i wściekli”

Helena Kowalik



W Komisariacie Policji w Radzyminie składają zawiadomienie bracia B., że napadli na nich 33-letni Zenon S. i starszy od niego o trzy lata Marian. Ofiary dobrze znają sprawców.

Podczas przesłuchania Kamil B. dyktuje szczegółowo do protokołu, co się zdarzyło: – Muszę zacząć od tego, że jestem z żoną w separacji. Odeszła do innego mężczyzny, potem wróciła. Przed wakacjami 2023 zorientowałem się, że ma romans z moim kolegą Marianem S. Wyprowadziłem się z domu, w moim życiu pojawiła się inna kobieta. 15 lipca pod sklepem w Radzyminie spotkałem Mariana i powiedziałem, co o nim myślę. Ostrzegłem go, że o wszystkim zawiadomię jego dziewczynę.

On się odgrażał, że mnie zajebie. Pod nasz dom przyjechał ze swoim kumplem. Mój brat Przemysław dostał gazem i metalową rurą. Kiedy przypadkowo w pobliżu pojawił się radiowóz, uciekli, ale po jakichś 500 m zgasło im auto. Porzucili je, więc mieliśmy okazję zajrzeć do wnętrza wozu – leżały tam dwie kabury na broń. Wkrótce potem nadjechały trzy samochody na ukraińskich blachach, niewątpliwie ściągnięte przez braci S. na pomoc w napaści. Nie mogłem zrozumieć, skąd taka agresja, i tydzień później dzwoniłem ze dwa razy do Mariana, żeby się wytłumaczył, ale on nie odbierał telefonu.

To mnie pobili

Marian S., wezwany na komisariat jako podejrzany o napaść, przedstawia konflikt z braćmi B. zupełnie inaczej: 15 lipca 2023 r. jechał z byłą żoną Kamila jej samochodem marki Citroën do centrum Radzymina. Nie łączy ich żaden romans, są dobrymi znajomymi, właściwie przyjaciółmi. W pewnej chwili na ulicy pojawił się Jeep braci B. prowadzony w taki sposób, aby ich staranować.

– Musieliśmy się zatrzymać, tamci piraci zrobili to samo – zeznaje Marian S. – Kiedy otworzyłem w samochodzie okno, Kamil uderzył mnie w twarz, a Przemek walił kijem bejsbolowym w przednią szybę. Towarzysząca mi kobieta krzyknęła: „Uciekajmy!”. Zdołała uruchomić silnik i odjechaliśmy. Odwiozła mnie do domu.

W protokole zapisano, że po 20 minutach Kamil zadzwonił do Mariana S. z propozycją ugodowego spotkania: „Przyjedź, nie będziemy się gonić po mieście, porozmawiamy jak starzy znajomi, możesz wziąć na świadka jakiegoś swojego kolegę”.

– Pomyślałem – relacjonuje przesłuchiwany – że to dobra propozycja. Do towarzystwa poprosiłem kolegę Dominika. Pod dom rodziny B. pojechaliśmy pożyczonym samochodem, nie wzięliśmy gazu ani innej broni.

Ledwo wysiedli z wozu, doskoczyli do nich Kamil i Przemysław z kijami bejsbolowymi i metalowymi rurami. Okładali Mariana S. ile sił. – Wsadzę ci „rozgrzaną lokówkę w d… będę patrzył, jak się smażysz!”, wykrzykiwał Przemysław. Kiedy ofiary leżały na ziemi, bracia B. wsiedli do samochodu, którym S. przyjechał, i przed jego domem staranowali dwa wozy. Na widok przypadkowo przejeżdżającego radiowozu porzucili zawłaszczony wóz i uciekli. – Bałem się ponownego pobicia – zeznaje Marian S. – Do domu wracałem ukradkiem, polami.

Postępowanie w sprawie pobicia zostaje umorzone.

Trzy miesiące później, w październiku 2023 r., kobieta mieszkająca obok działki, na której buduje się Marian S., informuje go, że nad ranem kamera na jej podwórku

eprasa.pl cfd4a4b979

zarejestrowała uciekającego mężczyznę, który usiłował mu podpalić nieruchomość. Niedoszły pogorzelec po obejrzeniu filmu upewnia się, że spłoszony podpalacz to Przemysław B. Są duże zniszczenia na placu budowy: z ogrodzenia zostały zdjęte panele, wyrwano framugi okien. I nie ma dwóch kamer.

Mimo to okradziony nie zawiadamia policji. Rok później powie w prokuraturze, że powstrzymały go wieści z miasta, jakoby bracia B. mieli w komisariacie jakieś układy.

Nie ma mocnych

Przygotowaniom rodziny S. do zbliżających się świąt Bożego Narodzenia towarzyszy strach, co jeszcze może się zdarzyć. Przeczucia ich nie mylą. 25 grudnia sąsiadująca z placem budowy kobieta telefonuje, że ktoś włamuje się za jej płotem – słychać walenie, odbijanie desek. Senior S. z synami natychmiast jadą na miejsce rabunku. Rozmiar strat sprawia, że tym razem wzywają policję. Kiedy patrol przyjeżdża, poszkodowani nie ukrywają swoich domysłów – prawdopodobnie jest to robota braci B. Wtedy słyszą radę: mniej oglądania zachodnich filmów gangsterskich. Poza tym funkcjonariusze mają pretensje, że z powodu niepotrzebnej interwencji zmoczyli buty i stracili czas, a w święta jest ich tylko dwóch na służbie.

Ledwo policyjny wóz znika za zakrętem, sygnalizacja świetlna na bramie wskazuje, że w ich stronę jedzie auto. Siedzą w nim Przemysław i Kamil B. Bracia uderzają w tył samochodu Mariana, żeby go zepchnąć na betonowy płot. Udaje się. Potem idą w ruch metalowe rury i coś o wyglądzie maczety. Kamil zamierza się cegłą w szyby Toyoty, w której siedzi Marian S. ze swoją dziewczyną. Ona chce zasłonić napastowanego, ale zostaje wypchnięta na zewnątrz w błoto i tam jest okładana kijem. Napastnicy biją też powalonego na ziemię Zenona, młodszego brata Mariana S. Chwilę później ich ojciec uderzony przez Przemysława maczetą w głowę prawie traci ucho. Karetka zawozi rannego do szpitala. Zaatakowani, ratując życie, porzucają samochód, który bracia B. topią w głębokim rowie, wcześniej niszcząc wnętrze wozu odpaloną gaśnicą.

Rodzina decyduje się zawiadomić prokuraturę w Wołominie. Marian S. w obawie przed kolejnym najazdem braci B. ukrywa się przez miesiąc pod innym adresem.

Kolejne rozczarowanie – również w wołomińskiej prokuraturze sprawa napaści i brutalnego pobicia zostaje zlekceważona. Mało tego, dręczyciele, a konkretnie Kamil B., ubiegli swoje ofiary i przedstawili organom ścigania inną wersję wydarzeń z Bożego Narodzenia.

– W pierwszy dzień świąt – oświadcza do protokołu Kamil B. – pojechałem z bratem Przemkiem po alkohol do czynnego w mieście sklepu. Zjawiła się tam też rodzinka S. i od razu pretensje, że ukradliśmy im kamery. Nie chcieliśmy wdawać się w kłótnie, ale oni nie odpuszczali. Marian psiknął nam w oczy gazem, a jego ojciec po pijaku wykrzykiwał różne obelgi i zajeżdżał nam drogę. Próbowaliśmy się dogadać. Ale tamci od razu wzięli się do bicia, mój brat tak dostał po głowie kijem bejsbolowym, że trzeba było zawieźć go do szpitala. W końcu odjechali. Przyznaję, ruszyliśmy ich tropem. W pobliżu ich posesji zauważyliśmy w rowie samochód, którym przyjechał Marian. Na fotelu pasażera leżał kij bejsbolowy i pistolet maszynowy.

Stróże porządku publicznego wierzą Kamilowi B. To rozzuchwala agresorów. Odtąd codziennie podjeżdżają pod dom ofiar. Radzymin huczy od plotek, że na familię B. nie ma mocnych.

Będzie miał połamane kości

Kiedy wydaje się, że już nic się nie zmieni w sytuacji ofiar, sprawa przybiera zupełnie inny obrót po złożeniu przez rodzinę S. zawiadomienia w Prokuraturze Okręgowej Warszawa-Praga.

W ramach wszczętego śledztwa o wydarzenia z 15 lipca 2023 r. wypytywany jest L., z którym Marian S. podjechał pod dom braci B. zwabiony deklaracją Przemysława, że w imię dawnej przyjaźni powinni sobie wszystko wyjaśnić.

– Kiedy dojeżdżaliśmy – zeznaje świadek – stojący na drodze bracia B. rozsunęli trzymane w ręku pałki. Marian chciał uciekać, ale ponieważ źle chodził po wcześniejszym złamaniu nogi, wpadł w zasadzkę. Zaczęli go bić. Ja miałem do obrony jedynie gaz pieprzowy, niewiele to dało. Po rozprawieniu się z Marianem bracia B. ukradli mi auto. Wprawdzie dogoniłem odjeżdżający wóz i złapałem kurczowo za klamkę, ale oni tak manewrowali, że wpadłbym pod koła. Ostatecznie zostałem sam na drodze, tymczasem napastnicy pojechali pod dom rodziny S. i usiłowali moim autem staranować zaparkowane pojazdy. Nie wiem, czym by to się skończyło, gdyby nagle nie pojawił się radiowóz. To był przypadek, nikt nie wzywał patrolu, ale pomogło o tyle, że bracia B. szybko odjechali. Auto musiałem oddać do naprawy, straciłem też telefon.

W Komisariacie Policji w Radzyminie składają zawiadomienie bracia B., że napadli na nich 33-letni Zenon S. i starszy od niego o trzy lata Marian.

Ponownie przesłuchany Kamil B. podtrzymuje poprzednią wersję, że jest ofiarą napaści braci S. Na pytanie oficera śledczego, czy był po pobiciu u lekarza, wyjaśnia, że sam leczył rany.

Była żona Kamila potwierdza wersję Mariana S. o napaści 15 lipca. – Ja wiem, że Kamil jest nieobliczalny – dodaje przesłuchiwana.

W prokuraturze ojciec braci S. tak przedstawia wydarzenia z 15 lipca: – Syn Marian od rana pływał wodnym skuterem po Jeziorze Zegrzyńskim. Wieczorem zadzwonił do żony, że przyjedzie z kumplami. Chcieliśmy

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cfd4a4b979

zapytać o szczegóły, ale telefon już nie odpowiadał. Po godzinie 22 połączyłem się z Kamilem B., z którym syn się kolegował. Miałem nadzieję, że wie, gdzie jest mój syn. Usłyszałem chamską odpowiedź, żebym się odp… Siedzieliśmy z żoną do 4 rano, oczekując, że odezwie się telefon. Wreszcie ktoś przywiózł syna czarnym BMW, nie znałem tego kierowcy. Kiedy już byli blisko bramy, z wielkim hukiem wjechali na naszą posesję bracia B. Uderzyli w samochód, w którym siedział Marian. Następnie rozpędzony wóz braci B. rozerwał ogrodzenie sąsiada, a brat Kamila wyskoczył z otwartą butlą z gazem, aby ją wrzucić do uciekającego BMW; na szczęście zdołał tylko uderzyć w karoserię. Wściekły, uszkodził potem stojącą na posesji Toyotę.

Po południu pod nasz dom podjechał samochód firmy braci B. Chcieli, żebym zawołał Mariana. Zapytałem Przemka, o co chodzi. Przypomniałem mu: „Kiedy siedziałeś w więzieniu, posyłaliśmy ci paczki, pieniądze". A on na to: „Co było, to było".

W tym czasie Marian podszedł do Kamila. Wiem, że dawni przyjaciele odbyli męską rozmowę. Syn tłumaczył, że ma dziewczynę, z Kamila żoną nic go nie łączy i przecież to B. go prosił, aby jakoś zorganizował jego kobiecie czas, kiedy on będzie na mieście. Chciał mieć wolne, aby się zabawić.

Wyglądało na to, że wyjaśnili sobie nieporozumienie, bracia B. odjechali. Niestety, wrócili po kilku godzinach. Kamil miał w ręku cegłę, Przemysław maczetę.

– Odepchnąłem tego drugiego – zeznaje senior S. – Krzyknąłem do żony: łap dzieci i uciekajcie. Sam nie zdołałem się obronić. Młodszy syn leżał na ziemi zwinięty w kabłąk, a Kamil okładał go trzonkiem od siekiery. Nasz samochód został utopiony w głębokim na 4 m rowie. A wezwany radiowóz zatrzymał się na chwilę i odjechał.

Matactwa

Pod koniec stycznia 2024 r. bracia B. otrzymali zarzut rozboju. Zostali zatrzymani.

Ich kartoteka karna zawiera wiele rejestracji. Zwłaszcza Kamila B., który w przeszłości miał zarzuty z art. 193, 288, 190, 178, 275 i 191 Kodeksu karnego. Są to przestępstwa zakłócenia miru domowego, zniszczenia mienia, groźby karalnej, spowodowania wypadku w komunikacji na skutek nietrzeźwości, posługiwania się dokumentem stwierdzającym tożsamość innej osoby i stosowania przemocy.

Kamil B. nie zasiadł na ławie oskarżonych; odebrał sobie życie w aresztanckiej celi. Nic nie wskazuje, że ktoś mu pomógł w desperackim czynie.

Do rozprawy sądowej dochodzi rok później.

Marian S., wezwany na komisariat jako podejrzany o napaść, przedstawia konflikt z braćmi B. zupełnie inaczej.

W Radzyminie mówią, że sześć lat to za mało dla rozwydrzonego przedstawiciela klasy średniej, który czuł się bezkarny, bo nie brakowało mu pieniędzy.

Przemysław B. nie przyznaje się do winy. Twierdzi, że jest w tej sprawie pokrzywdzonym, ofiarą pomówienia przez rodzinę S. 15 lipca napastnikami byli Marian i jego koledzy. Przyjechali uzbrojeni. Z kolei 25 grudnia zaatakował go rurą senior S. i to on powinien siedzieć na ławie oskarżonych. Natomiast Marian ma na sumieniu próby wynajęcia bandziorów z mokotowskiej mafii do pogruchotania braciom B. kości i wywiezienia do lasu. Kiedy ci gangsterzy odmówili, złożył zlecenie w innej grupie przestępczej.

Próba odwrócenia sytuacji nie udaje się oskarżonemu z braku dowodów.

Była żona Kamila B., zeznając przeciwko Przemysławowi B., który wraz z bratem zdemolował jej mieszkanie, kiedy wyprowadziła się od męża, potwierdza zasłyszane groźby, że połamią Marianowi nogi i do końca życia będzie jeździł na wózku. – Teraz wiem – zeznaje kobieta – że byłam manipulowana psychicznie przez zdradzającego mnie męża, a ja byłam mu wierna.

Proces zmierza ku końcowi, gdy oskarżony jeszcze raz usiłuje przekonać sędziego i prokuratora, że potyczki, jak się wyraża, między dwiema rodzinami miały konkretny motyw: zdradę szwagierki. Przemysław B. przedstawia nagranie z podsłuchu w jakimś mieszkaniu. Na tle odgłosów, które mogą wskazywać na akt seksualny, mężczyzna mówi do kobiety: „Ubieraj się, jedziemy do hotelu, on chyba coś podejrzewa". Nie wiadomo jednak, kim jest ta para. Rzekomy dowód nie znajduje zainteresowania stron procesowych.

•

Prokurator wnosi o osiem lat więzienia dla Przemysława B. – Z tego miejsca już wiem – kaja się w ostatnim słowie oskarżony – że wszystko źle zostało rozegrane. Nie mogę spać w nocy, ciągle myślę o zmarłym bracie, proszę, żeby sąd się nade mną zlitował.

W połowie stycznia 2026 r. sędzia Sławomir Bielecki z Sądu Okręgowego Warszawa-Praga ogłasza wyrok: sześć lat w zakładzie karnym i kilkutysięczne zadośćuczynienie dla pokrzywdzonych. Wyrok jest nieprawomocny. W Radzyminie mówi się na ulicy, że sześć lat to za mało dla rozwydrzonego przedstawiciela miejscowej klasy średniej, który mimo kryminalnej przeszłości czuł się bezkarny tylko dlatego, że nie brakowało mu pieniędzy.

Helena Kowalik

*Inicjały poszkodowanych zmienione.

eprasa.pl cfd4a4b979



Sebastian Szymański i Benjamin Nygren podczas meczu barażowego o awans do mistrzostw świata. Sztokholm, 31 marca 2026 r.

ZAWIODŁA DEFENSYWA

Polska nie pojedzie na mundial

Wojciech Kuczok

Ciśnie się na usta parafrazowanko piłkarskich porzekadeł, np.: futbol to taka gra, w której 22 facetów biega po boisku, a na końcu i tak przegrywają Polacy. Przypomnę, że w oryginalnej wersji Gary'ego Linekera, jednego z wielu katów naszej reprezentacji, chodziło o to, że na końcu zawsze wygrywają Niemcy. Oni nauczyli się przegrywać także w końcówkach, my nie nauczyliśmy się grać. A konkretnie wygrywać ważnych spotkań z drużynami, które „nam nie leżą", najściślej zaś ze Szwecją na wyjeździe.

Skoro ostatni raz wygraliśmy w Kraju Trzech Koron, kiedy mojej świętej pamięci mamusi nie było jeszcze na świecie, zwycięstwo w Sztokholmie miałoby wymiar absolutnie rewolucyjny, przełomowy, bez względu na obecną formę gospodarzy byłoby odczynieniem klątwy, poczyniłoby radykalne zmiany w naszej piłkarskiej samoświadomości. Ale spokojnie, rewolucji nie będzie. Przegraliśmy jak zawsze, jedyną niewiadomą pozostanie fakt, czy aby na pewno „graliśmy jak nigdy", bo tak twierdzi większość obserwatorów, nawet tych zwykle powściągliwych.

Ja tam, choć dziedzicznie obciążony alzheimerem, nie muszę sięgać pamięcią daleko – widziałem już ten wtorkowy mecz przed pięcioma laty. W spotkaniu o wyjście z grupy na pocovidowym Euro, trenowani przez pięknisia Sousę, pierwsi traciliśmy gole, wyciągnęliśmy na 2:2 i dostaliśmy decydującego gonga w samej końcówce. Procentowe posiadanie piłki? Wtedy 59:41 dla nas, teraz 64:36. Celne strzały? Wtedy 6:4 dla Polski, teraz 7:5. W obu przypadkach mieliśmy do czynienia z tzw. pięknymi porażkami, w których podniecaliśmy się faktem, że Polska prowadziła grę, ośmielała się uprawiać atak pozycyjny zamiast taktyki „laga na Robercika", wdała się w wymianę ciosów jak równy z równym. W obu przypadkach kluczowe frazy komentatorów brzmią bliźniaczo podobnie: „Szwedzi byli do ograna", „Byliśmy lepsi", tudzież „Było blisko, ale zostaliśmy skarceni".

To ostatnie stwierdzenie wiele wyjaśnia: karci się dzieciaki, które zanadto brykają. Polska przegrała mecz z drużyną dojrzalszą, która skupiła się na konkretach; dali nam poszaleć, poszumieć, pohasać, ale w odpowiednim momencie to

FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

eprasa.pl cfd4a4b979

oni zadali cios nokautujący. Nie po rozpaczliwej kontrze, lecz po wielominutowym okresie wyraźnej przewagi, której konsekwencją był gol ostatecznie ośmieszający naszą defensywę. Najpierw Kiwior dał się w bocznym sektorze okiwać jak tyczka, a potem reszta naszych obrońców dała się wyprzedzić trzykrotnie w kilka sekund: za pierwszym razem ratował nas Grabara, za długim słupek, ale przy dobitce Gyökeresa nawet Matka Boska uznała, że nie warto na Polaków marnować cudów opiekuńczych.

Po raz kolejny Szwedzi okazali się dla nas łaskawi i poszli na barter: wzięli awans, ale zostawili nam złudzenia. Przez ostatnie lata byliśmy nękani wdziękiem polskiej bezmyślności szkoleniowej spod znaku Michniewicza i Probierza, po drodze jeszcze maltretowani przez wędrownego dziada Santosa, więc pokątnie roniliśmy łzy za kadencją Paula Sousy, łajdaka, co to nas uwiódł i porzucił, lecz przecież to za jego czasów po raz ostatni czuliśmy się piękni.

I wreszcie mamy to! Znowu udało nam się przegrać, sprawiając dobre wrażenie. Och, jakie szczęście: nie wykopano nas z mundialu, ale uprzejmie wyproszono, głaszcząc po głowie na pożegnanie! W dodatku mamy alibi: sędzia sprzyjał gospodarzom! No kto by się spodziewał. Nie demonizowałbym – fakt, że parę razy pomylił się na korzyść Szwedów, ale przy naszej drugiej bramce VAR-owcy mogli równie dobrze uznać, że Lewandowski na spalonym jednak biernie angażował uwagę bramkarza.

Owszem, faulu na wolnym dla Szwedów przed ich drugim golem nie było, ale przecież to nie sędzia zagwizdał przeciw nam gola, tylko szwedzki stoper Lagerbielke poczęstował się prezentem naszej defensywy – skoro nikt go nie pilnował, trafił głową do siatki, niby co miał robić, wołać: „Halo, Polacy, jestem tu, nadbiegam, będę strzelał”? Bergvall za oba faule na Pietuszewskim w krótkim czasie zasłużył na dwie żółte kartki i wylot z boiska, ale wiadomo, że w takim przypadku nawet bezstronny sędzia by się zlitował, wszak to były pierwsze przewinienia świeżo wprowadzonego zawodnika.

Było jeszcze parę deprymujących szczegółów, jak choćby odgwizdanie spalonego Kamińskiego wychodzącego na czystą pozycję na początku meczu, choć podawał mu piłkę Szwed, ale uznać, że arbiter wypaczył wynik, byłoby nadużyciem. Polacy nie zasłużyli na takie usprawiedliwienie. Przybyli na galę w marynarce od Prady, ale zapomnieli o włożeniu gaci. Z przodu byliśmy kąśliwi, z tyłu niepełnosprawni, ergo po raz kolejny okazaliśmy się drużyną niezrównoważoną.

Postawa polskich defensorów w obu meczach barażowych była największym rozczarowaniem, okazała się deprymująca i druzgocąca dla reszty zespołu. Najbardziej zawiedli ci, którzy przecież na co dzień brylują w swoich silnych klubach – zgranie ligowe Bednarka i Kiwiora psu na budę się zdało, skoro dawali się ogrywać jak dzieci, wysokie noty Matty’ego Casha w Aston Villi też nie mają nic wspólnego z jego karygodnym niechlujstwem w reprezentacji. Niespodziewanie najsolidniejszym z naszych obrońców okazał się Widzewiak Wiśniewski, przez prawie cały mecz wyłączający z gry Gyökeresa. Niestety, w decydującym momencie Szwed zrobił swoje. Bardziej niż wynik meczu – to tak, jakby uznać, że bokser, który wygrywał na punkty, ale padł po nokaucie w ostatniej rundzie, niezasłużenie przegrał.

Znowu udało nam się przegrać, sprawiając dobre wrażenie.

Nasza kultura futbolowa jest zacofana wobec Szwedów – oni wiedzą, jak wykorzystywać swoje atuty nawet wtedy, kiedy mają ich mniej, my nie potrafimy wykorzystywać przewagi, pozostaje nam wieczny niedosyt, melancholijne rozkoszowanie się tym, jak niewiele brakowało, masochistyczna ekstaza sportowych męczenników, którzy cierpią za miliony. To polska piłka – zawsze nie dość, nieomal, prawie, o mały włos, nieustannie w budowie, lecz odwiecznie niedobudowani, żywiący się wspomnieniami przeszłej sławy i wizjami świetlanej przyszłości, za to w czasie teraźniejszym nieobecni.

Znowu szkoleniowcy pospołu z ekspertami karmić nas będą truizmami o tym, że z tej mąki będzie chleb, a my nawet nie zauważymy, jak się w tej mące zalęgną mole. Prezes Kulesza natychmiast po meczu zapewnił, że selekcjoner Urban zostaje na stanowisku – ja tu widzę jeden z niewielu pozytywów feralnego wtorku. Nie dlatego, że przegraliśmy po pięknej grze, bo jak dla mnie najpiękniejsze akcje meczu i tak wykonali Szwedzi (pokażcie mi Polaka, który potrafiłby tak kropnąć w okno jak Anthony Elanga). Nie dlatego, że wykonaliśmy jakiś wyraźny progres (jednakowoż wyjazdowy remis z Holandią cenię sobie bardziej niż porażkę ze Szwecją). Dlatego, że Urban gwarantuje tę odrobinę piłkarskiej przyzwoitości, która musi nam wystarczyć do szczęścia: nie gramy poniżej swoich skromnych możliwości, nie błaźnimy się ze słabeuszami, z równymi sobie gramy mecze wyrównane, a silniejszym zdarza nam się urwać punkty. Urban zasłużył na egzamin poprawkowy, a okazja ku temu nadarzy się już za pół roku, gdy znowu pojedziemy na mecz do Sztokholmu, tym razem w ramach Ligi Narodów.

Awansu brak, ale tragedii nie ma. W wymiarze tragicznym należy raczej rozpatrywać fakt, że Włosi zafundowali sobie właśnie co najmniej 16-letnią nieobecność mundialową. Fanatyczni tifosi, kibice czterokrotnych mistrzów świata, mający z futbolem relację stricte religijną, muszą znieść kolejną barażową porażkę z drużyną o wiele niżej notowaną. Przed ośmioma laty odpadli jak my, ze Szwedami, przed czterema laty przegrali u siebie z Macedonią Północną, tym razem nie udało im się pokonać Bośni, którą do sukcesu wiódł 40-letni Edin Džeko. Polacy mogą co najwyżej westchnąć: cóż, tym razem się nie udało, ale przynajmniej nie będziemy w czerwcu się frustrować, Włosi gotowi pomyśleć, że Bóg przestał ich kochać. Honoru Słowian będą w Ameryce bronić także Czesi, którzy w karnych ograli Duńczyków. ■

eprasa.pl cfd4a4b979

Nowoczesne przeszczepy są już dostępne

Polska transplantologia w światowej czołówce

Rozmawia
Bronisław Tumiłowicz



Prof. dr hab. n. med. Michał Grąt
– transplantolog, specjalizuje się w operacjach wątroby oraz chirurgii onkologicznej

Od kiedy wiadomo, że nawet niewielki kawałek wątroby potrafi się regenerować?

– O tym, że wątroba ludzka ma zdolność do regeneracji, wiedziano od dawna, świadczy o tym choćby mit o Prometeuszu. Chirurgia długo jednak nie wykorzystywała tej właściwości wątroby z uwagi na ryzyko powikłań pooperacyjnych i masywnych krwotoków. Dopiero wprowadzenie nowoczesnych technik chirurgii wątroby i dróg żółciowych zmieniło coś w tej kwestii. Wątroba jest narządem niezbędnym do życia, ale nawet ok. 20% masy tego organu daje nadzieję na powrót do zdrowia. Czyli wystarczy jedna piąta miąższu w dobrym stanie, aby nastąpił odpowiedni proces regeneracji. Nowoczesne metody operacyjne zaczęto stosować w ostatnich dekadach XX w., a ryzyko powikłań znacznie ograniczono w ostatnich 20-30 latach. To oznaczało przełom. Jednak dla niemałej części chorych to operacja przeszczepienia wątroby jest jedyną szansą na przeżycie.

Klinika Chirurgii Ogólnej, Transplantacyjnej i Wątroby WUM to wiodący ośrodek w Polsce i Europie. W 2025 r. wykonano tu 371 transplantacji wątroby od dawców zmarłych i 15 od dawców żywych. Dorobek ogromny, ale skąd ta dysproporcja?

– Zdecydowana większość przeszczepień wątroby u dorosłych to transplantacje narządów od zmarłych dawców. W przypadku dzieci sytuacja jest inna. Dzięki współpracy naszej kliniki z Centrum Zdrowia Dziecka przeszczepienia fragmentów wątroby pobranych od żywego dawcy stanowią około połowy wszystkich transplantacji tego narządu. To ważne z uwagi na niezwykle trudną sytuację dzieci znajdujących się na liście oczekujących na przeszczepienie wątroby od dawcy zmarłego. Przeszczepianie fragmentu wątroby od żywego dawcy ma też konkretne zalety – można dokładnie zaplanować operację, umiejscowić ją w szerokim planie leczenia, a jakość przeszczepianego narządu jest idealna. Z drugiej strony należy pamiętać o narażeniu dawcy, zdrowego człowieka, na ciężki zabieg obarczony ryzykiem powikłań.

W 2024 r. rozpoczęliśmy w klinice program przeszczepiania fragmentów wątroby pobranych od żywych dawców także dorosłym biorcom. Wcześniej takie przeszczepienia wykonywano w Polsce wyłącznie u dzieci, dla dorosłych chorych były niedostępne. Udało się to zmienić, a program dynamicznie się rozwija. Będziemy dążyć do tego, aby liczba takich operacji wzrastała.

Kilka lat temu w naszej medycynie transplantacyjnej była zapaść. Czy kryzys został już pokonany?

Prof. Michał Grąt pełni funkcję prorektora ds. umiędzynarodowienia, promocji i rozwoju Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego oraz kierownika Kliniki Chirurgii Ogólnej, Transplantacyjnej i Wątroby WUM. Jest też konsultantem krajowym w dziedzinie transplantologii klinicznej i członkiem Krajowej Rady Transplantacyjnej przy Ministrze Zdrowia.

eprasa.pl cfd4a4b979

– Największe ograniczenie w transplantologii stanowi niewystarczająca liczba dostępnych do przeszczepienia narządów, dlatego każdy narząd jest bezcenny. Wiele zależy od szerokiej społecznej akceptacji idei transplantacji. Gdy na skutek różnych kontrowersji pojawiających się w przestrzeni publicznej spada zaufanie społeczeństwa, zmniejsza się liczba pobieranych narządów. Z tego typu sytuacją mieliśmy do czynienia przed laty. Pandemia koronawirusa również doprowadziła do znacznego zmniejszenia liczby przeszczepień. Oddziały intensywnej terapii i cały system ochrony zdrowia były ukierunkowane na ratowanie życia chorych z COVID-19, co wpłynęło na ograniczenie możliwości pobierania i przeszczepiania narządów. Należy jednak zaznaczyć, że pomimo wszystkich trudności przeszczepienia narządów odbywały się w pandemii – częściowo u chorych zarażonych koronawirusem.

Może mniej zagrożeń stwarzałoby przeszczepianie wątroby od zwierząt?

– To może być przyszłość transplantologii – hodowla transgenicznych zwierząt. Tego typu rozwiązanie mogłoby być niezwykle skuteczne w kontekście powszechnego niedoboru narządów. Postępy inżynierii genetycznej sprawiły, że na świecie wykonano już ksenotransplantację wątroby. W USA trwają badania kliniczne nad ksenotransplantacjami nerek. Pomiędzy przeszczepieniami tych dwóch narządów są jednak istotne różnice. Nerka jest narządem narażonym na zdecydowanie większe ryzyko odrzucenia, a utrzymanie narządu pobranego od świni w dobrym stanie przez wiele lat od operacji ciągle stanowi wyzwanie dla współczesnej transplantologii.

W przypadku wątroby sytuacja jest inna. Część przeszczepień to tzw. przeszczepienia wspomagające, kiedy narząd lub jego fragment musi funkcjonować zaledwie przez kilka tygodni lub miesięcy od operacji. Ten czas jest potrzebny na regenerację własnego narządu, po której przeszczepiony narząd można bezpiecznie usunąć. Utrzymanie wspomagającego ksenoprzeszczepu wątroby przez krótki okres wydaje się możliwe i na obecnym etapie. Pierwsze takie operacje wykonano już w Chinach. Ale wprowadzenie ksenotransplantacji to ciągle jeszcze szereg trudności. U części społeczeństwa idea przeszczepiania narządów pobranych od zwierząt wzbudza kontrowersje natury etycznej. Hodowla zwierząt transgenicznych jest bardzo kosztowna, trzeba też zabezpieczyć biorców przed przeniesieniem chorób odzwierzęcych, zbudować skomplikowaną infrastrukturę itd. W Chinach i USA przeznacza się na te badania ogromne środki.

W kierowanym przez pana ośrodku wykonuje się także autotransplantacje. Czym one są?

– Stosuje się je np. przy zaawansowanych nowotworach, gdy usunięcie guza z wykorzystaniem tradycyjnych technik nie jest możliwe. Najczęściej dotyczy to zaawansowanych nowotworów naciekających kluczowe dla przeżycia chorego struktury anatomiczne. Wykorzystujemy wtedy wszystkie umiejętności z zakresu chirurgii onkologicznej i transplantacji narządów. Usuwamy wątrobę z nowotworem i przenosimy narząd na inną salę operacyjną, gdzie odbędzie się druga operacja – już samej wątroby. Na czas operacji wątroby wykonujemy rekonstrukcje naczyniowe, tak aby krew z dolnej połowy ciała i przewodu pokarmowego mogła wracać do serca. Chory musi przecież w stabilnym stanie przeżyć kilku- lub kilkunastogodzinny trudny okres tzw. fazy anhepatycznej, czyli bezwątrobowej.

Na innej sali operacyjnej, poza ustrojem chorego, wycina się guz, a następnie naprawia wszystkie uszkodzenia związane z jego wycięciem. Aby zapobiec martwicy wątroby w okresie, kiedy znajduje się poza organizmem chorego, schładza się ją do temperatury 4 st. C i płucze specjalnym płynem używanym w transplantologii do jej przechowywania. Tak naprawiony narząd wszczepia się choremu, wykonując skomplikowane zespolenia. To fantastyczna operacja dająca szanse wyleczenia chorym, dla których dotychczas jedyną opcją było leczenie paliatywne. Autotransplantacje wątroby to jednak bardzo zaawansowane procedury medyczne, związane z bardzo dużym ryzykiem okołooperacyjnym, wykonywane w pojedynczych ośrodkach na świecie. Jesteśmy dumni, że dołączyliśmy do tego grona, zapewniając w Polsce dostęp do tej metody leczenia.

Osoby z chorobą alkoholową nierzadko cierpią na marskość wątroby. Czy są częstymi pacjentami kliniki?

– To istotna, choć nie dominująca grupa chorych. Jest bardzo dużo wskazań do transplantacji wątroby, a ich lista cały czas się wydłuża. Marskość wątroby może wynikać z licznych przyczyn – są to zakażenia wirusowe, choroby autoimmunologiczne, choroby genetyczne. Część wskazań do przeszczepienia wynika z uszkodzenia dróg żółciowych. Bardzo szybko rozwijającą się dziedziną jest onkologia transplantacyjna – coraz większą liczbę chorych z nowotworami wątroby możemy skutecznie leczyć przeszczepieniem tego narządu.

Jak powinna wyglądać profilaktyka?

– Najprościej rzecz ujmując, trzeba prowadzić zdrowy tryb życia. Oczywiście kluczowe jest unikanie

Postępy inżynierii genetycznej sprawiły, że na świecie wykonano już ksenotransplantację wątroby.

Znacząco poprawiliśmy metody przechowywania narządów po ich pobraniu, wprowadzając techniki perfuzji pozaustrojowej.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl cfd4a4b979

alkoholu, bezwarunkowy zakaz obowiązuje po transplantacjach. Nie ma drogi na skróty – ważne są zdrowe odżywianie, sen, aktywność fizyczna. Coraz częstsza jest marskość wątroby w przebiegu zespołu metabolicznego, związana z otyłością. W USA staje się jednym z najczęstszych wskazań do transplantacji.

Czy osoby z nową wątrobą mogą się spodziewać odrzutu przeszczepu?

– Odrzucanie narządu jest nieodłączną częścią transplantologii, jednak w przypadku przeszczepień wątroby dochodzi do tego względnie rzadziej. W celu zmniejszenia ryzyka stosujemy najnowsze schematy leczenia immunosupresyjnego. Znacząco poprawiliśmy metody przechowywania narządów po ich pobraniu, wprowadzając szeroko w Polsce, ze wsparciem Ministerstwa Zdrowia, techniki perfuzji pozaustrojowej. Polegają one na utrzymaniu ciągłego przepływu płynu, często nasyconego tlenem, przez pobrany narząd.

Zastosowanie metod perfuzyjnych poprawia bezpieczeństwo, ograniczając ryzyko niepodjęcia funkcji przez przeszczepioną wątrobę. Perfuzję pozaustrojową można wykonywać zarówno w warunkach hipotermii, jak i normotermii, czyli w temperaturze ciała człowieka. W tym drugim przypadku płyn zawiera również krwinki czerwone, a sama procedura nie tylko ogranicza niedokrwienie narządu, ale też pozwala sprawdzić, czy funkcjonuje on po pobraniu od dawcy. To dalsze zwiększenie bezpieczeństwa chorych.

W technologii przeszczepów wiele się zmienia. Wchodzą metody małoinwazyjne, oszczędzające chorego, zmniejszające ryzyko.

– Metody małoinwazyjne zmniejszają uraz okołooperacyjny i pozwalają na szybszy powrót do sprawności. W przypadku transplantacji najczęściej stosuje się je do pobrania fragmentów wątroby od żywych dawców – tu minimalizowanie urazu okołooperacyjnego jest kluczowe. Wykonuje się bardzo niewielką liczbę przeszczepień wątroby metodami małoinwazyjnymi, ograniczeniem jest tu rozmiar narządu, który trzeba usunąć z jamy brzusznej, a potem wprowadzić nowy. Wymaga to oczywiście wykonania cięcia powłok. To wprawdzie inne cięcie, w mniejszym stopniu wpływające na funkcjonowanie chorego, ale obecne. Należy również pamiętać, że przeszczepienie wątroby to jedna z najbardziej skomplikowanych technicznie i ryzykownych procedur operacyjnych, a narzędzie laparoskopowe lub ramię robotyczne w dużej części przypadków nie zastąpi bezpiecznie czucia w ręce chirurga.

Rozwój transplantologii obwarowany jest przepisami prawa i zasadami etyki. Obejmują one np. transplantacje mózgu, gruczołów rozrodczych. Czy w tej dziedzinie też jest jakiś postęp?

– Każda sytuacja ma swoją specyfikę. Nie ma i nie może być mowy o przeszczepianiu mózgu. W przypadku narządów rozrodczych na świecie rozwija się przeszczepianie macicy. Jest to metoda mogąca dać szansę na posiadanie dzieci np. kobietom z wadami wrodzonymi tego narządu. Opisywane są przeszczepienia zarówno od dawców zmarłych, jak i od żywych – tu dawczyniami są najczęściej matki po okresie menopauzy. To oczywiście temat, który w naszym społeczeństwie wymaga odpowiedniej dyskusji.

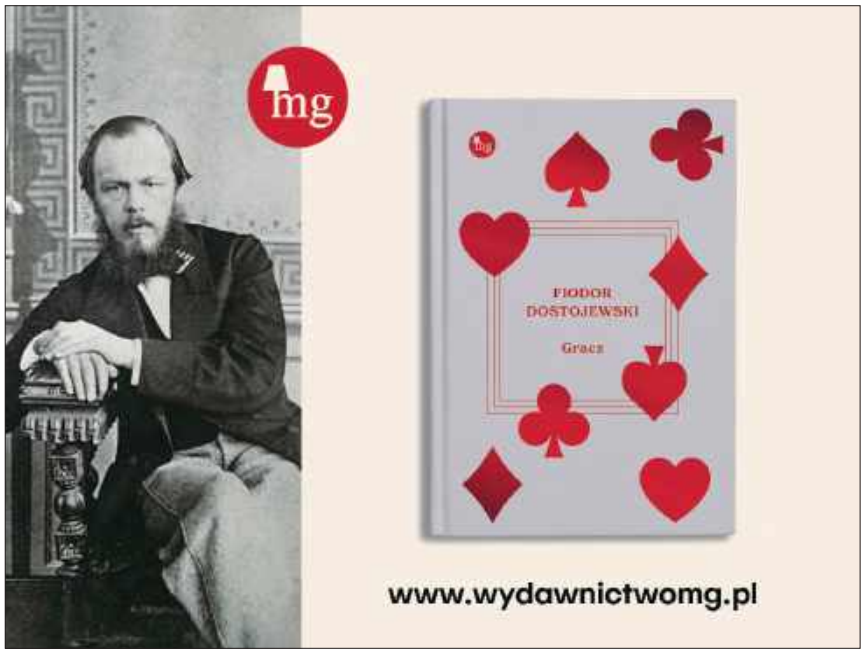
Transplantacja jest bardzo kosztowną procedurą medyczną.

– Na pewno nie są to tanie zabiegi, ale należy pamiętać, że transplantacje wątroby są zarezerwowane dla chorych, dla których stanowią jedyną szansę na przeżycie. Biorąc pod uwagę wszystkie koszty, w tym leczenia chorego, nieświadczenia przez niego pracy, wpływu choroby na wszystkich członków rodziny, można z całą pewnością stwierdzić, że koszty transplantacji nie tylko są uzasadnione, lecz także prowadzą do oszczędności w całym systemie ochrony zdrowia. W przypadku transplantacji nerek to najlepsza, a zarazem najtańsza metoda leczenia nerkozastępczego.

Wiele osób próbuje szukać pomocy za granicą – organizuje się zbiórki na ten cel.

– Jesteśmy dumni z tego, że niemal wszystkie metody transplantacji znane w świecie, może poza blokowymi przeszczepieniami wielonarządowymi czy przeszczepieniami jelita, są dziś dostępne w Polsce. Potrafiliśmy je szybko zaadaptować do naszych warunków i sami rozwijamy te techniki, aby pomóc jak największej liczbie chorych i po to, by nie musieli szukać pomocy za granicą.

Bronisław Tumiłowicz



eprasa.pl cfd4a4b979



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Wiosenny porządek

Przed czterema laty Antek po raz pierwszy założył narty; dzisiaj, w 11. roku życia, jeździ lepiej niż większość dorosłych – to skutek matczynych inwestycji podczas rozmaitych zimowych ferii, kiedy go pakowała do szkółek dziecięcych, by pod okiem instruktorskim mógł bezpiecznie baraszkować na stoku. Z tych baraszków niepostrzeżenie wyrósł demon szusujący z taką prędkością i techniką, że dogonić go nie sposób. Właśnie jesteśmy w Awlpach Karnickich, bo po sezonie taniej, w Wielkim Tygodniu najpuściej, a z początkiem kwietnia najprzyjemniej, wszak na dole wiosna, a u góry zima, można sobie zmieniać pory roku w ciągu dnia.

W Polsce jeździć na nartach się boję, bo na stokach ciasno, a rodzimi narciarze są jak polscy kierowcy, odczuwają samczy imperatyw dominacji, to żadna przyjemność jeździć z duszą na ramieniu i lękiem, że zaraz ktoś większy i szybszy właduje się we mnie, połamie mi żebra i jeszcze opier… że mu zajechałem drogę.

Im jestem starszy, tym lepiej czuję się w krajach germańskich, gdzie hasło *ordnug muss sein*, irytujące dla młodych rogatych dusz, przynosi jednak dużą ulgę, kiedy człowiekowi z wiekiem opóźnia się czas reakcji na niespodziewany atak licha. Ten germański porządek, który za młodu wyszydzałem, a nawet kojarzyłem go z odcieniem brunatnym, teraz pojmuję jako wyższy stopień rozwoju społeczeństwa obywatelskiego i szczerze go zazdroszczę, bo w Polsce naród nad społeczeństwo się wynosi na ołtarze. Nie ma takiej umowy społecznej, która przetrwałaby napór narodu, powiem nawet, że obecne przepołowienie Polski to podział na tych, co to odczuwają dumę z bycia Polakiem, i tych, którzy czują odpowiedzialność za bycie obywatelem Rzeczypospolitej. Germanofobia, która stała się głównym paliwem PiS, stoi na lęku przed zaprowadzeniem obcego porządku, bo też Polak do porządku nieprzywykły, przeto każdy porządek jest mu obcy, milszy nam swojski chaos i warcholstwo.

Polak do porządku nieprzywykły, przeto każdy porządek jest mu obcy.

Kaczyzm w aktualnej, dogorywającej wersji (och, jakże chciałoby się w przyszłych podręcznikach historii przeczytać o „schyłkowym kaczyzmie") to dziadowski obskurantyzm, pan prezes już nie ma siły nadążać za rozwojem społecznym i cywilizacyjnym, więc za wszelką cenę chce go zahamować, a nawet zawrócić. Nowy pomazaniec prezesa, Czarnek, jest mesjaszem wszystkich miernot i nieuków, to zbawiciel maluczkich i opóźnionych – on im głosi dobrą nowinę: „To nie wy jesteście opóźnieni, lecz Zachód się zagalopował, nie musicie już nikogo doganiać, unia-srunia, OZE-sroze, my mamy swój węgiel jak za ojca i dziada, my jesteśmy sami swoi, a każdy Polak jest samoswój, nie damy się podporządkować nikomu".

Owóż, w krainie ordnungu oddycham z ulgą, choć też dostrzegam przegięcie w drugą stronę, tutaj nawet sreberka po czekoladce nie wrzucisz do pojemnika na papier, bo jak się zbliżasz do śmietnika, czujny wzrok sąsiadów sygnalistów zza okien śledzi każdy twój ruch. Porządek można lubić, ale nie należy go fetyszyzować, latem na szlakach alpejskich do górnej granicy lasu ścieżki są przedeptane równiutko co do centymetra, żaden tubylec nie zboczy w trawkę nawet na centymetr. Polskie szlaki przechodzą bokami w dzicz stopniowo, lubimy mieć strefę pośrednią, jak jest linia wyznaczona, to znaczy, że można się jej trzymać z grubsza, a *piacere*, to, co dla Niemca jest rozkazem, nam się jawi jako propozycja. Może dlatego muzycznym absolutem muzyki germańskiej pozostaje matematyczna precyzja polifonii bachowskiej, a z romańsko-słowiańskiej mieszaniny genów wziął się romantycznie rozchełstany Chopin; dla Germanów rozum, dla nas emocja.

Każda kraina ma jednak swoich populistów, bo też nigdzie bęcwałów nie brakuje, a kiedy się skumulują w masę, potrafią być zaraźliwi, czasem i obezwładniający w swoim braku wątpliwości – kiedy tak przemierzam doliny Karyntii, pamiętam, że stąd wywodził się Jörg Haider, regionalny faszol, który przed 20 laty na hasłach antyunijnych, ksenofobii i antysemityzmie wyrósł na niebezpiecznego demona polityki austriackiej. Cóż, kiedy głosiciel apoteozy ordnugu sam miał do niego stosunek frywolny, co typowe dla prawicowych demagogów – zginął, szarżując swoim Volkswagenem na niecałych dwóch promilach w terenie zabudowanym. ■

sklep.tygodnikprzeglad.pl ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI
KSIĄŻKI E-BOOKI PRENUMERATA ELEKTRONICZNA SUBSKRYPCJA ZDANIE

eprasa.pl cfd4a4b979



W tym roku Bielsko-Biała jest Polską Stolicą Kultury.

Bielsko-Biała bez kompleksów

Trzy idee przyświecają miastu: kreatywność, natura, wspólnota

Anna Wyrwik

– Gdy wychodzę przed dom, jestem na spacerze. Jeśli chcę być na spacerze w mieście, to jestem w mieście z piękną architekturą, świetnymi muralami, w mieście, w którym dużo się dzieje. Jeśli chcę być na spacerze wśród natury, wsiadam w autobus i za chwilę wysiadam w górach albo w lesie – mówi Jakub Krajewski.

– Mnie też to miasto kojarzy się z naturą, zielenią, lasami i górami, ale również z bajkami – dodaje Katarzyna Wolny.

– A dla mnie Bielsko-Biała to również Miały Fiat i włókiennictwo. I miasto wygodne do życia – dorzuca Anna Zgierska, szefowa tamtej dwójki, zastępczyni naczelnika Wydziału Kultury i Promocji Urzędu Miasta w Bielsku-Białej.

Na moście między Bielskiem a Białą – bo Bielsko-Biała jest jednym miastem dopiero od 1951 r. – władze zamontowały instalację przedstawiającą dziesięć symboli miasta. To Mały Fiat, bo był tu produkowany do 2000 r.; snowboardzista i góry, bo miasto leży na Pogórzu Śląskim u stóp Beskidu Małego i Śląskiego; wagonik kolejki linowej na najwyższy okoliczny szczyt – Szyndzielnię; tramwaj, bo tramwaje jeżdżą po mieście już od 1895 r.; rower – to znany ośrodek kolarstwa górskiego; lalka teatralna, bo tu odbywa się Międzynarodowy Festiwal Sztuki Lalkarskiej i działa Teatr Lalek Banialuka; szybowiec, kamera i saksofon, o których później. Jest więc wszystko, co kojarzy się z miastem i składa na jego kulturę. A w tym roku kultura jest tu kluczowa, o czym informuje napis: „Polska Stolica Kultury”.

Kultura w Bielsku ma być dostępna w każdym znaczeniu tego słowa.

Siedzimy w ratuszu, neorenesansowym budynku z XIX w., przyozdobionym flagami i plakatami, również z napisem „Polska Stolica Kultury”, w gabinecie Anny Zgierskiej. Na oknie stoją kwiatki, na ścianie wisi kalendarz przedstawiający panoramę miasta i reprodukcja „Pani w czarnym krawacie” Amedea Modiglianiego.

Urzędnicy opowiadają o starcie Bielska-Białej na Europejską Stolicę Kultury 2029. Wśród 12 kandydatów w finale znalazły się cztery miasta. Wygrał Lublin. Z inicjatywy trzech pozostałych oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego powołano Polską Stolicę Kultury (PSK). W tym roku jest nią Bielsko-Biała, w 2027 będzie Kołobrzeg, a w 2028 Katowice.

– Nasze hasło to „Tkamy dobrostan”, ponieważ Bielsko-Biała była znanym w Europie ośrodkiem włókienniczym – podkreśla Jakub Krajewski. – Tkamy kulturę nie jako fanaberię czy dodatek, ale jako narzędzie do zmiany w dzisiejszym świecie. Kulturę opartą nie jedynie na dziedzictwie i historii, ale idącą do przodu, bo tkamy dobrostan na bieżąco. Tkamy miasto splotów ludzi, wydarzeń i natury.

– Trzy idee nam przyświecają: kreatywność, wspólnota, natura – mówi Katarzyna Wolny.

Wspólnota, ponieważ organizatorzy zachęcają mieszkańców i lokalnych artystów do bycia kreatywnymi właśnie. Program PSK został zbudowany w dużej mierze na ich pomysłach. I wciąż mogą zgłaszać kolejne, w ramach tegorocznej edycji budżetu obywatelskiego, która też podporządkowana jest kulturze. Kulturze, która w Bielsku-Białej ma być dostępna w każdym znaczeniu tego słowa, również w tym, by nie zamykać jej

eprasa.pl cfd4a4b979

w przestrzeni budynków, ale wyjść z nią w plener – i tu mamy naturę. Iść z nią w miasto, nie tylko do centrum, ale też w dalsze rejony i dzielnice.

Co do programu, dużym wydarzeniem będą Aerosploty, majowe obchody 80-lecia Zakładów Szybowcowych i 90-lecia lotniska. Szybowiec na moście to jeden z symboli miasta. W Bielsku-Białej mieszka w końcu najbardziej utytułowany pilot szybowcowy w historii, Sebastian Kawa.

Oczywiście to nie wszystko, lecz jedynie kilka z nowości, które uzupełniają regularny, bogaty program wydarzeń, z zasłużonymi festiwalami o ogólnopolskiej i międzynarodowej renomie na czele.

Motor rozwoju miasta

Przy ulicy 3 Maja znajduje się Galeria Bielska BWA, czyli dawniej Biuro Wystaw Artystycznych. W modernistycznym budynku z 1960 r. przez długi czas dzielił i rządził lokalny oddział Związku Polskich Artystów Plastyków, bo miasto zawsze plastykami stało. Od lat działa tu muzeum i liceum plastyczne. Dziś galerią kieruje Agata Smalcerz. Pokazuje mi aktualną wystawę – 17. Ogólnopolskie Biennale Rysunku i Malarstwa Uczniów Średnich Szkół Plastycznych.

– Obserwujemy zainteresowanie sztuką coraz młodszych artystów. W tych pracach widać znakomite rzemiosło – wskazuje, podczas gdy ja wpatruję się w obraz „Apteka" Mai Ostrowickiej z tutejszego liceum, jeden z wielu realistycznych przykładów młodego malarstwa, potwierdzających słowa Agaty Smalcerz.

Wizytówką Galerii Bielskiej BWA jest Biennale Malarstwa Bielska Jesień, najważniejszy i największy konkurs malarstwa w Polsce, organizowany od 1962 r. Wygrywali go tacy malarze jak choćby Wilhelm Sasnal. Biennale odbywa się w latach nieparzystych, więc w tym roku będzie wystawa kuratorska Bielskiej Jesieni. To jeden z punktów programu PSK, za którego część związaną ze sztukami wizualnymi odpowiedzialna jest właśnie Galeria Bielska BWA.

– Sam start w konkursie na Europejską Stolicę Kultury zrobił dużo dobrego – mówi Agata Smalcerz. – Zwrócił uwagę na kulturę, która jest motorem rozwoju miasta, pobudza je do życia i daje impuls.

PSK w galerii zainaugurował pokaz fotografii „Światłoczułe spojrzenie", których autorem jest bielski artysta Roman Hryciów. Przed nami dwie kolejne wystawy. „Przedpokój. Herstories" bielskich artystek Pauliny Poczęty i Małgorzaty Łuczyny to połączenie tkaniny i wideo, dialog, w którym – jak głosi opis – „osobiste historie splatają się z doświadczeniem pokoleń kobiet, tworząc wielowątkową opowieść o pamięci, stracie i twórczym przepracowaniu". „Ukorzenianie" Pawła Matyszewskiego, artysty z Podlasia, będzie „wystawą w procesie", w którym artysta „wprowadza do przestrzeni galerii ogród, a równocześnie przenosi obiekty artystyczne na zewnątrz, do ekosystemu otaczającego budynki galerii", przez co będzie to opowieść o „cichym życiu roślin splecionym z życiem innych organizmów".



Agata Smalcerz kieruje Galerią Bielską BWA.



Katarzyna Wolny i Jakub Krajewski lubią Bielsko za naturę, zieleń i góry.

BWA to również spotkania, oprowadzania kuratorskie, które cieszą się dużą popularnością, a także dyskusje wokół malarstwa, co raduje dyrektorkę: – Okazuje się, że malarstwo

eprasa.pl cfd4a4b979

to nie przeszłość, jak wielu podejrzewało. Sztuką nie rządzą tylko nowe media. To, co powstało analogowo i ręką człowieka, wciąż jest cenne i ciekawe.

W czerwcu odbędzie się 6. Bielski Festiwal Sztuk Wizualnych. Sztuka pod każdą postacią zawładnie nie tylko pawilonem BWA i Willą Sixta, którą galeria jakiś czas temu przejęła i odremontowała, ale całym miastem.

Wracają

Miasto już teraz żyje sztuką. W Miejskim Domu Kultury Włókniarzy można obejrzeć wystawę „Michał Kliś rodzinnie". W przejściu podziemnym między ulicami 3 Maja i Norberta Barlickiego wiszą prace Katarzyny Zolich „Ukryte rzeki" poświęcone potokowi Niper, który wbrew ogólnej opinii nie zniknął, lecz został włączony w podziemny system i nadal płynie.

Pracowniczka Bielskiego Centrum Kultury im. Marii Koterbskiej Punkt 11 wraz z artystką Beatą Bojdą opowiadają o ETNObusie, który wystartował z wystawą „ETNO" tejże artystki. Jest to autobus linii numer 4 i będzie jeździł tradycyjną trasą, tyle że w ramach projektu „Kierunek: Sztuka", więc cały w kwiatach i z wystawą oraz wydarzeniami towarzyszącymi w środku.



Magdalena Jeż prowadzi Klubokawiarnię Aquarium.

„Mały Wiedeń", bo tak z powodu licznych zabytkowych kamienic mówi się o Bielsku-Białej, pełen jest kultury, małych galerii, murali i pomników postaci z bajek: Reksia, Bolka i Lolka, Smoka Wawelskiego i kucharza Bartoliniego Bartłomieja. Postacie te stworzono w bielskim Studiu Filmów Rysunkowych.

W mieście dużo jest starych szyldów, dużo piekarni, kwiaciarni, jest fotograf, szewc, a całość dopełnia spółdzielczość w najbardziej klasycznej formie, pod postacią Społem czy Spółdzielczego Domu Handlowego Klimczok. Nad wszystkim góruje Zamek Książąt Sułkowskich, najstarsza budowla w mieście. Wznoszenie go rozpoczęło się w XIII w.

– Gdy byłam nastolatką, wielu moich rówieśników marzyło, by stąd wyjechać, a teraz wracają. Odnajdujemy tu wiele możliwości – zaznacza Magdalena Jeż.

Pijemy kawę w Klubokawiarni Aquarium, którą Magda prowadzi na dobudowanym w latach 90. piętrze budynku Galerii Bielskiej BWA. Gdy ona po studiach wróciła do Bielska, tę możliwość musiała sobie sama wypracować. Założyła Fundację Kultury Kalejdoskop, w ramach której organizuje wydarzenia kulturalne, koncerty, warsztaty i spotkania.

Z wielkich okien widać miasto, a Magda zapewnia, że to nie tylko miasto kultury, ale także najlepsze miasto świata. Historyczna wielokulturowość to według niej jedna z ważniejszych cech dzisiejszego Bielska-Białej. Według pierwszego powszechnego spisu ludności z 1921 r. po I wojnie światowej ponad 60% mieszkańców Bielska stanowiła ludność niemiecka, polska – jedynie ok. 23%, a 14% ludność żydowska. W Białej z kolei polska ludność przeważała, stanowiąc prawie 60%, 27% stanowili Niemcy, a Żydzi – 11%. Po II wojnie światowej większość mieszkających tu Niemców została wysiedlona, na ich miejsce przyjechali Polacy z różnych stron, z Kresów Wschodnich, Małopolski, z centrum i innych rejonów.

To inni przyjeżdżają uczyć się od nas, bo robimy światowe rzeczy.



Anna Zgierska, zastępczyni naczelnika Wydziału Kultury i Promocji Urzędu Miasta.

Może stąd wzięła się u Bielszczan ciekawość miejsca, w którym

eprasa.pl cfd4a4b979



Z Bielska-Białej pochodzi Reksio.

Bielskiej Zadymki Jazzowej, z którym spotykam się w biurze festiwalowym, na piętrze Galerii Handlowej Sfera II. – Jako nastolatek chodziłem wieczorami po okolicy i mijałem otwarte okna hal włókienniczych, gdzie przy maszynach pracowały setki kobiet w fartuchach, w gorącu i zaduchu, a maszyny grały: „wrr szuuu, wrr szuuu".

Galeria Sfera i Sfera II mieszczą się na terenach byłych zakładów włókienniczych, co w tej drugiej objawia się stalowymi belkami ciągnącymi się w poprzek sufitu i loftowym klimatem. Gdy odwiedzam biuro festiwalowe, został tydzień do 28. edycji Zadymki (odbyła się w dniach 16-22 marca). – To najlepszy polski festiwal jazzowy – mówi Batycki.



Jerzy Batycki, dyrektor Bielskiej Zadymki Jazzowej.

mieszkają, bo z kimkolwiek rozmawiam, słyszę, że wycieczki historyczne są tu ogromnie popularne. Podobnie jak inne wydarzenia dotyczące lokalnej historii i kultury, ale i kultury w ogóle. By dostać się na spektakl do tutejszego Teatru Polskiego, bilety trzeba kupić z dużym wyprzedzeniem.

A maszyny grały

W Bielsku-Białej kultura jest nawet w galerii handlowej. – Z Bielskiem kojarzy mi się moja młodość, a z nią dźwięk maszyn włókienniczych – mówi Jerzy Batycki, dyrektor

Pierwsza Zadymka odbyła się w 1999 r. Przez lata festiwal odwiedziły największe gwiazdy światowego jazzu: Herbie Hancock, Pat Metheny, Dianne Reeves, Billy Cobham, a z Polski Tomasz Stańko, Jan Ptaszyn Wróblewski, Urszula Dudziak, Michał Urbaniak czy Leszek Możdżer. W 2021 r. słynny trębacz Wynton Marsalis odsłonił na rondzie przy Sferach stalową instalację przedstawiającą instrumenty jazzowe i od tego czasu jest to Rondo Bielskiego Jazzu. W 2015 r. na Zadymce grał wielki Wayne Shorter.

W tym roku głównym wydarzeniem festiwalu było światowe prawykonanie jego kompozycji na jazzowy sekstet i orkiestrę, z solówkami napisanymi specjalnie dla Milesa Davisa i Lee Morgana. Nigdy jej jednak nie zagrali, a znalezione niedawno dwa rękopisy „Sessions for Miles" i „Sessions for Lee" wybrzmiały dopiero teraz. Batycki mówi o tym koncercie jako połączeniu muzyków ze światowej stolicy jazzu, czyli Nowego Jorku, z muzykami Orkiestry Polskiego Radia ze stolicy Polski, czyli Warszawy, w stolicy polskiego jazzu, czyli Bielsku-Białej, a konkretnie w sali koncertowej Cavatina Hall.

Festiwal rozpoczął się 320 m pod ziemią w Komorze badawczej nr 8 Kopalni Guido w Zabrzu, a zakończył 1028 m nad ziemią, koncertem w schronisku na Szyndzielni. Jerzy Batycki podkreśla, że jest reżyserem teatralnym, dlatego każdy festiwal to nie tylko zbiór koncertów, ale całe, wyreżyserowane wydarzenie z osią dramaturgiczną i własną narracją. Jest muzyka, ale jest i przekrój przez historię i kulturę regionu. 20 marca ze stacji PKP w Bielsku odjechał Pociąg do Jazzu, który na stacji w Czechowicach-Dziedzicach przywitała orkiestra kolejowa, by odprowadzić pasażerów do Starej Kablowni, gdzie zagrali Skalpel i czeski duet Bratři.

Zresztą tu, w galerii Sfera II, też była scena festiwalowa. Saksofon, czyli jeden z symboli na moście między Bielskiem a Białą, ma swoje znaczenie.

– Młodym Bielsko-Biała nie kojarzy się już z „Bolkiem i Lolkiem" czy „Reksiem", bo nie oglądali tych bajek. Nie kojarzy się z Małym Fiatem, bo już się nim nie jeździ. Kojarzy się z jazzem – podsumowuje Jerzy Batycki. – Polski jazzman Piotr Wojtasik powiedział mi kiedyś, że dajemy ludziom skarby.

Zadymka Jazzowa wychowała sobie publiczność. Ciekawe, jakich ludzi wychowa Polska Stolica Kultury i to, co po niej zostanie. Bielsko-Biała jest, wedle słów Jerzego Batyckiego, niedużym ośrodkiem miejskim, ot, miasto na ok. 165 tys. mieszkańców. Ale nie chce być większa.

– Nie mamy kompleksów, nie wstydzimy się, to inni przyjeżdżają uczyć się od nas, bo robimy światowe rzeczy.

Anna Wyrwik

FOT. ANNA WYRWIK (7)

eprasa.pl cfd4a4b979

Katarzyna Stoparczyk



Stanisław Tym (z lewej) w filmie „Rejs”.

Nieprzeciętne poczucie humoru

Rola kaowca w „Rejsie” była dla Stanisława Tyma legitymacją do kręcenia kolejnych filmów

W filmie Marka Piwowskiego „Rejs” w kultowej scenie „Gra w salonowca” fałszywy kaowiec, czyli Stanisław, leje po dupie filozofa, czyli krytyka literackiego, felietonistę, aktora nieprofesjonalnego Andrzeja Dobosza, i prowadzą ze sobą następujący dialog:

„Filozof: Malarze holenderscy malowali ludzi starych i pokurczonych. Nie ukrywali brzydoty swoich modeli, ale pokazywali ich piękno, bo mieli dystans do swego tworzywa. W naszej piramidzie jesteśmy zarazem tworzywem i twórcami. Otóż, gdyby ktoś był niedoskonały fizycznie, nie wiedziałby, gdzie kończy się i gdzie zaczyna się jego brzydota. I nie sposób, żeby miał właściwy dystans do samego siebie. To jest powód, dla którego sądzę, że osobiście nie mogę już dłużej brać udziału w tej gimnastyce. Nie umiem znaleźć dystansu.

Fałszywy kaowiec: Dlaczego?

Filozof: Nie mogę być równocześnie twórcą i tworzywem. Mam chyba prawo wyboru.

Fałszywy kaowiec: Oczywiście. Proszę”.

Po czym mężczyźni na górnym pokładzie statku wymierzają sobie na zmianę klapsy. Chodzi o to, aby ten, któremu są wymierzane klapsy, zorientował się, kto mu je wymierza. Gdy fałszywy kaowiec leje po tyłku filozofa, ten wskazuje na kaowca, który z pewnością w głosie odpowiada mu: „Nie ja”.

Kiedy kaowiec leje filozofa ponownie, ten zdezorientowany mówi: „To ja! Bo jeśli nie pan, to widocznie ja”.

Na co kaowiec odpowiada przecząco i w najlepsze nadal pierze po tyłku kompletnie już zbitego z tropu filozofa.

W scenariuszu filmu wątek ten osadza pisarz, Janusz Głowacki. Jednak błędnie przypisuje się mu wymyślenie zabawy. W dupnika lub salonowca bawią się już kilka lat wcześniej aktorzy Studenckiego Teatru Satyryków. Jak mówi Ryszard Pracz:

– Dzisiaj aktorzy uciekają po spektaklach z teatrów jak do pożaru. A myśmy się nie mogli rozstać, więc kombinowaliśmy, co by tu jeszcze wymyślić, żeby ze sobą spędzać czas. Gra w dupnika była świetna, ale do tego trzeba było dłoni jak bochen chleba, a taką miał Staś.

Stanisław leje bez opamiętania. I to bez względu na to, czy na kolanach aktorów kładą się koledzy, czy koleżanki. Chodzi o to, że jedni wypinają tyłki, drudzy leją. Tym pierwszym trzeba jeszcze zasłonić oczy, by zgadywali, kto rozdaje klapsy. Jest przy tym dużo śmiechu. Kolejnego dnia komisyjnie sprawdzany jest kolor pośladków. Wygrywają te, które są najbardziej różowe.

– Najczęściej kładłyśmy się my, dziewczynki. To znaczy ja i Krysia Sienkiewicz. Słyszałyśmy „bach!”. I trzeba było zgadnąć. Jeśli nie zgadłaś, to dostawałaś jeszcze raz.

Elżbieta Burakowska pamięta, jak na kolanach kolegów kładzie się elektryk teatru, Wojciech Szemetyło. Stanisław wali go nie w ten pośladek, który trzeba. Ten jest już mocno poobijany i chodzi o to, aby go oszczędzić.

– Zbolały Wojtek syknął z bólu i zawołał: „No nie! Przecież miałeś mnie walnąć w ten drugi pośladek!”.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cfd4a4b979

Na co Stanisław reaguje błyskawicznie i zgodnie z prośbą kolegi wymierza siarczystego klapsa w mniej obolały pośladek.

•

– Halo! Milicja? Przyjedźcie jak najszybciej do pałacyku przy Świerczewskiego.

– Co się stało?

– A są tu jacyś dziwni z Warszawy i robią świńskie rzeczy.

Stanisław dostał cynk. Wie, że ktoś z okolicznych mieszkańców nakablował i za chwilę pojawi się milicja.

– Panowie, rozbieramy się. Już! – Decyzję podejmuje błyskawicznie.

Aktorów Studenckiego Teatru Satyryków nie trzeba dwa razy namawiać. Na podłogę spada kilka par spodni, w ślad za nimi wędrują majtki. Milicja z impetem wbiega do wrocławskiego pałacyku przy ulicy Świerczewskiego (dzisiaj Piłsudskiego). Widzi „świńskie rzeczy" i jeszcze szybciej wybiega. Stanisław uwielbia robić tego rodzaju żarty.

Elżbieta Burakowska, artystka STS-u i przyjaciółka Stanisława, pamięta także inne zdarzenie z jego udziałem. Otóż jeden z założycieli Studenckiego Teatru Satyryków, a także twórca prywatnego kabaretu Fioletowy Księżyc, wraca z Nowego Jorku do Warszawy. Aktorzy chcą powitać go w wyjątkowy sposób. Nie wiedzą jak. Na pomysł wpada Stanisław.

Dwóch postawnych nagich mężczyzn (Stanisław Tym i Krzysztof Kowalewski) wręcza Henrykowi Malesze nagą córkę Czesława Kalinowskiego, aktora Teatru Domu Wojska Polskiego w Warszawie (obecnie Teatru Dramatycznego). Jak wspomina Elżbieta Burakowska:

– To była młodziutka, zabawna dziewczyna z ogromnym poczuciem humoru. Pamiętam, jak zareagowała wtedy nasza bufetowa z teatru, pani Kasia Pietrzykowska. Po prostu nie mogła przestać się śmiać. Wiedziała, że takie właśnie są te nasze żarty.

Nieprzeciętne poczucie humoru Stanisława docenia także dziennikarz Adam Wajrak, który w roku 2007 wraz z działaczami pozarządowych organizacji ekologicznych i przyrodniczych, a także ekologami badaczami protestuje przeciwko prowadzeniu obwodnicy Augustowa przez dolinę Rospudy.

– Pamiętam, że było ciężko i że strasznie tam marzliśmy. Ale jednocześnie dostawaliśmy też wsparcie. Nagle huknęła wiadomość, że przyjeżdża do nas Stanisław Tym z transportem czekolady. Stanisław przywiózł ekologom nie tylko hurtowe ilości czekolady, ale także dobre słowo i zabawne opowieści.

Jak mówi Wajrak:

– Jedną z nich dobrze zapamiętałem, ponieważ Staszek opowiadał mi ją kilka razy. Otóż Organizacja Narodów Zjednoczonych dowiaduje się, że w piekle dzieją się straszne rzeczy. Wysyła tam swoją delegację. Lucyfer wraz z pomocnikami wożą ich autokarem po piekle. Zaskoczeni delegaci przyglądają się sielskim obrazkom. Nad krystalicznie czystymi jeziorami leżą zadowoleni ludzie, piją wino i kochają się. Jest cudownie. W pewnym momencie jedna z delegatek zauważa stromą górę z potężną stalową bramą. Kobieta żąda, aby i tam natychmiast zawieźć delegację. Zaskoczony Lucyfer próbuje ją do tego pomysłu zniechęcić. Nie udaje mu się, zatem po chwili autokar wjeżdża przez stalowe wrota. Oczom delegatów ukazuje się apokaliptyczny obraz. Ludzie są torturowani, gotowani w smole, krojeni na kawałki i posypywani solą. Wstrząśnięci delegaci domagają się natychmiastowych wyjaśnień. Zakłopotany Lucyfer tłumaczy: „Wiecie, to jest potwornie głupia i delikatna sprawa. To są chrześcijanie. I oni tego od nas wymagają". (…)

•

„Rejs" zostaje znacznie lepiej przyjęty w Stanach Zjednoczonych niż w Polsce. Robi furorę na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w San Francisco, gdzie przez kilka festiwalowych dni ludzie z uznaniem wołają za Markiem Piwowskim: „Patataj, patataj". Nawiązują w ten sposób do słynnej sceny, kiedy fałszywy kaowiec organizuje gry i zabawy dla pasażerów statku. Ostatniego dnia festiwalu powstaje fanklub „Rejsu". Podobne powstaną niebawem w Los Angeles i Nowym Jorku. Po pokazie filmu w tym ostatnim Piwowski otrzymuje propozycję prowadzenia wykładów dla studentów w City University of New York.

Cenzura komunistyczna traktuje „Rejs" brutalnie. Po wielu kolaudacjach trzygodzinny film zostaje przycięty do godziny. Jest dystrybuowany wyłącznie w kinach studyjnych w dwóch kopiach, bez reklamy. Otrzymuje najniższą kategorię artystyczną. Krytycy zarzucają mu złą kompozycję i dramaturgię, a także brak elementu, który połączyłby poszczególne epizody. Jak zauważa pisarz, reporter, scenarzysta filmowy, a także przyjaciel pisarza Stanisława Lema, Jan Józef Szczepański: „»Rejs« nie mieści się w żadnych kategoriach właściwych polskiemu kinu. Jest to kabaret na ekranie – w dodatku kabaret improwizowany, a do tego jeszcze zdumiewająco realistyczny".

Pojawiają się pierwsze ogólnopolskie recenzje.

„Express Wieczorny": „»Rejs« jest filmem niewydarzonym, złym, jest czymś, co nawet trudno nazwać filmem. Jest szary i nudny, sprawia wrażenie amatorszczyzny".

„Trybuna Ludu": „Materiałowi zabrakło spoiwa. Można pisać z uznaniem o poszczególnych scenach, lecz komedii pochwalić nie można. Bo jej nie ma".

Dla Stanisława praca na planie filmów jest rodzajem misji.

„Rejs" zostaje znacznie lepiej przyjęty w USA niż w Polsce. Robi furorę na festiwalu w San Francisco.

eprasa.pl cfd4a4b979

„Film”: „Nie da się ukryć, że film wymknął się autorom z rąk. (…) Wyzyskanie schizofrenii zbiorowej dla potrzeb humoru jest dokonaniem. To oczywiście nie tak łatwo spostrzec, ale bo też – co może się wydać paradoksalne – jest to film dla inteligencji. Jego podstawową wartością jest dowcip słowny, a bawić się językiem potrafi naprawdę tylko inteligencja”.

„Kultura”: „Rzecz w dobrym tego słowa znaczeniu nietypowa”.

„Życie Warszawy”: „To wszystko razem nie jest naprawdę o Polsce. To tylko dwaj młodzi ludzie, bardzo zdolni, ale umiejący patrzeć tylko tak jakoś ukośnie, robią zgrywę żakowską, przedrzeźniają społeczeństwo”.

„Rejs” odnosi ogromny sukces w kinach studyjnych. Po jednym z seansów reżyser Andrzej Wajda przesyła do tygodnika „Film” następujący list: „Moje zaskoczenie było całkowite. Od pierwszych minut towarzyszyła projekcji spontaniczna, pełna aprobaty i zrozumienia reakcja widowni, wybuchy śmiechu, oklaski. Owe odkrywcze, zaskakujące świeżością rozwiązań sceny, które – jak sądziłem – mogą wzbudzić zainteresowanie jedynie w gronie znawców i amatorów kina, zostały przyjęte z uznaniem i wyraźną satysfakcją przez publiczność, nierekrutującą się przecież wyłącznie, jak zdołałem zauważyć, z bywalców kin studyjnych i przedstawicieli tak zwanego środowiska. Jaką więc wartość poznawczą, jaką siłę humoru kryje w sobie ten często źle inscenizowany, najfatalniej sfotografowany (przez profesora szkoły filmowej w Łodzi) film, jeżeli budzi taki oddźwięk na widowni? To doświadczenie każe mi zastanowić się nad przyczynami owej zaskakującej reakcji, każe zrewidować mój stosunek do tego wydarzenia, każe wreszcie wyciągnąć wnioski”.

W 1990 r. w ankiecie tygodnika „Polityka” „Rejs” zdobywa pierwsze miejsce wśród najciekawszych filmów polskich XX w. Do legendy przechodzą kultowe dzisiaj sceny i dialogi, jak ten, w którym Stanisław jako fałszywy kaowiec usiłuje zabawiać wycieczkowiczów:

„Kaowiec: Pytanie kolejne. Zatem. Jak się nazywa miasto nad Wisłą. Dla ułatwienia dodajemy, że jest to imię króla, który zostawił Polskę murowaną.

Głos z grupy wycieczkowej: Panie Kazimierzu! Ma pan klucz od kabiny?

Kaowiec: Bardzo państwa proszę nie podpowiadać. Bardzo proszę.

Przepytywany mężczyzna: Kluczbork.

Kaowiec: Odpowiedź prawidłowa: Kazimierz.

Przepytywany mężczyzna: Roman”.

Rola fałszywego kaowca w „Rejsie” staje się dla Stanisława legitymacją do realizacji kolejnych filmowych produkcji, które tym razem powstają we współpracy z reżyserem Stanisławem Bareją. Ten zahartowany przez cenzurę tandem zaproponuje widzom filmy, które obnażają absurdy PRL, odważnie kpiąc ze schyłku epoki Gierka. „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz”, „Niespotykanie spokojny człowiek”, „Nie ma róży bez ognia”, „Poszukiwany, poszukiwana” i wreszcie arcydzieło, jedna z najlepszych komedii w historii polskiej kinematografii – „Miś”. Dla Stanisława praca na planie filmów jest rodzajem misji. „Trzeba ludziom przypominać, że to był okrutny i tragicznie kończący się dla ludzi system”.

•

Choć „Rejs” uważany jest za komedię i kojarzy się z zabawnymi dialogami, losy wielu grających w nim aktorów potoczyły się dramatycznie.

Jest początek października 1977 r. Przed Hotelem Europejskim przy ulicy Krakowskie Przedmieście leży pijany, brutalnie pobity mężczyzna. Nikt z przechodniów nie reaguje. Zdzisław Maklakiewicz umiera kilka dni później, 9 października.

„Przerwa w piciu grozi życiu”, mówi na planie „Rejsu” filmowa żona Sidorowskiego, Irena Iżykowska, która na co dzień sprzedaje w pociągach piwo. W 1983 r. zapomina zakręcić na noc kurek z gazem.

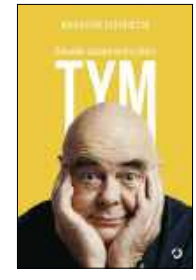
Około 11 listopada 1988 r. w melinie przy ulicy Górnośląskiej w Warszawie w obecności przyjaciela Zdzisława Rychtera po kilkudniowej alkoholowej libacji umiera Jan Himilsbach.

Najstarszy członek Rady Rejsu, emerytowany ławnik sądu wojskowego o nazwisku Sobczyk, szczyci się tym, że pomimo twardych dowodów znajduje uchybienia proceduralne i wobec jednego z oskarżonych doprowadza do wykonania na nim wyroku kary śmierci.

Roman Suszko, który w filmie zadał słynne pytanie: „Ale jaką metodą wybierzemy metodę głosowania?”, traci w wypadkach dwóch synów. Przed śmiercią w 1979 r. oświadcza, że nie życzy sobie nekrologu, jak również czczenia jego pamięci.

Wieczorem 10 sierpnia 1990 r. trzej jadący na rowerach nastolatkowie natykają się w Lesie Kabackim na zmasakrowane zwłoki. Na ciele ofiary policja znajduje 17 ran kłutych zadanych nożem. Po dziesięciu miesiącach prokuratura umarza śledztwo. Zamordowanym jest Leszek Kowalewski, który w filmie „Rejs” wciela się w postać poety. Kowalewski wszystkie zarobione pieniądze przepija w warszawskiej knajpie Miodek przy ulicy Pięknej. W dniu śmierci odwiedza kochankę, którą zastaje z innym mężczyzną. Po alkoholowej libacji zostaje wyrzucony z mieszkania. Tu trop się urywa. Okoliczności tragedii nie zostały wyjaśnione do dzisiaj.

Choć „Rejs” uważany jest za komedię, losy wielu grających w nim aktorów potoczyły się dramatycznie.



Fragmenty książki Katarzyny Stoparczyk *Tym. Człowiek szczery na trzy litery*, Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2025

eprasa.pl cfd4a4b979

KURTYNA W GÓRĘ

Kicz czy groteska?

Opowieść cam girl Violet Love, która przed kamerką zaspokaja fantazje mężczyzn, znalazła pokaźne grono entuzjastów – mowa o powieści „Zaklinanie węży w gorące wieczory" Małgorzaty Żarów. Książka zdobyła Nagrodę Literacką Gdynia, nominację do Nike i opinię brawurowego debiutu prozatorskiego. „W tej apokaliptycznej wędrówce przez Warszawę – zachęca wydawca – są kicz, katastrofizm, groza i pornografia. A pod ironią i złotą farbą – prześmiewczy portret naszych czasów". Chyba na wyrost, choć zapewne ta proza znajduje odbiorców nie tylko ze względu na temat. Odznacza się lekkim zabarwieniem surrealistycznym i groteskowym dystansem do rzeczywistości.

To jednak za mało, aby zaoferować odkrywczy obraz świata czy wnętrza bohaterki. Wszystko tu ślizga się po powierzchni, co tylko uwydatnia adaptacja teatralna, w której wyróżnia się choreografia, ale całość nie składa się na wciągającą widza opowieść czy komentarz do współczesności. Mimo wysiłków reżysera, aby zbudować oryginalny język sceniczny, spektakl tchnie banałem. Brak mu siły, aby kogokolwiek przerazić albo porządnie rozśmieszyć. Teatr Dramatyczny uważnie śledzi nowości literackie, tylko temu przyklasnąć. Jednak nie wszystkie odkrycia konkursowe sprawdzają się na scenie. *Tomasz Miłkowski*



Małgorzata Żarów, „Zaklinanie węży w gorące wieczory", adaptacja i reżyseria Jan Jeliński, Mała Scena Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy, premiera 13 lutego 2026



Thomas Bernhard, „Wycinka Holzfällen", reżyseria Krystian Lupa, Teatr Polski w Podziemiu, premiera wznowienia 20 lutego 2026

Starzy mistrzowie

Przed 12 laty, gdy Teatr Polski we Wrocławiu pod dyrekcją Krzysztofa Mieszkowskiego był najważniejszą sceną w kraju, Krystian Lupa wystawił w nim bernhardowską „Wycinkę". Spektakl o sztuce i życiu, zakłamaniu artystów i głupocie władzy.

Przywrócony do życia na potrzeby telewizyjnej realizacji spektakl wraca na afisz, tym razem Teatru Polskiego w Podziemiu. I dobrze, bo to przedstawienie wybitne. Spotkanie dawnych przyjaciół, dla którego tłem stała się samobójcza śmierć pogubionej, powoli tonącej w alkoholu Joany (świetna Marta Zięba), pretekstem zaś wizyta Aktora Teatru Narodowego, rozsławionego wybitną rolą Edkala w „Dzikiej kaczce" Ibsena. Ten jeden wieczór opisany z bezlitosną szczerością przez Bernharda – uczestnika wydarzeń, staje się pożywką dla teatru Lupy i feerii zachwycających kreacji aktorskich. Wojciech Ziemiański jako odpychający, a jednocześnie do bólu szczery Auersberger; Halina Rasiakówna w roli zmęczonej i coraz bardziej wątpiącej Auersbergerowej; Ewa Skibińska jako „lokalna Virginia Woolf", gasnąca, przegrana, a wciąż przekorna. Oszczędny, skupiony i przejmujący Piotr Skiba jako niemogący uwolnić się od Auersbergerów Bernhard. Wreszcie Jan Frycz jako Aktor Teatru Narodowego, na którego cześć wydano tę kolację i na którego cześć właściwie rozgrywa się druga część wrocławskiego spektaklu. Od starzejącego się, zblazowanego kabotyna, przez rozczarowanego ludźmi i sztuką sceptyka, po filozofa w finałowym monologu o stopieniu z naturą.

Samotność, smutek, groza wydestylowane z wybitnej prozy Bernharda przez Lupę. No i sztuka: niedoskonała, kosztowna, ułomna, ale wciąż stanowiąca jedyny ratunek.

Michał Centkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI



Joseph Mitchell
W starym hotelu
tłum. Kaja Gucio, Jakub Klawe
Znak Literanova, Kraków 2026

Absolutna klasyka reportażu i literatury amerykańskiej. Zbiór reportaży i miniatur legendarnego dziennikarza „New Yorkera" to hołd oddany Nowemu Jorkowi. Autor z precyzją i czułością kreśli panoramę miasta, w którym wszystko jest możliwe, zdarzyć się mogą najpodlejsze i najcudowniejsze rzeczy. Największą siłą tej książki jest galeria postaci: od legendarnej Mazie opiekującej się wyrzutkami po osobliwego „Profesora Mewę" czy starca przekonanego o cudownych właściwościach diety z owoców morza. Każda z tych historii jest drobnym fragmentem większej całości, która układa się w sugestywny, niemal malarski obraz miasta.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK, TEATR DRAMATYCZNY M.ST. WARSZAWY, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cfd4a4b979

Złota era języków

Języki, którymi mówimy dziś, to żywe skamieliny

Laura Spinney

60 tys. lat temu świat był chłodny, a potem stał się jeszcze zimniejszy. Znaczną część zachodniej Eurazji pokryły lodowce, a tam, gdzie kończył się lód, zaczynała się bezdrzewna tundra. Człowiek podążył za łowną zwierzyną do cieplejszych krain. Opowiadanie historii – opisywanie innych światów – stało się być może zdolnością potrzebną do przetrwania. Lodowce zaczęły się cofać ok. 14 tys. lat temu; ci, którzy przetrwali lód, znowu ruszyli w drogę. W ciągu kilku tysięcy lat ich potomkowie na obszarze Żyznego Półksiężyca, ciągnącym się od Eufratu i Tygrysu po ujście Nilu, zaczęli poświęcać energię raczej na pielęgnowanie roślin i zwierząt, a nie łowienie ich. Otworzyła się dla nich nowa żywnościowa rzeczywistość.

W przeddzień tej rolniczej rewolucji na świecie żyło ok. 10 mln ludzi. Mówili oni może 10 tys. języków, z których każdy miał tysiąc, najwyżej 2 tys. użytkowników. Rolnictwo uwolniło jednak energię z nowych źródeł, dzięki czemu społeczności zaczęły rosnąć, a wraz z nimi ich języki. Pojawiały się dialekty, a niektóre z nich z czasem stawały się samodzielnymi językami. Rodziny językowe wybuchały jak supernowe.

Neolit, epoka kamienia gładzonego, był szczytem naszej lingwistycznej płodności: nigdy w dziejach nie mówiono tyloma językami co wtedy.

Ten okres – neolit, epoka kamienia gładzonego – był złotą erą naszej lingwistycznej płodności: nigdy w dziejach nie mówiono tyloma językami co wtedy. Być może w szczytowym momencie było ich nawet 15 tys. Nie były jednak rozłożone równo, bo języki łączą się i dzielą tam, gdzie ludzie. Na archipelagu może być ich tyle co wysp. Na Kaukazie, nazwanym w X w. przez arabskiego geografa „górą języków", językoznawcy zaobserwowali zjawisko „dwujęzyczności pionowej": mieszkańcy wyżej położonych wiosek znają języki tych, którzy mieszkają niżej od nich, ale nie działa to w drugą stronę.

Języki są najbardziej różnorodne tam, gdzie największa jest bioróżnorodność, bo regiony takie są zdolne pomieścić większą liczbę grup mówiących różnymi językami i mieszkających obok siebie. Melanezja i Afryka Zachodnia, czyli miejsca, gdzie można wciąż zobaczyć ślady globalnej dawniej obfitości, do dziś są pełne różnych języków.

Języki trzymają się więc terenów nadających się do zamieszkania. Ale to w bardzo dosłownym sensie ruchomy cel: zdatność jakiegoś miejsca do ludzkiego osadnictwa określają po części środowisko naturalne, po części klimat, po części ludzka zdolność do przystosowania się. Zmiany klimatu skłaniały ludzi do przesiedlania się albo przystosowania w inny sposób, a ich język – jak zawsze elastyczny – dopasowywał się do tej reakcji. Kiedy ok. 5 tys. lat temu rolnicy z ludów Bantu zaczęli ekspansję na południe ze środkowej Afryki, do ich języków zaczęły się włączać mlaski zapożyczone od napotykanych tam mieszkańców buszu. Gdy Alaska stała się bardziej przyjazna rolnictwu, w języku Aleutów wyrazy dawniej oznaczające „zarzucić wędkę" oraz „rozdzielać połów" zaczęły znaczyć odpowiednio „sadzić" i „siać". Istnieją jednak granice ludzkiej zdolności do adaptacji: nordyccy osadnicy z Grenlandii zniknęli w XV w. wraz ze swoim językiem – prawdopodobnie dlatego, że zmusiło ich do tego ochłodzenie klimatu.

Od czasów neolitycznego szczytu ludzka różnorodność językowa powoli się kurczy. Jej spadek zaczął się od powstania pierwszych państw, ok. 5 tys. lat temu, wśród Sumerów w Mezopotamii (w dzisiejszym Iraku). Języki, które państwa te postanowiły wykorzystywać na potrzeby swojej administracji, stawały się bardziej popularne. W ciągu tysiąca lat pojawiły się pierwsze narzecza posiadające milion użytkowników. Niektóre z nich rozprzestrzeniały się kosztem mniejszych języków. Wiele wymarło, lecz z reguły nie bez śladu, bo ocalałe języki wyciągały z nich przydatne innowacje.

Dziś 8 mld ludzi na świecie mówi mniej więcej 7 tys. języków. Należą one do ok. 140 rodzin językowych, lecz większość z nas używa języka z jednej z zaledwie pięciu z nich: indoeuropejskiej, chińsko-tybetańskiej, nigero-kongijskiej, afroazjatyckiej lub austronezyjskiej. Wśród tej piątki wyróżniają się dwa kolosy: rodzina indoeuropejska, której największym przedstawicielem jest angielski, i chińsko-tybetańska, do której zalicza się mandaryński. Mandaryński ma więcej rodzimych użytkowników niż angielski, ale języki indoeuropejskie mają ich więcej niż chińsko-tybetańskie. Jeśli doliczymy osoby posługujące się którymś z tych języków jako drugim, trzecim itd., to rodzina indoeuropejska bezspornie będzie największą rodziną językową w dziejach świata. Do podobnych wniosków prowadzi analiza zasięgu geograficznego. Niemal co druga osoba na świecie mówi jakimś językiem indoeuropejskim.

•

Choć w naszej współczesnej mowie słychać duchy martwych języków, nigdy nie dowiemy się, jak brzmiała większość z nich, bo nie zostały nagrane. Gdyby 300 tys. lat

eprasa.pl cfd4a4b979

istnienia *homo sapiens* przedstawić w postaci zegara, pismo pojawiłoby się mniej więcej pół godziny przed północą. Wtedy właśnie zaczęła się historia – co po grecku znaczyło „wiedza" albo „badanie", a później „kronika" lub „relacja". Wszystko, co działo się wcześniej, nazywamy prehistorią.

Podobnie jak sam język, pismo wymyślono w kilku niepowiązanych ze sobą miejscach i czasach. Najstarszy znany system pisma wymyślili Sumerowie. Wykorzystywali w nim ideogramy, czyli symbole obrazujące różne koncepcje. Z czasem powstały systemy bardziej abstrakcyjne, w których poszczególne znaki odpowiadały dźwiękom. Można je podzielić na dwie główne kategorie: pisma sylabiczne, czyli sylabariusze, w których każdy znak odpowiada sylabie, oraz pisma alfabetyczne, czyli alfabety, w których każdy znak odpowiada jednemu dźwiękowi. Były też systemy stanowiące hybrydę obu podejść, czasem z dodatkiem kilku ideogramów.

O ile nam wiadomo, alfabet wymyślono tylko raz – w Egipcie albo jego okolicy. Potem wielokrotnie go kopiowano – zawsze z pewnymi zmianami. Ważne tu jest, by zrozumieć, że każdy system pisma może posłużyć do zapisywania różnych języków, a każdy język można zapisać różnymi systemami pisma. Starożytne systemy pisma, których nie potrafimy dziś rozszyfrować – jak pismo linearne Krety minojskiej czy też pismo kultury Indusu – mogą zatem kryć zarówno teksty w językach nam znanych, jak i kompletnie nieodkrytych. Nie dowiemy się tego, póki nie zostaną odczytane. (…)

Język jest podatny na zmiany i bez przerwy się rozbudowuje, a więc stanowi zarazem archiwum swojej własnej wędrówki. Kiedy mówimy o „narodzinach" lub „śmierci" jakiegoś języka, rozumiemy go jako zestaw narzędzi komunikacyjnych niezrozumiałych dla użytkowników innych, podobnych zestawów (na podobnej zasadzie w biologii gatunki wyróżnia się na podstawie niezdolności dwóch osobników do krzyżowania się – albo ściślej mówiąc, niezdolności ich potomstwa do krzyżowania się z innymi). To przydatna definicja, ale nie jedyna. Równie prawdziwe jest stwierdzenie, że wszystkie języki można wyprowadzić od tych najstarszych, tak jak wszystkie gatunki pochodzą od pierwszych żywych organizmów. W tym znaczeniu wszystkie języki są równie stare. Te, którymi mówimy dziś, to żywe skamieliny.

Język jest nie tylko narzędziem, lecz także pomnikiem. Ludzie wiedzą od dawna, że struktura języka i jego pokrewieństwo z innymi tworzą kapsułę czasu. Herodot – Grek, którego czasem z podziwem nazywamy ojcem historii, a czasem ze znacznie mniejszym podziwem ojcem kłamstw – pojął to instynktownie już w V w. p.n.e. Pisał, że gdy mieszkańcy stepów na północ od Morza Czarnego chcieli handlować z plemionami mieszkającymi w górach Ałtaju w Azji Środkowej (czyli w jego przekonaniu na skraju płaskiej Ziemi), musieli posługiwać się siedmioma tłumaczami przekładającymi wiadomości na siedem języków po kolei. Rozumiał zatem, że dwa języki mogą być od siebie odrębne i jednocześnie ze sobą spokrewnione.

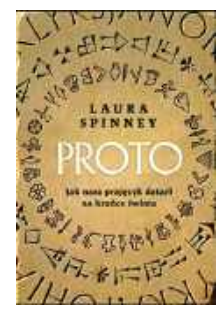
O ile nam wiadomo, alfabet wymyślono tylko raz – w Egipcie albo jego okolicy.

Herodot mówił prawdopodobnie tylko po grecku. Wspomniana wyżej koncepcje mógł natomiast bardziej jednoznacznie wyłożyć jedynie poliglota, czyli ktoś, kto ma w głowie imponującą liczbę języków. Poliglotą był np. Dante Alighieri, człowiek, który gwałtownie przyśpieszył śmierć łaciny przez napisanie jednego z najważniejszych dzieł średniowiecznej literatury europejskiej po włosku, czyli w języku używanym na co dzień przez swoich rodaków. Wpływ „Boskiej komedii" był tak przemożny, że na kilkaset lat toskański dialekt Dantego stał się standardowym językiem literackim Europy Zachodniej.

Na początku XIV w., kiedy łacinę relegowano już do uczelni, Dante przyjrzał się językowemu krajobrazowi Europy. Podzielił języki na podstawie tego, jak brzmiało w nich słowo „tak" – wyróżnił zatem języki germańskie (*jo*) oraz romańskie, którymi posługiwano się na zachód i południe od tych pierwszych. Te drugie podzielił następnie na *langue d'oc* i *langue d'oïl*, między którymi granica przebiegała na rzece Loarze, oraz języki *sì*, którymi mówiono we Włoszech i na Półwyspie Iberyjskim. Potem zasugerował, że *oc*, *oïl* i *sì* pochodzą od łaciny. Uważał tak, ponieważ miały wiele wspólnych wyrazów, w tym oznaczających boga, miłość, niebo, morze i ziemie.

Widać to na pierwszy rzut oka nawet przy nauce nowoczesnych języków romańskich, które miały więcej czasu na rozwój w odmiennych kierunkach. Bóg, po łacinie *deus*, to po francusku *dieu*, po włosku *dio*, po hiszpańsku *dios*. Miłość, po łacinie *amor*, to w tych trzech językach odpowiednio *amour*, *amore* i *amor*; niebo, *caelum*, stało się *ciel – cielo – cielo*, morze, czyli *mare – mer – mare – mar*, ziemia, czyli *terra – terre – terra – tierra*. W języku oksytańskim, jednym z langue *d'oc*, który do dziś używany jest w niektórych zakątkach Francji, Hiszpanii i Włoch, pojęciom tym odpowiadają kolejno *dieu – amor – cèl – mar – tèrra*.

Dante twierdził, że różnice między tymi językami wynikały ze stopniowych przemian. Wyjaśniał to za pomocą porównania: „To zaś, co mówimy, nie powinno wzbudzać większego zdziwienia niż fakt, że widzimy dorosłego młodzieńca, a nie zauważyliśmy, jak rósł: nie dostrzegamy bowiem wcale zmian zachodzących powoli, i im więcej czasu wymaga przemiana jakiejś rzeczy, żeby ją dostrzec, za tym bardziej niezmienną tę rzecz uważamy" (…).



Fragment książki Laury Spinney *Proto. Jak nasz prajęzyk dotarł na krańce świata*, przeł. Grzegorz Kulesza, Znak Horyzont, Kraków 2026

eprasa.pl cfd4a4b979



W okolicach Tangeru ciężarówki wywożą kradziony piasek w biały dzień.

Gdy piasek zniknie z plaż

Nielegalnym wydobyciem surowca zajmują się gangi i mafie

Tomasz Skowronek

As-Suwajra, miasto w Maroku, ma kilkaset lat. Wiatr znad Atlantyku niesie sól, a po szerokiej plaży spacerują turyści. Ktoś wsiada na wielbłąda, ktoś robi zdjęcia falom. Z daleka wszystko wygląda jak pocztówka. Po zmroku plaża pustoszeje. Znikają przewodnicy i sprzedawcy herbaty. Nocą, jak mówią mieszkańcy, przyjeżdżają ciężarówki. Wjeżdżają na wydmy. Piasek ładowany jest łopatami i koparkami. Nie pojedyncze worki – całe wywrotki. Nad ranem samochody odjeżdżają.

Podobne sceny mieszkańcy nagrywali w okolicach Tangeru. W podmiejskim Lesie Dyplomatycznym ciężarówki ładowały piasek w biały dzień. Publikowane w mediach społecznościowych filmy wywołały oburzenie. Przez kilka dni mówiła o nich prasa. Potem zniknęły z nagłówków.

Piasek trafia na budowy. W kraju, który szybko się urbanizuje, to surowiec cenniejszy, niż mogłoby się wydawać. Potrzeba go do betonu, z którego rosną nowe osiedla i hotele. Pustynny piasek się nie nadaje – jest zbyt gładki, beton wiąże ten z plaży, ciężki i szorstki.

W Maroku mówi się o mafii piaskowej – o siatkach, które wiedzą, gdzie wydobywać piasek i komu go sprzedać. Oficjalnie problem jest pod kontrolą. Plaże jednak stają się coraz węższe. Na północnym wybrzeżu niektóre już przestały istnieć. Linia brzegowa z roku na rok się cofa. Proceder poważnie zagraża równowadze ekologicznej, degraduje też roślinność, naturalną barierę chroniącą wybrzeża przed erozją.

Piasek się kończy

Świadkiem takiego nielegalnego wydobycia był Abdelkader Abderrahmane, międzynarodowy śledczy ds. bezpieczeństwa z Instytutu Studiów nad Bezpieczeństwem (ISS), afrykańskiej organizacji badawczo-doradczej. Nigdy nie myślał o piasku. Przez lata podróżował po Mali, badając handel narkotykami, kiedy jedno jego źródło zwróciło mu uwagę na fakt, że większość marihuany w Mali pochodzi z Maroka, gdzie „kwitnie też handel piaskiem".

Początkowo nie uwierzył. „Myślę, że kiedy mówi się o handlu

eprasa.pl cfd4a4b979

piaskiem, większość ludzi by nie uwierzyła – ja również. Teraz wierzę", mówi mediom. Jego zaskoczenie wynikało przede wszystkim z widoku zniszczonej przyrody, a także z bezczelności kierowców ciężarówek. „Nie można nielegalnie wydobywać piasku w biały dzień, jeśli ktoś tego nie wspiera – tłumaczy. – Duże firmy są chronione, być może przez ministrów, wiceministrów czy kogokolwiek innego. To cały system. Wszyscy na rynku handlu piaskiem czerpią z tego korzyści".

Przy takim tempie nielegalnego wydobycia wkrótce w wielu częściach Maroka zabraknie plaż. O ironio, piasek jest niezbędny do budowania infrastruktury dla wczasowiczów, których do Maroka przyciągnęły właśnie plaże.

Piasek to drugi po wodzie najczęściej używany surowiec na świecie. Jest składnikiem betonu i zaprawy murarskiej. Wykorzystuje się go do produkcji wiórów drzewnych, detergentów, farb, kosmetyków, papieru ściernego, tarcz szlifierskich, plastiku, stali, szkła i ceramiki, służy jako materiał do budowy nasypów kolejowych i sztucznych wysp. Przemysł spożywczy potrzebuje go przy produkcji cukru, chleba, wina i piwa. Nie mogą się bez niego obyć duże miasta. I aby zaspokoić swoje potrzeby – plądrują plaże na całym świecie.

Jednak piasek nie jest zasobem nieskończonym. Globalny bum budowlany wymaga ogromnych jego ilości. Budownictwo potrzebuje ok. 60 mld ton piasku i żwiru rocznie – można by z tego zbudować mur o wysokości i grubości 27 m, który opasałby równik. Zużycie piasku jest już dwukrotnie większe niż to, co natura jest w stanie odtworzyć.

Problem pogłębiają dwa czynniki. Po pierwsze, popyt wzrósł w ciągu ostatnich 20-25 lat o 60%. ONZ szacuje, że do 2050 r. dwie na trzy osoby będą mieszkać w dużych miastach. Po drugie, regeneracja piasku zajmuje tysiąclecia – tyle, ile potrzebuje lodowiec, by skruszyć zbocze góry, przy czym lód działa jak cierpliwy kamieniarz, a woda jak szlifierz. Piasek to nic innego jak pokruszone skały niesione przez wiatr i osadzane przez rzeki oraz prądy oceaniczne setki kilometrów dalej.

Branża budowlana nie jest jednak cierpliwa, zwłaszcza w krajach rozwijających się, takich jak Indie, Brazylia, Turcja, a przede wszystkim Chiny. W ciągu ostatniej dekady azjatycki gigant zużył więcej piasku niż Stany Zjednoczone w całym XX w. W Szanghaju jest już więcej wieżowców niż na Manhattanie.

W Maroku mówi się o siatkach ludzi, którzy wiedzą, gdzie wydobywać piasek i komu go sprzedać.

Mafie piaskowe

W wielu krajach nielegalne wydobycie stało się tak lukratywne, że powstał rynek zdominowany przez gangi, skorumpowanych polityków i wysoce zorganizowane siatki przestępcze. Szacuje się, że ponad 50% piasku wydobywanego w krajach rozwijających się pochodzi z nielegalnych źródeł. Brak globalnego monitoringu i łatwość mieszania tego materiału z legalnym ładunkiem sprawiają, że ustalenie jego pochodzenia jest praktycznie niemożliwe.

Luis Fernando Ramadon z policji federalnej w Brazylii twierdzi, że nielegalny globalny handel piaskiem wyceniany jest na 200-350 mld dol. rocznie – więcej niż nielegalny wyrąb drewna, wydobycie złota i rybołówstwo razem wzięte. Kupujący rzadko sprawdzają pochodzenie piasku, ponieważ i ten legalny, i czarnorynkowy wygląda identycznie.

Nielegalne wydobycie rzadko wzbudza zainteresowanie organów ścigania, bo też wygląda jak legalne – ciężarówki, koparki i łopaty nie wzbudzają podejrzeń, a urzędnicy mogą czerpać z tego zyski. Dla syndykatów przestępczych to łatwy zarobek.

Zaledwie 50 km od słynnych plaż Rio de Janeiro fortunę na piasku zbił jeden z najpotężniejszych gangsterów brazylijskich. Zanim oddał się w ręce władz w grudniu 2023 r., Luiz Antônio da Silva Braga dowodził milicją Bonde do Zinho. Grupa rozszerzyła działalność na pobliską gminę Seropédica, pozyskując ogromne ilości piasku przy użyciu pływających pogłębiarek, ciężarówek, traktorów, koparek i silosów.

Najgłośniejsze przypadki przemocy związanej z nielegalnym wydobyciem piasku od lat odnotowuje się w Indiach. Gangi piaskowe kontrolują całe odcinki rzek i zastraszają lokalne społeczności. Dochodziło nawet do zabójstw dziennikarzy i urzędników próbujących ujawnić proceder.

W stanie Maharasztra ciężarówka z piaskiem może kosztować 10 tys. rupii (ok. 112 dol.), czyli cztery razy więcej niż średnia pensja. Dla ludzi, którzy utrzymują się z rolnictwa na własne potrzeby, odrzucenie tej okazji do zarobku jest praktycznie niemożliwe. „Wszystko, co robimy, robimy dla naszych żołądków", powiedział jeden z mieszkańców w wywiadzie dla ABC News.

Piasek to drugi po wodzie najczęściej używany surowiec na świecie. Wykorzystuje się go do produkcji betonu, detergentów, farb i sztucznych wysp.

Mafia piaskowa w Indiach jest uważana za największą i najgroźniejszą, zdolną do przekupywania policjantów i urzędników – zarabia prawdopodobnie nawet 100 mld dol. rocznie – kwota ta dorównuje całkowitej wartości legalnie wydobywanego piasku na świecie.

W 2025 r. Fundacja Unsung India, organizacja non profit z siedzibą w Delhi, nagrała wywiad z mężczyzną, którego ojciec niegdyś uprawiał warzywa w wiosce ▸

FOT. COASTCARE.ORG

eprasa.pl cfd4a4b979

na południowy wschód od New Delhi. Mafia piaskowa wkroczyła na te obszary w 2013 r. i zaczęła rozkopywać wierzchnią warstwę gleby na wspólnych gruntach rolnych, by uzyskać dostęp do piasku. Pył powstający podczas wydobycia blokował światło słoneczne, hamując wzrost upraw. Mieszkaniec wioski prowadził kampanię na rzecz zamknięcia kopalni, ale tego samego roku do jego domu włamało się dwóch zamaskowanych mężczyzn i zastrzeliło go, gdy spał.

KSIĄŻKI

Janusz Maciej Jastrzębski
Krucjata obłudowska
Warszawa 2025

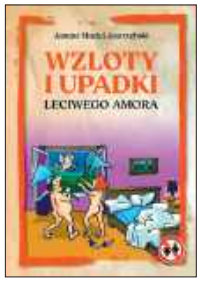
Powieść zainspirowana walką kobiet o pełnię praw do stanowienia o sobie oraz odmawianiem im tych praw przez osoby o zakłamanej moralności, wśród których jest grupa konserwatywnych polityków. W Obłudowie takie osoby mają najwięcej do powiedzenia. Same są w wielu sprawach nieetyczne, ale gdy nauczycielka z miejscowej szkoły staje się ofiarą zbrodniczego czynu i w jego następstwie podejmuje trudną decyzję, rozpoczynają na nią nagonkę. Powieść dedykowana jest uczestniczkom oraz uczestnikom strajków kobiet w 2016 i 2020 r.



Janusz Maciej Jastrzębski
Wzloty i upadki leciwego amora
Warszawa 2025

Żartobliwe, w tym frywolne, satyry z ilustracjami – o radościach i przypadłościach w dojrzałym wieku, również o relacjach damsko-męskich. Niektóre utwory są pikantne, ale nie wulgarne. W tomiku zawarte są także pastisze fragmentów mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza" i fredrowskiej „Zemsty".

(es)



Groźby śmierci otrzymywała aktywistka Sumaira Abdulali. Niektórzy jej koledzy zostali zamordowani. Według niej politycy obawiają się, że represje wobec mafii doprowadzą do niedoborów piasku i wstrzymania projektów budowlanych w całych Indiach. Sektor budowlany generuje zaś 10% PKB kraju.

Globalne zapotrzebowanie

Globalnie rynek piasku i żwiru w sektorze budowlanym wart jest ok. 57 mld euro rocznie – oczywiście dane te dotyczą tylko legalnego wydobycia, sprzedaży i wykorzystania w budownictwie. Natomiast czarny rynek, który nie jest ujęty w statystykach, w wielu krajach bywa porównywalny z rynkiem legalnym.

Chiny tylko w 2016 r. zużyły prawie 8 mld ton piasku – wystarczyłoby to na pokrycie całego stanu Nowy Jork warstwą o grubości jednego cala. Stany Zjednoczone do końca dekady prognozują wzrost rynku betonu o 100 mln dol. W Indiach popyt na piasek potroił się od 2000 r. – by sprostać gwałtownej urbanizacji, będzie potrzebnych ponad 110 mln domów. Singapur powiększył swoją powierzchnię o 20%, wykorzystując piasek z sąsiednich wysp, które już zniknęły. Spowodowało to zakazy eksportu i narastające napięcia dyplomatyczne z sąsiadami.

Nielegalne przedsiębiorstwa często są angażowane przez firmy zagraniczne. W południowej Hiszpanii piasek marokański wykorzystuje się do budowy hoteli i restauracji. W hiszpańskiej eksklawie Melilla firmy korzystają z piasku nielegalnie wydobywanego w pobliskiej marokańskiej prowincji Nador. Popyt ze strony hiszpańskich firm sprawia, że handel piaskiem z Maroka jest atrakcyjny dla lokalnych „przedsiębiorców". Bez solidnej polityki i regulacji ten cenny surowiec będzie nadal nielegalnie wywożony.

Dubaj, mimo że leży na pustyni, importuje rocznie miliony ton wysokiej jakości piasku z Australii, Indii i Iranu, ponieważ piasek lokalny jest zbyt gładki. Zużycie piasku napędzane potrzebami budowlanymi przekracza 50 mld ton rocznie. Duże projekty infrastrukturalne Dubaju, w tym sztuczna wyspa Palma Dżamira (2001-2006), pochłonęły ok. 94 mln m sześc. piasku i skał – więcej, niż jest na naturalnych plażach wzdłuż całego wybrzeża.

W Arabii Saudyjskiej ogromny apetyt na wysokiej jakości piasek rozbudza projekt Neom. Każdy wieżowiec, most i sztuczna laguna potrzebują piasku.

Na Saharze znajduje się ok. 1,5 septyliona piasku, jednak geologia jest bezlitosna – piasek pustynny, wypolerowany przez tysiąclecia wietrznej erozji, jest zbyt gładki i zbyt zaokrąglony, dla budownictwa bezużyteczny. Ziarna tworzą puste przestrzenie i nie mogą prawidłowo wiązać się z cementem; piasek odpowiedni do betonu powinien być kanciasty i gruboziarnisty. Taka tekstura powstaje w wyniku erozji wodnej – fale oceaniczne i siła osadów w rzekach tworzą materiał idealny dla branży budowlanej.

Na koniec wróćmy do Maroka, które przechodzi ogromną, wielomiliardową modernizację infrastruktury – jest współorganizatorem Mistrzostw Świata FIFA 2030. Projekty budowlane idą pełną parą, w tym budowa największego na świecie stadionu piłkarskiego. Chociaż szczegółowe raporty dotyczące zapotrzebowania na piasek nie są publicznie dostępne, skala prac wskazuje na wyjątkowo duże zapotrzebowanie na materiały budowlane. Każda tona piasku, która trafia na budowę nowego stadionu, nowych hoteli i dróg, jest częścią większej, niewidocznej historii – historii ludzi i środowiska, które cierpią z powodu tej konsumpcji.

Stajemy przed pytaniem, które trudno zignorować: ile zasobów można jeszcze wydobyć, zanim Ziemia przestanie nadążać? Każdy budynek, każdy stadion, każda sztuczna wyspa jest nie tylko symbolem postępu, lecz także dowodem, że piasek, który wydaje się niewyczerpany, jest w rzeczywistości jednym z najcenniejszych i najbardziej niedocenianych surowców na świecie.

Tomasz Skowronek

eprasa.pl cfd4a4b979



Sójka

Emocjonalne życie ptaków

Poza wysoką inteligencją ptaki mają własne osobowości

Andrzej Zbyryt

Dziś mamy mocne przesłanki, by sądzić, że wielu kręgowcom, w tym ptakom, nieobce są stany emocjonalne, takie jak żal, żądza, tęsknota, szczęście, radość, smutek czy gniew. Jeżeli bierzemy pod uwagę ten ostatni, musimy przyjąć, że zwierzęta odczuwają również strach. Wynika to z teorii emocji Roberta Plutchika, który uważał, że te dwa przeciwstawne elementy stanowią niepodzielną parę, podobnie jak radość i smutek, wstręt i zaufanie, zaskoczenie i oczekiwanie. Jedna emocja nie może istnieć bez drugiej – jak yin i yang.

Istnieją także solidne dowody na to, że ptaki przejawiają wrodzoną empatię oraz korzystają z teorii umysłu, czyli zdolności rozumienia stanów mentalnych innego osobnika (w skrócie: „wiem, że ty wiesz"). Dowody możemy znaleźć u powszechnie występujących w Polsce sójek. Samiec przynosi swojej partnerce gąsienicę barciaka, nocnego motyla, gdy ta właśnie nasyciła swój głód larwami chrząszcza mącznika młynarka, lub podaje jej larwę mącznika, jeżeli ta właśnie zjadła barciaka. Robi to bezbłędnie – tylko jeśli widzi, co ta włożyła sobie kilka chwil wcześniej do dzioba. Zachowuje się w ten sposób, ponieważ rozumie jej pragnienia. Mało kto po zaspokojeniu głodu miałby ochotę na dokładkę tego, co zjadł przed chwilą. Co innego, gdy ktoś zaproponuje smakowity deser. Podobnie czyni samiec sójki.

Inne krukowate – gawrony – korzystają z teorii umysłu w innym celu. Ptaki te stosują wiele technik ochrony pokarmu przed potencjalnymi rabusiami, kiedy są obserwowane. Te metody to np. 1) konsumowanie zdobyczy na miejscu, 2) kilkakrotne przenoszenie pokarmu w celu zwodzenia obserwatorów, 3) redukowanie chowanej ilości pożywienia, 4) zaprzestanie ukrywania zdobyczy przy świadkach, 5) chomikowanie w odległych, osłoniętych miejscach. Gawrony są świadome tego, że inne osobniki mają chrapkę na ukryte przez nie przysmaki – dlatego stosują tak szeroki wachlarz zachowań mających na celu wywiedzenie w pole potencjalnych rabusiów.

> Ptakom nieobce są żal, żądza, tęsknota, szczęście, radość, smutek czy gniew.

Mamy też dobry przykład teorii umysłu związany z lękiem przed drapieżnikiem. Dotyczy on niewielkiego i pięknie ubarwionego ptaka pochodzącego z Indii – żołny wschodniej. Przedstawiciele tego gatunku nie budują typowych gniazd, ale kopią około metrowej głębokości norki z komorą lęgową na końcu. W ramach eksperymentów, które to udowodniły, badacze podglądali ich norki z dwóch różnych lokalizacji. Jedna pozycja była niczym nieosłonięta, pozwalała więc na dobrą obserwację wlotu do gniazda. Druga znajdowała się za barierą w postaci krzaka, skały, pagórka czy muru. Ptaki znacznie rzadziej odwiedzały gniazdo, gdy obserwator miał nieosłonięty widok na wejście do norki, gdyż ta lokalizacja ułatwiała mu jej dostrzeżenie. W drugim eksperymencie sprawdzano, jak kierunek ustawienia głowy, a właściwie skierowanie wzroku wpływa na częstotliwość odwiedzania gniazda. Okazało się, że żołny zdecydowanie rzadziej karmiły młode, gdy wzrok obserwatora był skierowany bezpośrednio na norkę; robiły to zaś częściej, gdy badacz patrzył w innym kierunku.

Ten eksperyment wykazał, że żołny potrafią ocenić możliwości dostrzeżenia gniazda przez obserwatora i dostosować swoje zachowanie do poziomu zagrożenia, który z tego wynika. Ptaki musiały sobie zdawać sprawę, że pomimo tej samej odległości od gniazda nie z każdego miejsca obserwator widzi je równie dobrze. Miały świadomość, że stojący za krzakiem lub murkiem człowiek nie dostrzega wejścia do norki – mogły się więc czuć stosunkowo bezpiecznie i spokojnie karmić pisklęta. (…)

FOT. SHUTTERSTOCK (4)

eprasa.pl cfd4a4b979


Mysikrólik


Pustułka

Duży mózg – duża inteligencja?

Dotychczas podstawową miarą określającą inteligencję zwierząt był stosunek masy mózgu do całego ciała. Okazało się, że w przypadku ptaków to przeliczenie ma niewiele wspólnego z rzeczywistością, co potwierdziły badania, którym poddano aż 28 gatunków. Na liście przebadanych ptaków znalazło się 13 przedstawicieli ptaków śpiewających, w tym 6 krukowatych, 11 gatunków papug, płomykówka, gołąb miejski, kur bankiwa i emu. Wykazano, że mózgi tych ptaków, a zwłaszcza ich zasadnicza część obejmująca półkule mózgu, tzw. kresomózgowie, mają więcej neuronów niż mózgi ssaków o podobnej masie; u tych pierwszych są one także gęściej rozmieszczone.

Najmniejszy żyjący w Polsce ptak, mysikrólik, w swym ważącym zaledwie 0,36 grama mózgu ma 160 mln neuronów, a mysz mająca organ podobnych rozmiarów i ważący 0,42 grama – tylko 71 mln, czyli ponad dwa razy mniej. Nawet znane z niezwykłej inteligencji szczury (masa mózgu 1,8 grama) wypadają blado przy szpakach (1,86 grama), gdyż te pierwsze mają 200 mln neuronów, a drugie aż 483 mln. Absolutnym rekordzistą w tej kategorii okazał się kruk z liczbą neuronów przekraczającą 2 mld w mózgu o masie 10,2 grama. Jak na tym tle wypada człowiek z masą mózgu w granicach od 1225 do 1375 gramów? Całkiem nieźle – aż 86 mld neuronów, choć wcześniej sugerowano, że jest ich co najmniej 100 mld.

Porównanie tych wartości u przebadanych gatunków ptaków wykazało, że liczba neuronów w mózgach o podobnej masie, należących do papug i drobnych ptaków śpiewających, jest bardzo zbliżona. Jest to o tyle zaskakujące, że to przecież papugi wraz z krukowatymi są uważane za najinteligentniejsze pośród ptaków. Jakby tego było mało, badania wykazały, że liczba neuronów w ich mózgach jest dwa razy większa niż w przypadku małp nieczłekokształtnych i do czterech razy większa niż u gryzoni, u których te organy mają masę zbliżoną do ptasich odpowiedników.

Nawet znane z niezwykłej inteligencji szczury wypadają blado przy szpakach.

Okazuje się zatem, że nie wielkość, ale jakość ptasiego mózgu ma znaczenie. Każdy element ptasiej anatomii i morfologii kształtował się przez ponad 100 mln lat ewolucji w taki sposób, aby usprawnić latanie. Asymetrycznie zbudowane pióra w skrzydłach, bezzębny dziób, lekkie, pneumatyczne kości, worki powietrzne w płucach i kościach, a także mały, a więc lekki mózg są przystosowaniem do takiej formy przemieszczania się. Równocześnie liczba wyzwań, z którymi mierzą się ptaki w znacznie bardziej skomplikowanej przestrzeni, w której przyszło im się poruszać z o wiele większą prędkością niż ssaki, powoduje, że ich mózgi muszą pracować niezwykle szybko i podejmować błyskawiczne decyzje, choćby te dotyczące unikania przeszkód. (…)

Ptasie osobowości

Poza wysoką inteligencją ptaki mają własne osobowości. (…) Wyróżniamy dwa podstawowe typy. Pierwszy to osobowość proaktywna, charakteryzująca osobniki śmiałe, agresywne, szybko eksplorujące środowisko i mające dość niską wrażliwość na różne stresory. Drugi typ to osobowość reaktywna, cechująca osobniki silniej reagujące na stres, bierne, łagodniejsze, ale lepiej adaptujące się do zmieniających się warunków środowiska. Pomiędzy nimi występuje wachlarz form pośrednich, zależnie od gatunku. Różnice osobowości u ptaków mogą się wyrażać nie tylko w zachowaniu i fizjologicznej reakcji na stres, ale także w wyglądzie zewnętrznym.

Przyjrzyjmy się kurom domowym. Rasa biała, czyli leghorn, charakteryzuje się osobowością reaktywną, czyli bierniejszą. Rasa brązowa, czyli hyline, ma osobowość proaktywną, a więc śmielszą i agresywniejszą. Podczas jednego z badań obserwowano reakcje na nieregularne podawanie pokarmu. Okazało się, że u kur hyline pojawiło się znacznie mniejsze stężenie kortykosteronu we krwi niż

eprasa.pl cfd4a4b979



Gawron

u drugiej rasy, co świadczy o mniejszym stresie fizjologicznym.

Ponadto mamy dowody na to, że niektóre młodociane osobniki dzikich gatunków ptaków, np. głuptaków maskowych czy pustułek, których pióra mają większe stężenie melanin, czyli ciemnego barwnika, są śmielsze i agresywniejsze. Prawdopodobnie czynnikiem, który za tym stoi, jest testosteron. Uczestniczy on bowiem w melanogenezie – procesie wytwarzania melanin. Ciemniejszy kolor to więcej testosteronu, a więcej testosteronu to agresywniejsze zachowania. (…)

Świadomość tego, że ptaki mają różne osobowości, jest niezwykle istotna podczas badań ich zachowań. Dwie różne reakcje na stres mogą stanowić klucz do zrozumienia niepowodzenia niektórych programów reintrodukcji lub restytucji zagrożonych gatunków. Śmiałość i chęć szybkiej eksploracji nowych obszarów nie zawsze stanowią pożądane cechy, choć na pierwszy rzut oka wydaje się, że takie zachowania powinny być promowane przez ewolucję. Jakie – jeśli nie najodważniejsze – osobniki radzą sobie najlepiej w nowych warunkach?

Głębsze zastanowienie się nad tym problemem ujawnia pewną smutną prawdę – odważniejsze ptaki okazują się w większym stopniu narażone na ataki drapieżników i kłusowników czy kolizje z pojazdami. Ze względu na to, że są mniej płochliwe, częściej znajdują się w ryzykownych sytuacjach. Dlatego wstępna selekcja ptaków wypuszczanych do środowiska pod kątem ich osobowości mogłaby zagwarantować większe powodzenie projektów ochrony. Gdyby wypuszczane przez myśliwych kuropatwy zostały wcześniej wyselekcjonowane i wsiedlano by do środowiska głównie osobniki o osobowości reaktywnej, bardziej płochliwej, być może tego typu programy przyniosłyby lepsze rezultaty niż obecnie. Na razie ich skuteczność jest bliska zeru. (…)

Sugeruje się, że ptaki o osobowości reaktywnej, które lepiej adaptują się do zmieniających się warunków środowiska, będą się szybciej dostosowywać do postępujących zmian klimatycznych i globalnego ocieplenia. Poza tym walkę o byt w tym nowym świecie wygrają najprawdopodobniej te gatunki, u których obserwuje się najbardziej zróżnicowane reakcje na stres w sytuacji niestabilnych warunków środowiskowych.

Duże zróżnicowanie osobowości, od bardzo śmiałych do bardzo płochliwych, z wieloma formami pośrednimi o różnej skali nasilenia jednej lub drugiej cechy w obrębie danego gatunku, może się okazać sposobem na przetrwanie i niezwykle ważnym mechanizmem ewolucji. Wynika to z faktu, że nie ma optymalnej reakcji w obliczu wszystkich stresujących sytuacji. Większe zróżnicowanie zachowań wśród pojedynczych zwierząt pozwala całej populacji lepiej adaptować się do zmian zachodzących w czasie i przestrzeni. Środowisko nie jest monolitem – nigdy nie wiadomo, która cecha w danym momencie najlepiej się sprawdzi. Raz będzie to bycie odważnym, innym razem – skrytym i nieśmiałym. A czasami najlepiej być gdzieś pośrodku tej skali.

Zakres zmienności osobowości zależy od gatunku. Są gatunki ptaków, u których jest on bardzo wąski, a więc pomiędzy śmiałymi a płochliwymi osobnikami pojawia się niewielka różnica w reakcji na stres i niewiele form pośrednich. Do tej grupy należą pingwiny białookie i wspomniane kury rasy hyline. O przyszłość kur raczej bym się nie martwił, choć muszę przyznać, że ubolewam nad ich losem, zwłaszcza tych trzymanych w zamknięciu. Obawiam się jednak o pingwiny. Globalne ocieplenie prowadzi do takiego przekształcenia ich siedlisk, że mogą nie być w stanie przystosować się do nowego świata, w którym przyjdzie im żyć.

Istnieją również gatunki, które charakteryzują się niezwykle dużą zmiennością indywidualną reakcji na stresory – należą do nich sikory bogatki. U nich wachlarz osobowości od śmiałej do płochliwej jest bardzo szeroki. U tego gatunku większa śmiałość i eksploracyjne zapędy mają podłoże genetyczne – odpowiada za nie wariant genu DRD4 SNP830. Nazywa się go także „genem nomadów" lub „genem ciekawości", ponieważ mające go osobniki nie dość, że szybciej eksplorują nowe miejsca, to jeszcze szybciej przełamują lęk przed nieznanymi przedmiotami, jeśli te leżą akurat przy ich ulubionym pokarmie.

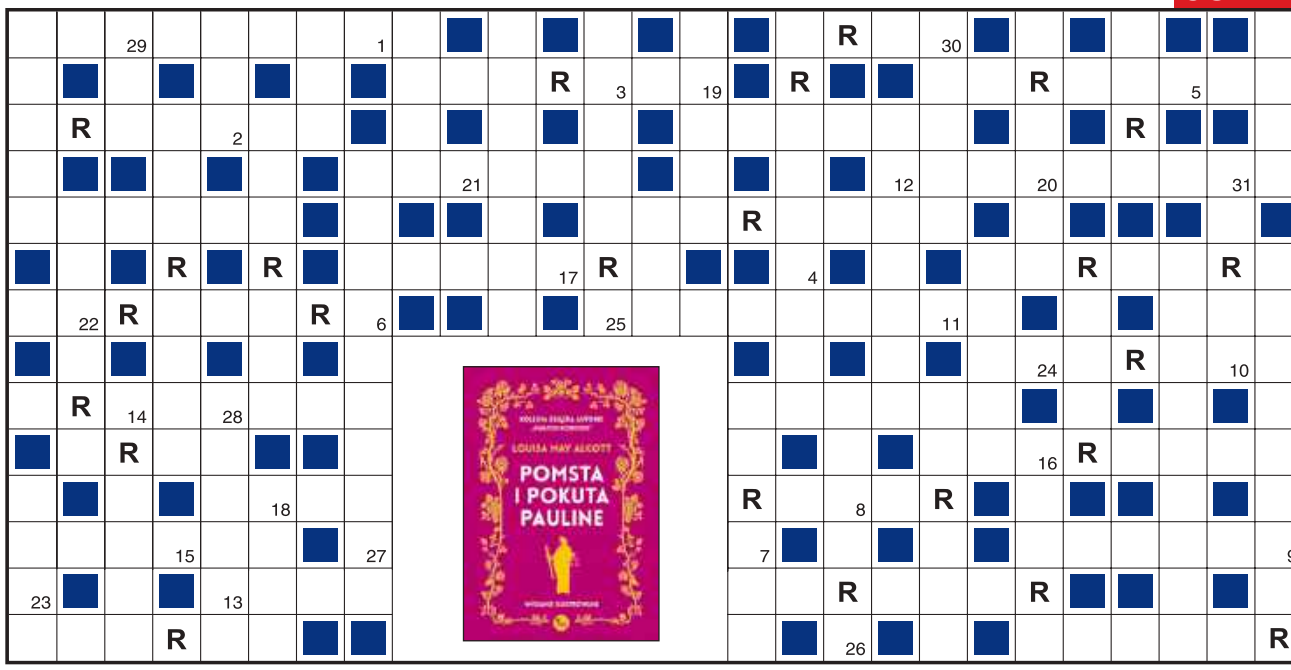
Ten sam wariant genu wpływa na temperament i osobowość u ludzi. Osoby, które go mają, żyją zdecydowanie dłużej – nie tylko dlatego że są jego szczęśliwymi posiadaczami, lecz także ze względu na to, że wykazują znacznie większą aktywność w różnych sferach życia, w tym fizycznej i intelektualnej. (…)



Fragmenty książki Andrzeja Zbyryta *Czego się boją ptaki?*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2026

eprasa.pl cfd4a4b979

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 31 utworzą końcowe hasło.

- rzymska prowincja ze stolicą w Koryncie
- kontynent z przydomku Scypionów
- w Polsce wydobywany był w Łopuszce Wielkiej
- ostrzegawczy sygnał dźwiękowy
- sojusznik, sprzymierzeniec
- wymarły głowonóg o płaskospiralnej skorupie
- chwila na zmianę dekoracji i wizytę w bufecie
- Bangladesz jego wschodnią częścią
- w nich są podawane przekątne ekranów
- stan obniżenia nastroju i braku motywacji
- odliczane do ważnego wydarzenia
- leku, humoru, ironii
- zawarł pakt z Mefistofelesem
- Tutanchamona lub piramida w Rapie
- odpad budowlany: kawałki cegieł, betonu
- skrzydlaty wojak
- iks… zet
- letnie lub zimowe olimpijskie
- wszczepiony do organizmu
- ojciec Danusi z „Krzyżaków”
- chodziły w nim w koło konie, woły
- impreza z nagrodami dla laureatów
- uprawniony do stwierdzania zgonów
- tęczowy, palmowy albo mgławica
- w Podkarpackiem lub Odrzańskie
- miasto w pradolinie Redy-Łeby
- …Heimlicha przy zadławieniu
- kto w nią zagląda, sprawdza wiek
- niemiły odgłos przy jedzeniu, mówieniu
- aktorzy grający w filmie
- Suger – …Saint-Denis
- pługiem lub jak wół
- …dziejów, w której giną początki
- pierwszy, eksperymentalny model
- ziemniak regionalnie
- łagodzi wstrząsy w pojeździe
- umie pięknie przemawiać
- do łapania ryb, ptaków lub pułapka
- morzy, ale nie głodem
- ruch głową lub ręką jako znak
- dla tego pana budowane mosty
- wywrócić go – radykalnie zmienić sytuację
- popularne określenie skorka pospolitego
- maszynowy – mocno łączy tkaniny
- zastępczy poruszany zamiast trudniejszych kwestii
- zadawane cierpienie, męczarnia
- „…1946” Kuncewiczowej
- trzymać się na nim to dystansować się od otoczenia
- miejsce ciche, spokojne, bo oddalone
- potyczka, sprzeczka
- umożliwienie tymczasowego, bezpłatnego korzystania
- teatralne, cyrkowe lub haniebne polityczne
- imię autora Ołtarza Zaśnięcia NMP
- cienka, długa, wiotka gałązka
- pracuje przy wzmacnianiu betonu
- „…na kraterze” Wańkowicza
- spotkanie harcerzy lub harleyowców
- może przybierać różne wartości
- drapieżnik podobny do kota
- kosmetyk pod prysznic, do układania włosów

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1268”. Do rozlosowania książki „Pomsta i pokuta Pauline” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 12 kwietnia 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1265” z nr. 12: *Zabłąkany nie wskaże drogi.*

Nagrody otrzymują: Zenon Czajczyc z Olsztyna, Barbara Niemiec z Goleszowa, Krzysztof Pilipczuk z Olsztyna.

eprasa.pl cfd4a4b979

Prokurator i polityka kulturalna

Sprawa hotelu Schwanen w Rapperswilu może być kolejną kompromitacją PiS i pisowskiego sposobu działania – wywala się grube miliony na zakup obiektu, nawet nie sprawdzając, czy do planowanych zadań się nadaje. Na czuja. Z radosnym optymizmem 10-latka.

Trwa bowiem śledztwo prokuratury w tej sprawie, a to za przyczyną władz Instytutu Pileckiego, które uznały, że osoby odpowiedzialne za majątek Pilecki-Institut (Schweiz) GmbH oraz całego instytutu w latach 2022-2023 działały niegospodarnie i na szkodę instytucji.

O sprawie już pisaliśmy, więc tylko gwoli przypomnienia: lokalne władze w Rapperswilu wypowiedziały umowę najmu miejscowemu Muzeum Polskiemu, które korzystało z sal tamtejszego zamku. Wzrok polskich decydentów padł wówczas na opuszczony hotel Schwanen, znajdujący się w centrum miasta. Dość szybko go kupiono, nie licząc się z kosztami. Zapłacono za niego prawie 120 mln zł, do tego trzeba doliczyć koszty odnowienia i utrzymania obiektu.

Co dostaliśmy w zamian? Minister kultury w rządzie Mateusza Morawieckiego Piotr Gliński, który ogłaszał w 2022 r. triumfalnie, że Polska uratowała muzeum, dziś też uderza w wysoki ton. Że hotel Schwanen został kupiony na potrzeby dwóch instytucji: Instytutu Pileckiego i Muzeum Polskiego w Rapperswilu. I przypomina, że muzeum na zamku miało ok. 100 m kw. ekspozycji, a hotel Schwanen to 2,7 tys. m kw.

Gdzie zatem haczyk? Otóż notarialny akt kupna-sprzedaży zawiera klauzulę mówiącą o tym, że hotel Schwanen zachowa funkcję hotelowo-gastronomiczną. A to oznacza, że praktycznie nie nadaje się na muzeum. Co więcej, ponieważ jest to budynek zabytkowy, korzeniami sięgający XVI w., nie może być ani rozbudowywany, ani nadbudowany. Żadna adaptacja, żadne przebudowy – nic z tych rzeczy.

Hotel ma dwadzieścia kilka pokoi, siłą rzeczy niewielkich, dwie restauracje, bar i zaplecze z pralnią. Teoretycznie można by tam umieścić sale wystawowe. Ale hotel i restauracje muszą działać, więc i zaplecze, i pralnia są potrzebne.

Jak ktoś mógł sobie wyobrażać, że pomieści w niedużym hotelu dwie instytucje? Muzea przecież potrzebują także pomieszczeń magazynowych, a tego również tam nie ma. Oczywiście da się gdzieś wepchnąć zbiory, gdzieś je prezentować, w takiej czy innej salce lub korytarzyku, ale czy to jest sensowne?

Dodajmy jeszcze jedno – Rapperswil to mała miejscowość wypoczynkowa, na uboczu, nie spodziewajmy się tłumów chętnych, by oglądać zgromadzone eksponaty (ich jakość to inna sprawa). To nigdy się nie zwróci.

Mamy zatem ciąg dalszy – Instytut Pileckiego poinformował prokuraturę o możliwej niegospodarności tych, którzy hotel Schwanen kupowali i w zasadzie nie wiedzieli, co kupują. A z drugiej strony rozpoczęty został proces jego sprzedaży. Ciekawe, czy znajdzie się kupiec...

Ta historia to jedna z wielu, które pokazują, jak łatwo można utopić publiczne pieniądze w nietrafionych inwestycjach, zwłaszcza za granicą, zwłaszcza w klimacie patriotycznego zaśpiewu. Bo wtedy puszczają wszelkie hamulce.

Attaché



Ogólnokrajowy protest „No kings" (żadnych królów) przeciwko polityce Trumpa i jego autorytarnym skłonnościom. Chicago, 28 marca 2026 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl cfd4a4b979







PENETRACJE

PAWEŁ SOŁTYS,
MUZYK, PISARZ

A co z Pałacem Kultury i Nauki?

– Odpowiem nie poetycko, tylko życiowo. Czy wierzysz, że na miejscu Pałacu Kultury powstanie coś ładnego? Czy wierzysz, że na miejscu Pałacu Kultury powstanie miejsce, gdzie będą trzy teatry, dwa kina i dom młodzieży? No więc nie, nie burzyć. To jest po prostu ważne miejsce. Połowę dzieciństwa tam jeździłem do Pałacu Młodzieży, trenować ping-ponga i pływać. Wspaniałe miejsce, w sensie kulturalno-oświatowo-społecznym. Większość Warszawiaków była przynajmniej raz w Teatrze Studio albo w Dramatycznym. Teraz działa tam Kinoteka, wcześniej były inne kina. Była restauracja Trojka z rosyjską kuchnią, chyba na szóstym piętrze. Jako dziecko najbardziej lubiłem pielmieni i zawsze prosiłem tatę, żebyśmy jechali do tej Trojki na pielmieni ze śmietaną.

PROF. SŁAWOMIR PATYRA,
KONSTYTUCJONALISTA, UMCS W LUBLINIE

Jeżeli prezydent nie stworzy warunków, a ma taki obowiązek, do odebrania ślubowania i przyjęcia do wiadomości faktu, że złożyli podpisy pod tekstem roty, to nie zmienia statusu tych osób. Nie prezydent wybiera sędziów, ani ich nie powołuje. W przypadku Trybunału Konstytucyjnego nie ma żadnego powołania, bo sędziowie są od początku kreowani przez Sejm. Jeśli prezydent nie odbierze ślubowania, to można to zrobić w innej postaci. Istotą ślubowania jest to, że to sędziowie do czegoś się zobowiązują, ale nie wobec prezydenta, tylko wobec Narodu. I takie zobowiązanie można wygłosić przed Sejmem. To nawet zgodne z logiką, skoro wybiera Sejm, to i Sejm powinien odbierać ślubowanie. Tak jak w przypadku rzecznika praw obywatelskich czy prezesa Najwyższej Izby Kontroli.

SÉBASTIEN GOBERT,
DZIENNIKARZ

Ukraińska republika oligarchiczna znajduje się na rozdrożu. Choć logika wzbogacania się nie ma nic wspólnego z tą, która panowała w czasach Janukowycza, wojna spowodowała powrót zjawiska koncentracji władzy w rękach prezydenta. Skandale, które pojawiają się w wiadomościach, świadczą o głęboko zakorzenionej korupcji, ale obserwuje się również coraz bardziej systematyczną reakcję służb antykorupcyjnych. Udało im się obronić swoją niezależność od władzy wykonawczej. (…) Otwarcie Ukrainy na kapitał zagraniczny, zwłaszcza amerykański, jest niemal nieuniknione, o czym świadczą: zawarte w maju 2025 r. porozumienia z Waszyngtonem w sprawie wydobycia metali ziem rzadkich oraz udziału Stanów Zjednoczonych w zyskach, które Donald Trump próbuje narzucić Ukrainie w ramach przyszłych projektów inwestycyjnych związanych z odbudową kraju. Wojna sprzyja powstaniu nowych grup interesów skupionych wokół gabinetu prezydenckiego, ale także kompleksu wojskowo-przemysłowego czy agrobiznesu. Czy zatem rośnie nowa generacja oligarchów?

MARIA MALATYŃSKA,
RECENZENTKA, ESEISTKA

A potem Wajda ruszy w świat z „Biesami”: zrealizuje je na Uniwersytecie Yale, a jedną z ról – Lizy, zagra młodziutka studentka Meryl Streep. Można więc powiedzieć, że to Wajda z Dostojewskim odkryli tę późniejszą gwiazdę amerykańskiego kina.

FOT. AMEM, KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA, SEKCJA GIMNASTYCZNA

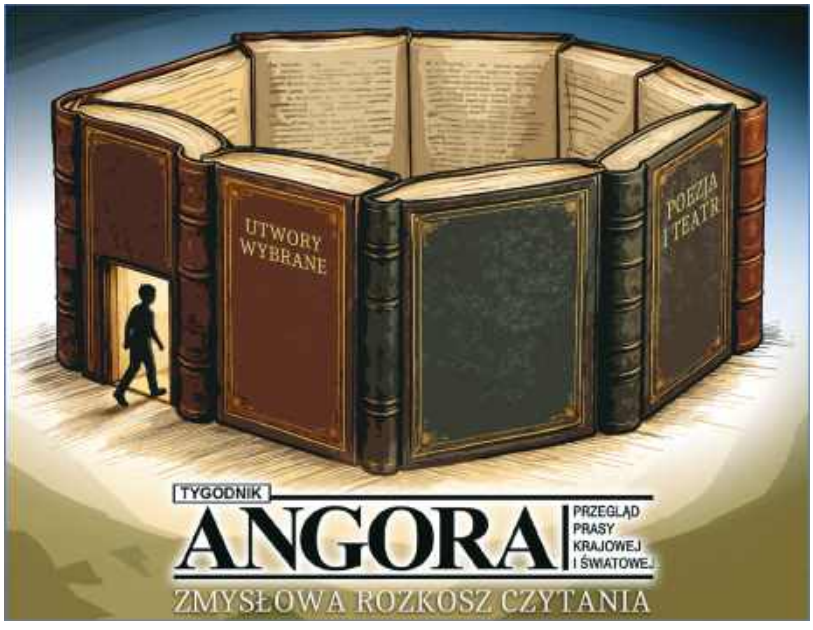
eprasa.pl cfd4a4b979

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorem jest Maurice Maeterlinck.



JEDYNYM NIEULECZALNYM CIERPIENIEM JEST TO, KTÓRE SOBIE SAMEMU STWARZA EGOIZM.



Aby język giętki…

JEFF JARVIS O DZIENNIKARZACH

Są od tego, by mówić rzeczy, których nie chcemy słyszeć, wypowiadać niewygodne prawdy, również wtedy, gdy nie zgadzają się one z ich osobistymi przekonaniami.

ANNE APPLEBAUM O DONALDZIE TRUMPIE

Działa pod wpływem kaprysu i impulsu, a gdy zmienia zdanie, po prostu kłamie na temat wszystkiego, co powiedział lub zrobił wcześniej.

MARCIN PROKOP O SPOŁECZNEJ REWOLCIE W USA

Czuć, że jesteśmy naprawdę blisko czegoś na kształt wojny domowej w USA.

WOJCIECH SIUDMAK O SWOICH OBRAZACH

U mnie na ścianach wiszą tylko moje obrazy i wiem, które muszę poprawić. I poprawiam je non stop. W zasadzie wszystkie są moim jednym obrazem.

JOANNA KULIG O ŚLĄSKU

Bardzo dobrze czułam się na Śląsku. Wsiąkłam w ten klimat. Czuć tam etos pracy – górniczy, hutniczy – coś, co jest tylko tam.

AGATA PASSENT O POCZUCIU WINY

Byłam w tym roku na nartach, mimo że jest globalne ocieplenie. Nie trwałam w poczuciu winy ani przez nanosekundę.

EWA SZYKULSKA O KINIE PRAWDY

Chciałam być aktorką bez pozłotki. Taką z kina prawdy pokazującego marne życie, czyli świat, jaki jest.

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

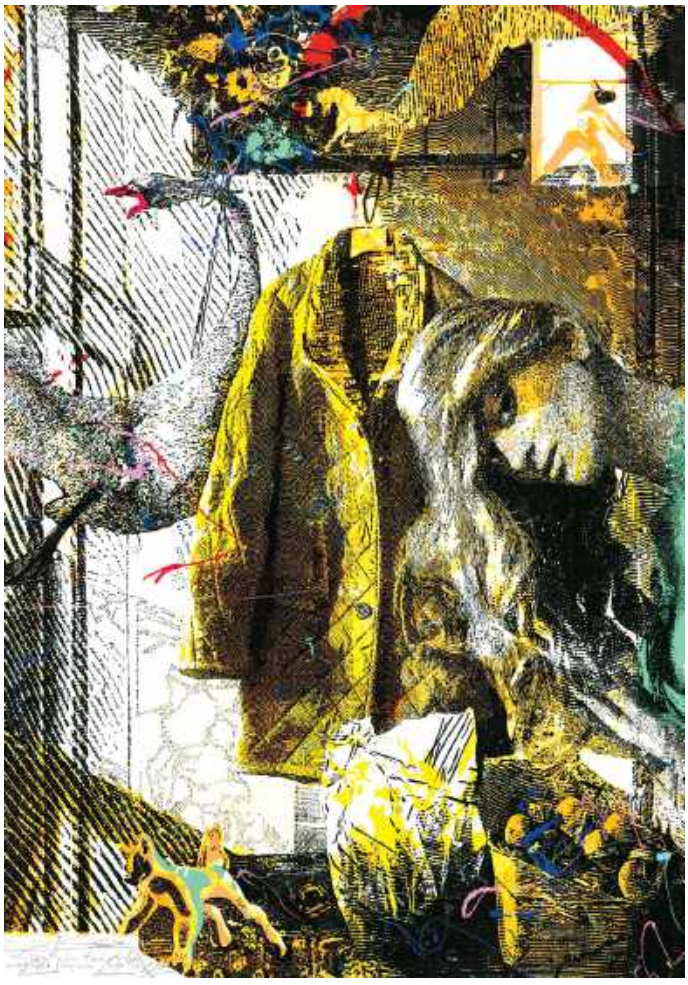
Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl cfd4a4b979

Karol Lewalski
PRZEBŁYSKI



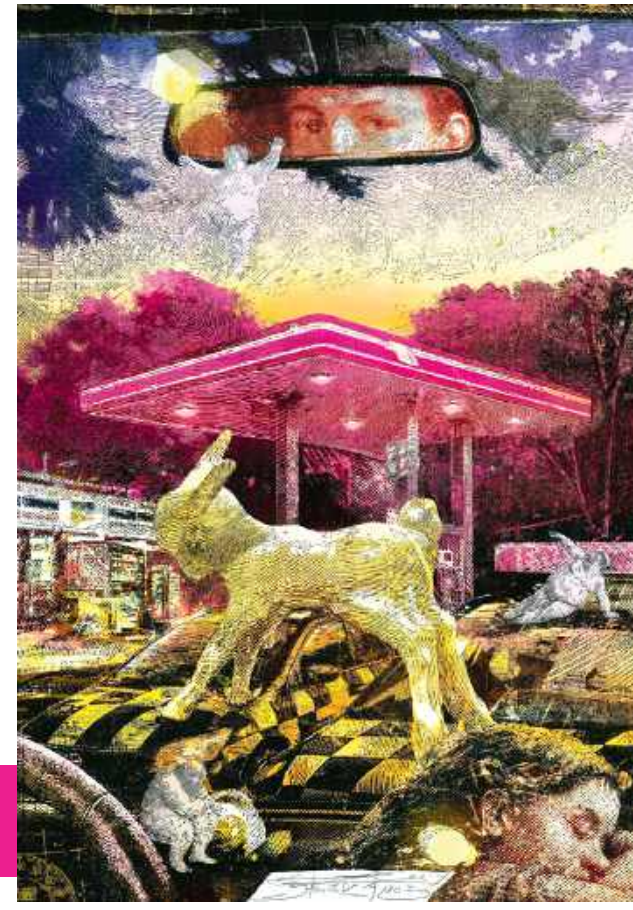
Płaszcz

Przebłysk to dla Karola Lewalskiego krótkie doświadczenie intensywnej obecności. Artysta kieruje uwagę na to, co zwyczajne i często pomijane: światło w przedpokoju, sceniczność stacji benzynowej czy zapach kończącego się dnia. Te momenty stają się punktami orientacyjnymi, w których rzeczywistość nagle nabiera ostrości. Wystawa obejmuje 18 wielkoformatowych prac wykonanych w autorskiej technice linorytu barwnego z elementami malarskimi. Pochodzą one z cykli „Chwile", „Tożsamość" i „Przypadki", a funkcjonują jak „filmy jednego kadru", skupione na nastroju, nie narracji.

Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 64
do 3 maja



Zapach letniej bryzy



Strażnik

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cfd4a4b979

Kultowa włoska komedia z rekordem Guinnessa

WRACA DO KIN!



dobrze się kłamie w miłym towarzystwie

REŻYSERIA
PAOLO **GENOVESE**

CZY ZAGRASZ W TĘ GRĘ
JESZCZE RAZ?

10 lat

w kinach od 10 kwietnia

AURORA

Kreatywna Europa MEDIA

eprasa.pl cfd4a4b979













BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL | STODOLA.PL**

eprasa.pl cfd4a4b979